

W Y D A N I E S P E C J A L N E

Pismo.

MAGAZYN OPINII

WOKÓŁ
PODRÓŻY

WYDANIE SPECJALNE NR 1/24 | WIOSNA 2024

Z PISMEM U...

Marsjanina na
Antarktydzie

PORTRET

Jedyna taka
Elżbieta Dzikowska

ESEJ

Nieoczywisty
przewodnik po Polsce

ORAZ...

Agnieszka Pajączkowska
Aleksandra Zielińska
Filip Springer

CENA: 19,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 434035

01>



9 772544 502418



W drogę!

**KATARZYNA
KAZIMIEROWSKA**
(ur. 1979),
dziennikarka
i redaktorka.
Redaktorka
prowadząca
i sekretarzyni
redakcji „Pisma”.
Autorka cyklu
*Strategie
przetwarzania*.

„Czasem niebezpiecznie jest wyjść z domu. Gdy staniesz na drodze, nigdy nie wiadomo, dokąd cię nogi poniosą” – mówi Bilbo Baggins w Tolkienowskiej *Drużynie Pierścienia*. W tym numerze wydania specjalnego „Pisma” zdecydowaliśmy się zrobić jak Bilbo – pójść, gdzie nas nogi poniosą. I to dosłownie. Zamiast do auta czy samolotu wsiąść na rower i pojechać przed siebie albo założyć dobre buty i iść – łązić, wspinać się, przedzierać, maszerować, kłuczyć, błądzić, szukać, by dotrzeć do miejsca, gdzie nie żyją co prawda dzikie stwory, ale które choć na chwilę można nazwać celem.

Wydanie specjalne, które trzymacie w rękach, przewrotnie nazwaliśmy „Wokół podróży”. Zwykle, kiedy słyszy się to hasło, na myśl przychodzą wyprawy na miarę „National Geographic” – dalekie, egzotyczne, atrakcyjne, może nawet z nutką dreszczyku. Jakaś Birma albo Peru, ostatecznie Alaska, ewentualnie wersja ekonomiczna – Islandia.

Tymczasem przygoda może zacząć się tuż za rogiem. Odkrycia można dokonać już na pobliskim skwerku czy niewielkiej górze, która – gdy ciut przymrzujemy oczy – może urosnąć do rozmiarów Czomolungmy (przez Europejczyków zwanej Mount Everestem). W ten sposób na teren wokół siebie spojrzeli członkowie Towarzystwa Krajoznawczego Krajobraz. W 2015 roku zorganizowali Pierwszą Polską Zimową Ekspedycję „Korona Warszawy” w celu zdobycia sześciu warszawskich wzniesień w stylu alpejskim. Dziś możemy oglądać zdjęcia i filmy dokumentalne z tego historycznego wyczynu. I choć budzą one ogromną wesołość, to przyświecał zdobywcom zacny cel – zetrzeć nimb wielkości z klasycznego kanonu krajoznawczego, by poszukać innych przykładów tak zwanych atrakcji turystycznych czy przyrodniczych, a w praktyce odzyskać radość z eksplorowania, podziwiania i zdobywania miejsc, punktów na mapie, ścieżek i szlaków, odzyskać zachwyt nad samodzielnym doświadczaniem świata – także tego, który pozornie znamy, a który zwyczajnie nam się opatrzył.

Pisze o tym w eseju *Nowe krajoznawstwo: kibicować gorszym* Ewa Pluta, moja redakcyjna koleżanka, któ-

ra kontynuując nową tradycję zdobywania szczytów tam, gdzie ich nie ma, decyduje się zdobyć w stylu alpejskim dach Mazowsza. Marek Szymaniak również przekuwa teorię w praktykę: wskakuje na rower – mentalnie i w realu – by siłą własnych mięśni odkrywać i przeżywać przyrodę, by doznawać krajobrazu wszystkimi zmysłami. Czasem banalny, „slowhopowy” hamak rozwieszony między drzewami i kawa z kubka termicznego, zamknięcie na chwilę oczu i posłuchanie leśnych hałasów pozwalają bardziej docenić i lepiej zrozumieć przyrodę, dając większą przestrzeń na empatię.

Agnieszka Pajączkowska zamiast wycieczek w bliskie, ale nieznane miejsca, wybiera przeprowadzkę z miasta na wieś, która wielu kojarzy się z wyprawą na inną planetę. Choć to miejsce znajome, sprawdzone, nieobce, okazuje się, że pieszo eksploruje się je inaczej, że dystans zaczyna być mierzony inną miarą, miejsce wiąże się już nie tyle z celem (kupić chleb w sklepie), ile z emocjami, jakie mu towarzyszą. I wspomnieniami, jakie się buduje.

Krok dalej idzie Adam Robiński, który razem z profesorem Markiem Lewandowskim przenosi się na Antarktydę. Tu krajobraz jest tak odmienny, jakbyśmy doświadczali nieznanego świata, w którym nasze zmysły pracują inaczej. Cytując Barry’ego Lopeza, autora książki *Arktyczne marzenia*: „Krajobrazy ziemskie są tak różnorodne, że trudno poznać je wszystkie dokładnie. To jest jak dogadywanie się z dzikimi zwierzętami. Pewność w stosunku do jednego gatunku rzadko kiedy przydaje się w kontakcie z innym” (przeł. Jarośław Mikos).

To drzewo, na które w dzieciństwie wspinał się nasz tata, a na które my włączymy dziś, ta wydeptana między blokami ścieżka, którą pamiętamy od zawsze, a która nigdy nie stała się chodnikiem, droga obrosnięta z obu stron wierzbami, którą utożsamiamy z wakacjami, bo prowadzi nad morze, słowo „wieś”, które już zawsze kojarzy nam się z lasem, bo tak było we wsi, gdzie mieszkali dziadkowie. Przyklejamy obrazy do słów, emocje do obrazów, nadajemy im ogromne znaczenie, ale tylko w ten sposób krajobraz może

MACAZYN OPINII
Pismo.

WYDANIE SPECJALNE NR I / 24

PROZA

Wszystko jest w porządku | 4

ALEKSANDRA ZIELIŃSKA

OBRAZ

W KADRZE **Pocztówka z Polski** | 2, 78

MAŁGORZATA ADAMCZYK

QUIZ

10 pytań krajoznawczych | 80

TOWARZYSTWO KRAJOZNAWCZE KRAJOBRAZ

zaprasza: konkurs z zagadkami!

OKŁADKA **Klangor polski**

JUSTYNA FRĄCKIEWICZ

ESEJ

14 | **Nowe krajoznawstwo: kibicować gorszym**

EWA PLUTA sprawdza, czy klasyczny kanon krajoznawczy jest wciąż aktualny

74 | **Ścieżki wokół Bulbjerg**

DORTHE NORS o podróży przez wybrzeża Jutlandii i pamięci krajobrazu

REPORTAŻ

26 | **Wolność dwóch kółek**

MAREK SZYMANIAK na rowerze odkrywa polski krajobraz bocznych dróg

Z PISMEM U...

36 | **Antarktycznego Marsjanina**

ADAM ROBIŃSKI pyta prof. Marka Lewandowskiego o jego przygodę na biegunie

PORTRET

48 | **Jednoosobowa niebieska strefa**

JULIA LACHOWICZ-NOWIŃSKA o Elżbiecie Dzikowskiej, polskiej damie w podróży

HISTORIA OSOBISTA

58 | **Kurs na wieś**

AGNIESZKA PAJĄCZKOWSKA wyprowadza się z miasta

PODRÓŻ

68 | **Ziemia bez nazwy**

FILIP SPRINGER opisuje region z historią, który stał się ofiarą działań człowieka

MACAZYN OPINII
Pismo.Pismo. Magazyn opinii
www.magazynpismo.plWydawca: Fundacja Pismo
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,
00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkinie Zarządu:
Magdalena Kicińska, Kalina WyszyńskaAdres redakcji: Pismo. Magazyn opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska, Redaktorka prowadząca wydanie specjalne: Katarzyna Kazimierowska,
Redaktorka: Zuzanna Kowalczyk, Weryfikacja faktów: Marcin Czajkowski, Felieton: Karolina Lewestam,
Redakcja: Joanna Dolecka, Urszula Kifer, Zofia Sawicka, Ilona Turowska, Korekta: Ewa Bargiel, Monika Marczyk,
Dorota Śrutowska, Wydanie cyfrowe i audio: Barbara Sowa, Ewa Pluta, Iga Gromska, Karolina Wasiczek,
Projekt makiet: Jacek Utko, Dyrekcja artystyczna, skład i łamanie: Karolina Mazurkiewicz,
Szef Marketingu i Sprzedaży: Paweł Cybulski, Promocja: Ewa Salamon, Marketing: Mateusz Roesler,
E-commerce: Anna Ostrowska, Prenumerata i subskrypcja: Marcin Lipiec, Fundraising: Inez JaworskaRedakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.
Reklama: reklama@magazynpismo.pl, redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.



Impreza San Remo nad Łydynią, Ciechanów, 14 sierpnia 2021 roku



W KADRZE

Pocztówka z Polski

zdjęcie MAŁGORZATA ADAMCZYK

Wszystko jest w porządku

tekst ALEKSANDRA ZIELIŃSKA

Dla E, A i P, niestrudzonych podróżników, najlepszych przyjaciół.

—
Wszystko jest w porządku – mówi Meška, a ja z daleka widzę, że nie jest, ale nic nie odpowiadam, bo przecież jej przekonać się nie da, więc wymownie pozwalam w ciszy wybrzmieć niepokojącym dźwiękom. Trzeszczy lewe tylne koło, ale trzeszczy tak porządnie, coraz silniej przy zakrętach, gdy nawet na siedzeniu pasażera wyczuwam brak oporu hamulców i kątem oka widzę, że Meška musi stopą pedału giąć niemal do podłogi, żeby zareagował, ale przecież wszystko jest w porządku, więc poprawiam tylko pas i patrzę na trasę, modląc się, żeby było blisko, ale wręcz przeciwnie, jest daleko, może nawet coraz dalej, bo mam wrażenie, że serpentyny zawijają się wokół gór w spiralę i prowadzą nie do przodu, a w głąb ziemi.

Nawigacja mówi, że do Tbilisi jeszcze godzina, ale w takich warunkach godzina może rozciągnąć się w dwie, trzy, pięć, do wyboru, do koloru, bo na drodze zalega śnieg i jak się auto dobrze nie wstrzeli w koleiny, to się wstrzeli w brzuch góry, więc lepiej uważać. Warto uważać również na inne samochody, które zdają się radzić sobie w tych zimowych warunkach doskonale, ślizgają się kontrolowanie po krawężniach jezdni, wyprzedzają na styk, ale jest w tym styku precyzja łyżwiarzy figurowych i radość dzieci na sankach, nie ten pogrzeb w naszym samochodzie. Dalej nie mogę przeboleć wydarzeń

w Waszłowani, a właściwie to nie mogę przeboleć całej tej wycieczki, może nawet zdarzeń, które do wycieczki doprowadziły.

Jeszcze trochę bolą mnie ramiona po bójkach, ale na szczęście ślad zębów Meški na nadgarstku powoli zanika. Myśl, że ma taki sam na przedramieniu, daje mi trochę satysfakcji, co przyznaję przed sobą ze wstydem.

Meška zmienia bieg, przeskakuje oczami między nawigacją w telefonie a tym, co uda się zobaczyć przez okno, a widać mało. Skończyły się księżycowe noce, jakie miałyśmy wcześniej, skończył się Kaukaz przy ramieniu, który towarzyszył nam cały czas, teraz jest ciemno, zimno i wieje. Meška jest zmęczona, ale nie da po sobie niczego poznać, nie da się zamienić za kierownicą wypożyczonego auta, bo to przecież ona wzięła za nie odpowiedzialność, ale jaka to odpowiedzialność, skoro trzeba było od razu zgłosić, że coś trzeszczy, a nie pchać się w Gruzję bez ładu i składu na trzech dobrych kołach.

Meška wychodzi z założenia, że zawsze da sobie radę, niezależnie od przeciwności losu, tak jak daje sobie radę w pracy, balansując tacami pełnymi kieliszków i nareczami talerzy w knajpie, do której czasem zachodzę po zajęciach ze studentami. Właściwie to zachodziłam, teraz zwykle jem zimną pizzę nad zlewem, jak jakaś barbarzynka, a Meška z powodu obostrzeń i łątania budżetu pakuje głównie na dowóz.

Patrzę na Meškę i już mi nawet trochę przechodzi, nie będę jęczeć, że się spóźnimy na samolot, że tata pewnie dzwoni, żeby sprawdzić, czy żyjemy, że wcale mi się nie podoba ta wyprawa ani to, co stało się ze zdjęciem. I w końcu, jak mogła mnie zostawić w Waszłowani?

– Wszystko jest w porządku – powtarza Meška, odpowiada jej trzask tylnego koła na zakręcie, przednią szybę obryzguje fala pośniegowego błota wzniesiona przez mijanego tira, jest to urlop roku.

—
z DRUGIEJ STRONY przecież to ja zostawiłam Meškę pierwszą, kiedy tato powiedział, że z mamą jednak nie pojadą na żadne urlopy, nie pojadą już tak naprawdę nigdzie, a szkoda, żeby się zmarnowało, i to nie ze względu na pieniądze czy zarezerwowane hotele, ale ze względu na pamięć. Wiedzieli, że się nie dogadujemy, zwłaszcza wtedy, zwłaszcza mama wiedziała, więc wzięli i przebukowali te bilety, dali kieszonkowe swoim dorosłym trzydziestoletnim córkom, chociaż nie chciałyśmy, wysłali do tego dalekiego Waszłowani, w miejsce, które chcieli odwiedzić sami.

Dla mnie Waszłowani nie znaczyło nic, poza tym zdjęciem, które wisiało na ścianie w kuchni w naszym domu. Mama, tata, jeszcze pod swoimi imionami, nie funkcjami w rodzinie, młodzi, uśmiechnięci,



z plecakami, z plastikową butelką pełną wina wzniesioną w toaście, z tyłu drzewo oliwne, osiemdziesiąty drugi albo trzeci. Chciałam sobie to zdjęcie zabrać, mieć tylko dla siebie, ale zniknęło ze ściany, zanim poczyniłam jakiegokolwiek kroki w tym kierunku, a teraz zniknęło na zawsze. Dobrze, że nie zapytałam taty, czemu je schował.

Od samego początku planowali, że odwiozą nas oboje na lotnisko, ale takich planów na pewnym etapie już robić nie wolno, więc w końcu Meškę odwiózł sam tata, ja akurat od kilku dni leżałam bez ruchu na łóżku, wysuszona od płaczu na wiór i gdzieś miałam wycieczki, aż tata wrócił z lotniska, kupił nowy bilet i powiedział, że wsadzi mnie na pokład choćby siłą.

Dalej nie wiem, czemu wtedy tak bardzo chciał być sam.

W Kutaisi przywitały mnie krowy, leniwie skubiące trawę niedaleko pasów startowych, i poczułam, że może jednak pokocham to miejsce, jeśli jeszcze jakieś zapasy miłości mi zostały.

SPRAWDŹ, KTÓRY ZJAZD – komenderuje Meška twardym głosem, w którym nie ma nic z prośby o pomoc, bo przecież pomocy Meška nigdy nie potrzebuje, bo jak trzeba obsłużyć kolonię dzieci, to robi to szybciej, niż którekolwiek zdąży się rozedrzeć, że głodne, a ja wchodzę w tę narrację jak w masło, bo innej nie znam, taką dziwną siostrzaną komunikację sobie ukułyśmy, i sprawdzam dokładnie, gdzie trzeba skrócić, żeby wjechać na autostradę, licząc, że na autostradzie będzie lepiej.

Zawsze wszystko sprawdzam dokładnie, żaden student nie szuka mnie przy listach obecności albo zadaniach domowych. Zawsze potrafię odróżnić, czy ktoś ma niechlujne pismo, czy niewyraźnym wężykiem próbuje zamarkować trudną końcówkę w łacińskim słowie. Meška włącza kierunkowskaz i próbuje się wpasować w sznur aut, które za nic nie chcą się rozstąpić, tutaj się trzeba wypychać, ale nie ze znaną nam agresją, a w zabawie, wygląda na to, że wszyscy kierowcy na trasie do Tbilisi bawią się doskonale – oprócz nas, jakbyśmy byli poza jakimś wewnętrznym żartem, który wymyślono, zanim tu trafiliśmy.

Gdy przyleciałam, obok wyjścia z lotniska kręcili się taksówkarze, głuśni na moje odmowy, ślepi na bilet autobusowy, którym machałam, i dopiero siedząc na miejscu, między turystami i nie-turystami, odetchnęłam spokojnie, przykleiłam się do okna, a za oknem przesuwawa się Gruzja, pełna wzgórz, małych pustych miast, małych pełnych miast, niedokończonych wiaduktów i połaci winorośli. Umówiliśmy się na przystanku w Tbilisi.

Spóźniła się.

MEŠKA ZASKAKUJĄCO sprawnie wciska się między samochody i słyszę, jak po cichu oddycha z ulgą, ale nic nie mówię, bo stara się tę ulgę ukryć, tak jak wcześniej ukrywała napięcie. Bez słowa podaję jej kawałek czurczcheli, gryziemy zatem orzechy w winogronowym soku, gapimy się przed siebie, koło trzeszczy. Wszystko jest w porządku, do czasu aż zaczynam mówić, że musimy zrobić test na covid co najmniej dwadzieścia cztery godziny przed lądowaniem, bo nałożą kwarantannę, jak tylko samolot siądzie na ziemi, co jest z mojej strony błędem, ale jeszcze nie ostatecznym, bo Meška tylko zaciska wargi, pogłusza radio, więc odpowiada mi gruzińska muzyka. Pełna, spuchnięta, wesoła, nie pasuje w żaden sposób do naszej siostrzanej stypy.

SPÓZNIŁA SIĘ, WIĘC marzłam na skwerku koło przystanku, gdzie świerki przystrojono gwiazdami i lampkami, świeciło się to wszystko jak lunapark i jak z lunaparku wzięta wyglądała moja starsza siostra w rozpiętym softshellu, bez czapki, za to z płamą na wełnianym swetrze, rozgrzana dziwnym ciepłem, które po podejrzenie wylewnym przywitaniu rozpoznałam jako woń mieszanek gruzińskich win.

Nic nie mówiłam, pozwoliłam, żeby zabrała mnie ze sobą do przerwanej zabawy, chociaż myślałam, że idziemy do hostelu, gdzie się wypłaczę z termicznych majtek i zmyję chociaż tłuste ślady po tuszu, co mi zostały na policzkach, jak przyszło wsiadać do tego przekłętego samolotu.

Zamiast do hostelu, trafiliśmy do klubowego zagłębia powstałego na terenie

opuszczonej fabryki, o czym informowała mała tablica przy wejściu. Dwóch przystojnych chłopców sprawdzało paszporty covidowe, ja swój miałam rzecz jasna przygotowany, Meška weszła na ładne oczy, twierdząc, że już było sprawdzane, a tam, tam są jej przyjaciele, wyszła na moment, na papierosa, już wraca do przyjaciół. W tym stanie przyjaciółmi Meški byli już wszyscy zgromadzeni przy barze w jednej z knajp, gdzie lano wino z baniaków do szklanek i można było tańczyć na odkrytym dziedzińcu, choć zimno.

Meška tańczyła, uczepiona sympatycznych Gruzinów, którzy zaprosili ją do wspólnej biesiady. Zaproszenie rozciągnęło się również na mnie, więc siedziałam przy stole z obcymi ludźmi, z miętową herbatą, przeproszałam i z uśmiechem odmawiałam tańca gospodarzom, bo wołałam patrzeć na Meškę wywijającą na prowizorycznym parkiecie, jakby jutra miało nie być, jakby nie było wczoraj, ani mnie, ani taty, ani mamy, co akurat się zgadza, bo mamy nie ma.

Taka beztraska i wesoła była ta Meška, wolna po miesiącach zamknięcia, że nie chciałam jej przeszkadzać, bo nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ją ostatnio taką widziałam, możliwe, że nigdy, więc sobie ten obrazek zapisywałam, ładując chinkali do ust, zapijając herbatą, mając nogą do rytmu. Dałam się nawet w końcu porwać do tańców, hulank, swawoli, na jedną wprowadzi piosenkę, ale znaną, do której dawno temu wywijaliśmy na dyskotecę w podstawówce. Śpiewaliśmy obie, obie głośno, jednym głosem.

Wróciłam do baru, łapiąc oddech, nagle trochę smutna, bo przeczuwałam, że rano już tej Meški nie będzie. I nie było, rano była Meška, która pamiętała wszystkie troski świata.

Ale zanim to nastąpiło, zamówiliśmy ubera – elektryczny prius, pamiętam – usiadłam na przednim siedzeniu, z plecakiem na kolanach, zmarznięta i zmęczona, od wielu godzin w tych samych ubraniach. Wysiadłam, a pod podanym przez Meškę adresem nie było hostelu, był park rozrywki na wzgórzu, pusty i złowrogi o tej porze, otoczony tarasem widokowym pełnym bezdomnych kotów. Meška minęła mnie, pobiegła na krawędź tarasu i stanęła z ręką wyciągniętą przed siebie, prosto w horyzont, nad którym

wisiał gwiazdy i pękaty księżyc. Jeszcze nie trzeźwiejąc, śmiała się, że tam jest Kaukaz, tam pojedziemy.

Chce mi się sikać, ale nic nie mówię, bo przy obecnych warunkach pogodowych lepiej się nie zatrzymywać. W dodatku jestem niemal pewna, że jeśli stanimy, to tylnie prawe koło nie pozwoli nam ruszyć ponownie, samolot odleci do Polski bez nas i bez naszych wyników testów. Realia z tej podróży rodziców w latach osiemdziesiątych stają się nagle tak obce, że za nic nie mogę sobie w głowie ułożyć, że jesteśmy w tym samym miejscu, choć w innym czasie.

– Daj herbaty, Cecylia – mówi Meška cicho i podrywa się nagle, gdy mija nas radiowóz z migającymi kogutami, które tutaj nie znaczą niczego złego, ale przyzwyczajenie zostaje. – Daj i napisz do tych ludzi od auta, że się spóźnimy.

Na końcu języka mam już kilka zmarzniętych do uzbieranej dotychczas kupki, bo jeśli spóźnimy się z oddaniem samochodu, to zapłacimy karę, zapłacimy też pewnie za to trzeszczące koło, spóźnimy się na samolot, spóźnimy się do życia i już na zawsze zostaniemy zawieszone na oblodzonej gruzińskiej autostradzie, wyprzedzane przez przepełnione marszrutki i puste tiry bez naczep. Wymyślam w głowie najgorsze scenariusze, aż się łapię na myśli, że przecież najgorsze już się stało, kilka tygodni temu, więc niech się dzieje, co chce.

Meška zaciska ręce na kierownicy, na jej przegubie dynda bransoletka przyjaźni. Kupiłam ją w Alawerdi, chciałam zerwać w Waszlowani.

—
WCALE NIE MIAŁYŚMY zamiaru zbaczać z trasy, ale Meška powiedziała, że jak już tu jesteśmy, to musimy. I chociaż Alawerdi nie wydawało się daleko, to jednak trudno było monastyr odnaleźć, szczególnie że bardziej skupiałam się na tylnym kole, którego trzeszczenie wyłapałam, jak tylko skacowana Meška wyjechała na drogę, rozglądając się nerwowo naokoło, byle trafić w odpowiedni strumień samochodów, a każdy z nich był rwący.

– To nic – powtarzała Meška, dalej z płamą na wełnianym swetrze, wspomnieniem ostatnich beztroskich chwil tej wycieczki.

Żal dzielony na dwie tak naprawdę się mnoży.

Parking pod Alawerdi był prawie pusty, wysiadłam szybko, byle pierwsza znaleźć się przy felearnym kole i rzeczywiście, felga była ciepła, Meška oświadczyła, że felgi zawsze są ciepłe, co jednak nie do końca było prawdą, bo na jej oczach ostentacyjnie sprawdziłam pozostałe trzy, normalnie zimne, ale co ja się znam, przecież jestem młodsza i prze-wrażliwiona.

Na szczęście sam monastyr wynagrodził trudy podróży i niesmaczne śniadanie, podane prosto do pokoju drżącymi rękami właścicieli, bo pandemia. Kamienna wieża strzelała w górę, jakby zaraz miała przekłuć białe, pękate chmury. Chciałam już iść, dotknąć tych murów, poczuć te wszystkie zapisane w kamieniu wieki, ale nim minęłyśmy bramę, z małego sklepu z pamiątkami wyskoczyła jeszcze mniejsza kobieta. Cała ubrana w czarne sukienki, więcej miała energii niż my obie razem wzięte i więcej zrozumienia, choć nie mówiła w żadnym znanym nam języku. Gestem pokazała, o co chodzi, i wkrótce, chichocząc trochę, jak małe dziewczynki, przebiłyśmy to poranne napięcie, oblekając się w podobne pożyczone czarne sukienki, bo jak się okazało, nasze kurtki były stanowczo za krótkie.

Chichoty przeszły nam za bramą, na placu, gdzie Meška wgapiła się w drzewa oliwne, nieruchoma jak posąg, którego żadne kaukaskie wiatry nie zmiotą. Naciągnęłam kaptur i sama weszłam do katedry.

Podobało mi się w tej szerokiej, strzelistej przestrzeni, jakoś się nagle poczułam zaopiekowana, choć wokół kręcili się nieznajomi ludzie, nieznajomi kapłani śpiewali po cichu pieśni niskimi głosami, które zwielokrotnione echem odbitym od sklepienia otulały jak poduszka. Wcale mi nie przeszkadzało zimno, szłam w kierunku ołtarza po kamiennej posadzce, czując, jak rytm moich kroków rymuje się z ruchem skał gdzieś głęboko pod fundamentami. Przystawałam przy obcych, udawałam, że należę do grup wycieczkowych, zaglądałam przez ramię wiernym, miałam wrażenie, że jestem gdzieś w zawieszeniu, może Gruzja, ale może Grecja czy Azerbejdżan, może dowolne miejsce, gdzie ludzie zbierają się we wspólnoty i po prostu są.



W końcu znalazłam sobie miejsce przy świecach do zapalania w czyjejs intencji.

Dopiero teraz przypominałam sobie, że takie świece były do kupienia u staruszki w sklepie z pamiątkami. Wtedy nie kupiłam żadnej, ale przecież nikt się nie obrazi, jeśli zapalę jedną z tych już obecnych, zgaszoną podmuchem wiatru czy innym przypadkiem, nie obrazi się na pewno żaden ze zmarłych, gdy pierwotną intencję przekieruję na swoją własną, przecież można się ogniem świecy podzielić, podzielić pamięcią, bo przecież stojąc w tych niemal tysiącletnich ruinach, w czarnej wdowiej szacie i majtkach termicznych, mogę podumać w ciszy i nad prawowitym duchem danej świeczki, i nad moim, osobistym, co go sobie przywiozłam na karku z dalekiego kraju i tak nosiłam od kilku tygodni.

Oczy zaczęły mnie szczypać, więc otarłam łzę z kącika, gdy za rękę złapała mnie Meška, objawiona nie wiadomo skąd i kiedy, żeby wysyczyć mi do ucha, że co ja robię, że tak nie wolno, że intencja kosztuje dwa lari, że nie można sobie podkradać cudzych, a tak w ogóle to ona by tego nie chciała, nie chodziła do kościoła, nawet księdza z oddziału przepędziła, jak ją próbował na sam koniec namaszczać, czy nie pamiętam, jak mu każała, żeby sobie te oleje wsadził głęboko pod sutannę, gdzie słońce nie dochodzi, czy nie pamiętam, jak mówiła, że w tej pandemii księdza wpuszczają, kiedy chce, a męża tylko kiedy można?

Oczywiście, że pamiętałam i już nawet próbowałam się bronić, że przecież każdy przechodzi żałobę po swoim, więc jeśli chcę zapalić świeczkę na końcu świata, to mogę, chociaż kradziona, ale Meška nie słuchała, tylko wyciągnęła mnie z powrotem na dziedziniec monasteru, gdzie było zimniej, wiatr się wciskał pod sukienki, odsłaniał zmarznięte nogi, kazał naciągnąć czapkę na uszy, Meška wciąż mnie ciągnęła, chociaż chciałam jeszcze popatrzeć na drzewa oliwne, rozetrzeć w palcach ich liście, poczuć, jak pachną, może nawet zjeść, gdyby nikt nie patrzył, no ale Meška nie patrzyła, wypychała mnie do przodu, do sklepu z pamiątkami, że trzeba oddać za świeczkę.

Pani nie rozumiała dokładnie, o co chodzi, nie chciała przyjąć pieniędzy za wypożyczenie szat, z których wydostałyśmy się z ulgą, nie chciała przyjąć pieniędzy za świeczkę, której my z kolei nie chciałyśmy wziąć, więc w końcu wskazałam na dwie bransoletki z kolorowymi kamykami, zostawiłam więcej monet niż potrzeba i szybko wyszłam z Mešką na zewnątrz.

Chociaż się broniła, założyłam jej tę bransoletkę i powiedziałam, że przecież miałyśmy takie kupić od dawna, na każdej wycieczce powtarzałyśmy sobie, że następnym razem, następnym razem, może ten następny raz to jest teraz, może innych nie będzie, cieszymy się zatem tym, co jest, gruzińską przygodą, no dalej, za ten Sopot i Krupówki, i rynek w Sandomierzu, za te wszystkie inne wspólne podróże małe i duże, zakładaj, Meška, tę plastikową bransoletkę na pamiątkę. Założyła i nawet zaczęła się śmiać, że będzie jej pasować do uniformu, jak wróci normalne kelnerowanie.

Pojechaliśmy dalej, w kierunku Waszlowani, wkrótce po lewej stronie wyrósł ten cały Kaukaz i przepadałam.

TERAZ BRANSOLETKA dynda na nadgarstku Meški, jedziemy niby we dwie, a tak naprawdę we trzy, z mamą – nie na tylnym siedzeniu, ale na naszych ramionach, które od ciężaru się garbią i zaokrąglają, jesteśmy coraz niższe, maleńkie w tym wielkim aucie z napędem na cztery koła, z czego jedno nie działa.

Piszę wiadomość na WhatsAppie, że będziemy spóźnione. Wystarczy spojrzeć:

choć jazd z autostrady jest blisko, to jednak łatwo nie będzie, bo Meška błędnie coraz bardziej, mruży oczy, przeskakuje w nierównym rytmie od nawigacji, przez przednią szybę, po lusterka, balansując na jakiejś cienkiej granicy między sennością a nerwowym pobudzeniem. Pamiętam ją taką sprzed lat, kiedy miała za sobą pierwsze weekendowe nocy w słabo obsadzonych restauracjach. Może i trzęsły się jej kolana z wysiłku, ale nie uroniła ani kropli z niesionych na tacach kufii.

Przy zmianie pasa do zjazdu prawie ładujemy się na nos dostawczaka, głośny klakson wgrzyza się w uszy, na moment zagłusza tarcie z tyłu, sprawia, że obie prostujemy się nagle na siedzeniach, mama z ramion nie spada.

— DO WASZLOWANI miałyśmy dwie drogi do wyboru, o czym poinformował nas przystojny właściciel hostelu, stawiając nam przed nosem cziżi-piżi, które zamówiliśmy bez mrugnięcia okiem, pojęcia nie mając, co zastaniemy na talerzach, uwiedzione samą nazwą, brzmiącą jak dziecięca rymowanka, a ja za wszelką cenę chciałam wrócić do dziecięcych rymowanek, wołałam je od dorosłych kłótni, więc powtarzałam sobie cziżi-piżi, cziżi-piżi, aż zjadłam tę mieszaninę jaj, pomidorów i serów do ostatniej łyżki.

Dostałyśmy jeszcze po jednym tonis puri na drogę, za dobre sprawowanie.

Właściciel pokazał nam trasy na mapie wiszącej na ścianie recepcji. Pierwsza okrężna, ale prosta, głównie przez pastwiska, polnymi drogami; z niej wyrasta druga, dużo krótsza, ale pełna zawijasów i spadków terenu, ciągnąca się przez nieco księżycową pustynię. Obie pełne przygód. Zrobiłam zdjęcie tras, porównywałam to wszystko z nawigacją w telefonie, chociaż widziałam, że Meška była głodna wrażeń, chciała dojechać na miejsce jak najszybciej, a jednocześnie nie chciała dojechać wcale.

Przed wyjazdem zauważyłam, że tylna felga jest pokryta czarnymi kropkami, które śmierdzą spalenizną.

– Przecież to tylko do Waszlowani i z powrotem – powiedziała Meška, jakbyśmy nie mogły podróży skończyć tutaj, co to byłby za problem przespać jedną noc więcej w Tbilisi albo nawet w Kutaisi, koło lotniska z krowami na pasie startowym, nie musimy się pchać do parku narodowego, tak naprawdę przecież nawet nie wjedziemy w głąb, starczy nam czasu, żeby się tylko otrzeć o granicę, z daleka popatrzeć na Azerbejdżan, może przytrzymać mamine zdjęcie ze ściany z kuchni w wyciągniętej ręce, gdybyśmy je miały, i spróbować dopasować do krajobrazu, ale przecież to nie było ani nasze zdjęcie, ani nasz krajobraz, ani nawet nasza wycieczka.

TYLKO NA MAGAZYN PISMO . PL

Pismo ze świata

PAWEŁ MARCZEWSKI

O ważnych wydarzeniach i zjawiskach z innych rejonów globu, bez uproszczeń i epatowania egzotyką.



Masz prenumeratę lub sam dostęp online do „Pisma”?
Czytaj nowe felietony z cyklu co miesiąc w **serwisie** i **aplikacji**.



Meška się uparła, że plan trzeba zrealizować, że mama zawsze mówiła o tym Waszlowani i jak to razem z tatą byli w Gruzji z plecakami, wieki temu, w naszym wieku będąc, jak jeździli marszrutkami na trzeciego, niemal zwisając z otwartych okien, z plastikowymi, pozbawionymi etykiet butelkami, w których burzyło się wino kupione na przydrożnych straganach, jak bardzo pragnęli tam kiedyś wrócić. Mama chciała, żebyśmy zobaczyły to samo miejsce za nią i opowiedziały po powrocie, czy stare oliwki dalej stoją. Chodzi o zasady, obietnice i zasady.

Rzeczywiście, wtedy na tarasie widokowym w Tbilisi Meška miała rację, Kaukaz towarzyszył nam od tej pory do samego celu. Przy lewym ramieniu, nieruchomy, jak mur, którym można się było odgrodzić od wszystkiego, co złe, za Kaukazem szalały burze, warczały huragany, a droga, w którą Meška skręciła z głównej, była spokojna, polna, wbiła się w pastwiska aż po horyzont, prawie bez zmian, wszędzie piasek i pył wzbijany spod kół.

Czułam się jak na pustym Księżycu, dopóki nie minęłyśmy pierwszych stad owiec. Przypominały rozsypane bezowe ciastka, z grubą warstwą wełny, gotową niemal do ścięcia. Zalegały na polu porośniętym zażółconą trawą, niektóre odzywały się niskim beczaniem, niektóre tylko bez wyrazu podgryzały to, co miały w zasięgu pyska, czasem siebie nawzajem. Piękny był to obrazek i pokazywałam Meške po kolei, co przykuło mój wzrok, jak w czasach, kiedy rodzice zabierali nas do zoo. Między owcami biegały psy pasterskie, pękate owczarki na wysokich łapach, z wywieszonymi językami; gdzieś na obrzeżach tego ospałego stada kręcili się pasterze na koniach. Pomachałam jednemu z nich, odpowiedział tym samym i przez moment czułam się na miejscu, w domu, bezpiecznie, aż Meška postanowiła ominąć grupę owiec, która za nic nie chciała ruszyć się ze środka drogi. Samochód płynnym

ruchem wjechał na pastwisko i płynnie być przestało, gdy koła wpadły w koleiny, wyjeżdżone przez dużo większe pojazdy, może traktory albo ciężarówki, aż przeszorowałyśmy zawieszeniem po ziemi, tań metal, szły iskry. Meška w panice dodała gazu, usiłując nas z kolein wyciągnąć i w końcu się udało, bo z powrotem wjechałyśmy na polną drogę, ale tym razem nie można było zaprzeczyć, że z autem jest coś nie tak. Tylne koło trzeszczało już bez przerwy.

Stado owiec beznamiętnie patrzyło w naszym kierunku, podobnie jak pasterze i psy. Patrzyłam ja, patrzył i Kaukaz, aż przyszło wybrać drogę do parku i Meška, rzecz jasna, za nic miała ostrzeżenia właściciela hostelu.

Rozboleł mnie brzuch, trochę z głodu, trochę ze strachu, gdy Meška wybrała skrót.

DO TBILISI ZOSTAJE NIECO ponad pół godziny, ale wciąż za długo, żeby zdążyć, na wiadomość nikt nie odpowiada, zaczynam się już martwić hostelem na dzisiejszą noc, bo co, jeśli go nie znajdziemy, co, jeśli się zgubimy, spóźnimy na jutrzejszy samolot, a przecież po drodze trzeba zrobić testy, kupić świeże maseczki, starymi mamy już wypchane kieszenie, chcę poza tym kupić granaty, chcę kupić mandarynki od przydrożnych sprzedawców, jeszcze jedno chaczapuri, tylko jedno chaczapuri, myślę sobie w desperacji, na przednim siedzeniu tego klekoczącego metalowego pudła, w nocy, w śnieżycy, w styczniu, w kraju, w którym przeszliśmy niemal przez wszystkie pory roku, przemierzając go od lewa do prawa.

Aż strzelba wybucha.

– Hamulec nie reaguje – mówi Meška beznamiętnym głosem. – Wciskam i nie reaguje.

Patrzę na nią z niedowierzaniem, bo nie czas na takie żarty, potem patrzę na drogę, a droga jest pokryta warstwą brązowego śniegu, na którym osiada warstwa świeżego, jest zimno, ciemno i pada.

A – koło przestało trzeszczeć.

– Nie reaguje – powtarza Meška, pochyla się mocniej nad kierownicą, zaciska palce, aż bieleją kłykie, zbliżamy się do auta przed nami, migają tylne reflektory, nasze auto prędkości nie wytraca, bo rzecz jasna jedziemy z górki, ten moment wybrały hamulce

na dezercję, nie płaskie stopy na wschodzie, tylko serpentyny w dół, zawijane wokół góry.

Staram się odpowiadać spokojnie, ale głos mi drży, gdy pytam, czy aby na pewno nie reaguje – niezbyt mądre posunięcie, ale jestem spanikowana, na szczęście Meška nie słyszy, zbyt skupiona na pytaniu co robić, trwa to wszystko sekundy, ale czas się rozciąga jak ser i zaraz jak ser się zerwie, więc tylko spokojnie mówię, żeby się zatrzymać, wjechać na pobocze, ale pobocza nie ma, są tylko barierki po obu stronach, przy brzuchu góry, przy przepaści, nasze auto stacza się coraz szybciej, auto przed nami jest coraz bliżej, zamykam oczy, krzyczę.

Meška gwałtownie skręca w cudownie pojawiającą się zatoczkę autobusową i wbiła nas w sam środek zaspasy.

Zaspa jak mur, zaspa jak Kaukaz.

DROGA NA SKRÓTY wcale drogi nie skróciła. Pastwiska i zaorane pola ciągnęły się w nieskończoność z małą przerwą na księżycową pustynię, gdzie nie było nic, tylko piach przyskający spod kół, wciskający się w oczy i nos, kaszlałam potem na brązowo, drapało mnie wszystko w gardło, drapało w oczach, ale nie płakałam, łzy zostały na lotnisku.

Podziwiałam, jak Meška daje sobie radę w tym krajobrazie, sprawnie manewruje napędem na cztery koła, wykręca na zakrętach, znajduje właściwe koleiny, a wszystko to płynnie, jeśli jest się głuchym na trzaski, niewrażliwym na rozgrzane felgi.

Na co dzień Meška jeździła po mieście starym fordem fiestą odziedziczonym po tacie, prostymi trasami, na których zmagać się trzeba najwyżej z większym rondem w drodze do pracy, ale jak przyszło co do czego, to powiedziała, że mamy wozic nie będzie, nie, do szpitala to nie pojedzie, ford fiesta w naprawie, brak czasu, brak ważnego badania technicznego, nocki w pracy, ranki w pracy, głodni ludzie, ty masz łatwiej, ty masz studentów na onlajnie, zresztą bez łańskich końcówek przeżyją, bez jedzenia już nie, wszystko, a właściwie nic, ale na miejsce tego nic wciskała mi w dłonie banknoty, robiła przelewy na telefon, wysyłała bliki poza moją kontrolą, żeby starczyło na taksówkę, taksówką lepiej, pan pojedzie pod drzwi, mamę przepakuję prosto na wózek, ona by

musiała szukać miejsca parkingowego, wiadomo, że przy szpitalach takich nie ma i by tak orbitowała wokół, aż wleją w mamę kolorową chemię.

Nikt się słowem nie odezwał, każdy próbował radzić sobie po swojemu, więc zamaślałam kursy bezpośrednio u ulubionego kierowcy, a Meška tylko dzwoniła z pytaniem, czy są już wyniki kolejnych badań obrazowych, zwykle wyników nie było, bo nie było również terminów i specjalistów w tej nowej zamrożonej rzeczywistości. Wyobrażałam sobie, że stała z jedną ręką na przyciśniętym do ucha telefonie, a drugą w biodegradowalnym pudełku, do którego ładowała kotlety z buraka.

SERCE PODESZŁO MI DO gardła parę razy, kiedy okazało się, czemu przystojny właściciel hostelu odradzał nam skróty. Droga wiała się przez wzgórze, to pięła się stromo w górę, to znów opadała ostro w dół pod kątami, jakich u nas nie widywałam, niedawne deszcze pogorszyły sytuację, ale Meška odważnie parła do celu, z górki na pazurki, przez przednią szybę nie było widać horyzontu, tylko piach, piach, piach. Bałam się, że sturlamy się na dół, okleimy błotem jak śniegową kula, kula żuka gnojnika, i spadniemy prosto na Azerbejdżan.

Zamiast tego były ładne obrazki, była stara opuszczona fabryka na pustkowiu, nowa jednostka wojskowa pełna żołnierzy, z których kilku zasłaniało oczy przed słońcem i patrzyło, jak wlecemy się drogą bez końca, małe mrówki na skórze wzgórze.

Potem było Waszlowani, potem zachciało mi się siku.

DREPCZEMY WKOŁO nieruchomego auta. Nikomu nic się nie stało. Meška ma zarumienione policzki, rozpiętą kurtkę, dalej widzę tę plamę na wełnianym swetrze, przekrzywiona czapka odsłania czerwone uszy, jest zimno, oddech zamienia się w parę. Ma siniaka pod okiem, czy ja to zrobiłam?

Wyciągam telefon, zaraz padnie bateria, ale wybieram ten sam numer, pod który wcześniej słałam esemesy, że się spóźnimy, w słuchawce odzywa się głos, niestety nie władający polskim ani angielskim, nic nie

rozumiem, rozłączam się, wypisuję kolejne wiadomości z wołaniem o pomoc, ale nie wiem, kto jej bardziej potrzebuje, ja, auto czy Meška, która dalej nie może przeprosować, że ledwo uszłyśmy z życiem. Naciągam jej czapkę na uszy, bo jeszcze się rozchoruje.

– I co teraz? – rzuca, ale nie w kontekście całej sytuacji, bardziej w kontekście mojej niemożności komunikacji, jakaś taka zła, że niczego nie umiem załatwić, bo jak widać nie umiem, więc i mnie zaraz puszcza nerwy. Wtedy zauważamy, że zatoczka autobusowa nie jest znowu wcale taka pusta. W głębi stoi budka, jedna z tych, którymi oklejone są gruzińskie drogi, można w nich dostać wszystko, od soków po wino w plastikowej butelce z logo pepsi, a ze środka wystaje uśmiechnięta wąsata głowa i macha ręką, że chodźcie, chodźcie, więc idziemy.

W budce stoi Gruzin obleczony w warstwy swetrów, wygląda jak nasz tata, uśmiechnięty, z czasów, kiedy byliśmy jeszcze wszyscy razem, a nie w kawałkach. Wskazuje na samochód, wskazuje na nas, mówi dużo, ale nie rozumiem nic, nic zresztą nie muszę, bo dogadujemy się rękami i uśmiechami właśnie, całą sytuację obracamy nawet w żart, w końcu wkładam w ręce Gruzina mój telefon z wybranym numerem, po drugim dzwonku ktoś odbiera i oto dzieją się cuda, otwierają nieba, śpiewają serafiny, jesteśmy uratowane, pomoc przyjedzie z Tbilisi, co trochę potrwa, ale jest na co czekać, Gruzin wciska nam do rąk herbatę w plastikowych kubkach i uśmiecha się szeroko do Meški.

Meška nic nie mówi, gniewnym krokiem idzie w kierunku samochodu, gdzie jak dziecko zaczyna kopać nogą w zasnął śniegu.

Wszystko, wszystko przeze mnie. Wszystko, wszystko w porządku.

NIE BYŁAM PEWNA, czy trafiliśmy w to samo miejsce co rodzice, ale chyba nie musiałyśmy, Waszlowani przypominał rajski ogród u kresu pustyni. Przy wjeździe do parku

stała wielka tablica z informacjami, mapą, zdjęciami fauny i flory, były rzecz jasna oliwki, w tym jakieś niesamowicie stare, niedaleko granicy, można podejść i popatrzeć na drzewo, które widziało już wszystko. Wokół rosły świerki, stały ze trzy chaty, teraz puste, w sezonie pewnie wypełnione turystami w śpiworach, pełno ław i drewnianych stołów, żywego ducha, powietrze ciężkie, niby idyllicznie i miło, ale nie mogłam pozbyć się wrażenia, że nie powinnyśmy tu być, że nie wolno, że zaraz z krzaków wyjdzie strażnik parku i nas przegoni.

Felga była gorąca.

Meška zostawiła samochód, poszła przed siebie, dołączyłam do niej i wędrując ramię w ramię, zostawiłyśmy za plecami świerki, przed sobą mając park narodowy Waszlowani. Bezkręśny step z kępkami oliwek, czysty i jasny, jak gdyby żadnych ludzi tu nigdy nie było. W oddali pośród skał zauważyłam ruch, coś uniosło się w górę, przecięło niebo z taką gracją, że aż się zaśmiałam, a gdy słońce przestało oslepić, złapałam Meškę za ramię i w sumie śmiałyśmy się obie.

Nad parkiem krążyły sępy.

Usiadłam na jednej z ławek, zdjęłam czapkę, rozpiłam kurtkę, zapatrzyłam się przed siebie, myśląc, że może mama i tata siedzieli w tym samym miejscu podczas tej pierwszej wycieczki, może spoglądali w tym samym kierunku, widzieli to samo, szli tą samą zaczynającą się u moich stóp ścieżką, prosto do wnętrza zakłętej krainy, posiedzieć pod drzewem oliwnym. Nagle zapragnęłam wszystko to zostawić, zbiec w dół po kamieniach, wzbijać spod górskich butów tuman kurzu, żeby pod tym samym drzewem oliwnym odpocząć, zostawić dokładnie taki sam ślad co mama, może ten jej jeszcze jest tam odcisnięty; ale nic z tego, bo Meška powiedziała, że jest głodna, a z krzaków wyszły koty.

ROBI SIĘ CORAZ PÓŹNIEJ, nikt nie przyjeżdża, nikt nie woła, kręcimy się wokół auta, wydeptujemy w śniegu ścieżki od sklepiu

do dwóch blaszanych bud pod drugiej stronie zatoczki, jest coraz zimniej, coraz później, przynajmniej przestaje padać, na niebie wisi księżyc. Mamy czerwone nosy, szczypią nas policzki. Meśka idzie sikać między drzewa, stoję na czatach, jej biały tyłek niemal świeci w ciemnościach.

Mija godzina zamknięcia sklepiu, ale Gruzini nigdzie się nie rusza. Dolewa herbaty, w międzyczasie obsługuje kolejnych kierowców, sprzedaje czurczchele, chlebki tonis puri, mandarynki. Wysupuję resztki gotówki z kieszeni i chcę kupić kilka Meśce, jak w Boże Narodzenie.

KOTY BYŁY CHUDE I GŁODNE. Wszystkie przypominały kawałki tej samej układanki, białe w szare łaty, w skarpetkach, krawatkach, z plamkami na uszkach, na oczkach, młode, jakby z jednego świeżego miotu, bez matki, wysypały się po prostu z trawy jeden za drugim, kręciły się między naszymi nogami i kiedy się wydawało, że to już wszystkie, spod świerków wychodziły jeszcze dwa, jeszcze trzy.

Para odważniejszych wskoczyła mi na kolana, inne wieszały się ławki, ocierały o łydki, wydając z siebie ciche pomiaukiwania, które od pierwszej nuty roztopiły nam serca i teraz kruszyliśmy ostatnie tonis puri, które nam wręczył przystojny właściciel hostelu, nie myśląc, że to resztki prowiantu, więcej nie miałyśmy, a droga powrotna wcale krótsza się nie zapowiadała, ale nieważne, koty jadły, sępy krążyły.

Nagle Meśka wyjęła z portfela zaginione zdjęcie. Linia zgięcia biegła przez ramię mamy.

MÓWIŁ MEŚCE, ŻEBY WSTAŁA, bo od siedzenia na kamieniu koło blaszanej budki dostanie wilka, po czym wysypuję jej w ręce mandarynki i sama siadam obok, bo co, z Tbilisi nikt nie nadjeżdża, nie zdążymy na samolot, nie zdążymy zrobić testów, zostaniemy i umrzemy w bezimiennej zatoczce autobusowej w kącie Gruzji, co chyba zaczyna rzucać się w oczy, bo Gruzini wychodzi ze sklepiu, rękami każe nam wstawać, jestem pewna, że wymienia jakiś odpowiednik wilka w swoim języku, po czym wskazuje

jeden z blaszaków, zagania nas do środka, a w środku jest ciepło, po włączeniu światła ukazuje się piecyk elektryczny, po lewej graciarnia, po prawej wszystko na białe – stół, drewniana stolnica, gruda miękkiego ciasta pod cienką warstwą mąki, wygląda to jak kuchnia u babci, gdy ledwie sięgałam głową ponad stół, a mama lepiła pierogi, pamiętam, że razem z Mešką miętosiliśmy w rękach podobne ciasto, czasem stawałam na stołku i wałkowałam, jeśli mi ktoś pozwolił, teraz mam ochotę dotknąć tego gruzińskiego, sprawdzić, czy jest tak sprężyste jak babcine.

Nasz gospodarz wprawną ręką tnie ciasto na kawałki, formuje je w kształt łez, ładuje na inną stolnicę i wychodzi z całym tym ambarasem na zewnątrz, nie wiem, co dalej, patrzę na Meškę, Meśka wygląda jak mała rozczochrana dziewczynka w ciele dorosłej kobiety, ze smarkiem pod nosem i ustami w podkówkę. Chcę ją wziąć za rękę, ale się nie daje.

Idę sama za Gruzinem.

WSTAŁAM NAGLE, KOTY wysypały się z kolan, za nic miałam sępy i końce świata, pytałam, skąd ma to zdjęcie, jakim cudem trzyma je w rękach, skoro pozwoliłam, żeby to tato sobie je zachował, dalej nie mogło ułożyć mi się w głowie, że to żaden tato, że to Meśka podczas tych ostatnich wizyt w domu ukradła ramkę, wyjęła zawartość, schowała do portfela, pogięła w taki barbarzyński sposób, jakby nie można było po ludzku zrobić odbitki, tylko jakieś dziecinne podchody. Nakręcałam się jak katarynka, ale przecież doskonale wiedziałam, obie wiedziałyśmy, że złościłam się tylko o to, że Meśka była szybsza.

Koty bały się krzyków, usunęły się w trawę, jeden cichaczem wyjął z mojej ręki resztki placaka, kiedy Meśka zaczęła odpowiadać na oskarżenia, że zdjęcie to jedyne, co jej zostało.

Sępy krążyły coraz niżej, kiedy ją uderzyłam.

GRUZIN PROWADZI NAS DO drugiego blaszaka, w którym jest jeszcze cieplej, bo stoi piec – okrągły, kamienny, przypomina studnię, w którą można wpaść i już na zawsze

dzźwięki północy

37. FESTIWAL DŹWIĘKI
PÓŁNOCY | 37th FESTIVAL
SOUNDS OF THE NORTH

CENTRUM ŚW. JANA |
ST. JOHN'S CENTRE |
RATUSZ STAROMIEJSKI |
OLD TOWN HALL

11–14.07.2024
Gdańsk



www.dzwiekipolnocy.pl
www.nck.org.pl

bilety: www.interticket.pl



Nadbałtyckie
Centrum Kultury
Gdańsk



Instytucja Kultury Samorządu
Województwa Pomorskiego

zapanuje cisza, spokój, nigdy więcej wojny. Ale zamiast tego jest gruziński potok słów, co otula jak kołdra, aż się chce tu zostać, w tym blaszaku, więc chcę zostać, Meška chce – widzę – wychodzić, ale Gruzin wciska każdej z nas do ręki ciasto, sam wrzuca swój kawałek do pieca tak, żeby przyczepił się do ścianki. Pokazuje, że mam robić to samo, ale nie bardzo chce mi się zanurzać w tej studni, a przynajmniej tak mi się wydaje, bo mimo wszystko po chwili przyklejam ciasto do kamienia. Pachnie cynamonem i babcią.

—
BILIŚMY SIĘ JAK dziewczynki w czwartej klasie, leciały wrywane włosy, odbijały się ślady zębów na nadgarstkach, podciągały swetry, ściągały legginsy, szedł w górę pył, wciskał się w nosy, brudził oczy, z oczu leciały łzy, z nosa smarki. Siłowałyśmy się tak samo, jak kiedyś w naszym pokoju na piętrze, gdy jedna nie chciała ustąpić drugiej, teraz było podobnie, z tym że nie wygrała żadna.

Wiatr rozgonił kawałki podartej fotografii.

—
GRUZIN NAKRYWA piec blachą, czekamy, czekając, oglądamy zdjęcia jego córek na telefonie, zapominam o Tbilisi, samolocie i stach.

—
STAŁYŚMY NIERUCHOMO, patrząc, jak fragmenty zdjęcia uciekają coraz dalej, coraz wyżej, w końcu ponad urwisko, gdzieś w sam środek parku. Żadna nie reagowała. Wydawało mi się, że widzę ostatni raz błysk w oku mamy, na tle drzew oliwnych i nagle poczułam, że trafiłyśmy we właściwe miejsce, że wiatr wpasował zdjęcie w krajobraz i jest tak, jak być powinno. W porządku.

W końcu Meška to wszystko zerwała, machnęła ręką i odeszła gdzieś między świerki. Zostałam sama, gapiąc się na Waszlowani i Azerbejdżan, gdzieś tam daleko, za drzewami oliwnymi, i byłabym tam tkwiła jeszcze długo, gdyby nie rozległ się dźwięk silnika i warczenie wściekłych psów.

W biegu poprawiając legginsy po zapaśach, wyszłam zza świerków, żeby zobaczyć, jak w moim kierunku biegają psy pasterskie, a Meška odjeżdża za horyzont.

Psy szczyrzyły zęby, nie widziałam nigdzie ani stada, ani pasterza, nikt postronny mnie nie uratuje, rozszarpia mnie te brutusy i burki na stepie gdzieś pod azerską granicą, widziałam tylko Meškę, bezpieczną w aucie na jałowym biegu, jak patrzyła i wahała się. Jechać czy wrócić. Jechać czy wrócić.

—
GRUZIN WYCIĄGA z pieca gotowe tonis puri, podaje nam nasze, pokrzywione, wybrzuszane, w niczym nie przypominają tych profesjonalnych, ale to nic, parzą w ręce jak prawdziwe i profesjonalne.

—
NIE UCIEKAŁAM, bo gdzie, między świerki i bezdomne koty, no nie bardzo, zastygłam i zamarłam, z legginsami ledwo naciągniętymi na tyłek.

Czas rozciągnął się jak ser i jak ser pękł.

Meška nadjechała z piskiem opon, w chmurze pyłu, otworła drzwi po stronie pasażera, krzycząc, żebyśmy wsiadała.

—
SIEDZIMY NA TYM samym kamieniu co wcześniej, choć zimno, coraz zimniej, coraz później, minęło kilka godzin od telefonu do Tbilisi, ale to nic, mamy tonis puri, mamy siebie, pod butami oberki z mandarynek.

Nagle Meška pyta, dlaczego nie dopuściłam jej do mamy.

– Dlaczego nie dopuściłaś mnie do mamy – pyta Meška i nagle się ulewa wszystko, co narastało od ostatnich tygodni, właściwie od ostatnich miesięcy, może nawet odkąd jako siostry zaczęłyśmy odrastać od siebie każda we własną stronę. Nie gestykułuję, nie podnosi głosu, tylko miętosi te mandarynki i wymienia momenty, kiedy to ja zajmowałam miejsce po prawicy mamy, że to mnie mama prosiła o pomoc w umyciu się, czesaniu, jedzeniu, to ja mogłam zostać w sali na wymianie cewnika czy smarowaniu odleżyn, nie ona, Meška miała służyć tylko transportowi od szpitala do domu, a gdy odmówiła, to wypchnęłam ją poza ramy, poza chorobę, a teraz nawet poza żalobę, rozgościłam się na jej miejscu i jeszcze się dziwię, że Meške się nie podoba.

Dodaje, że wepchnęłam się na tę wycieczkę, dobrze się bawiła, dopóki nie stanęłam

na przystanku w Tbilisi, i dobrze by się bawiła dalej, bez gadania, że koło zepsute, jak nie zepsute, skoro jeździ, albo że nam dowalał kwarantannę bez testu, skoro test na pewno da się zrobić wszędzie i zawsze, a jeśli nie, to certyfikat pewnie można kupić na bazarze, po co to wszystko.

Pozwalam Meške mówić, aż w końcu przestaje i wdycha, tak głęboko wdycha, że mogłaby w płucach zamknąć cały świat.

Waham się tylko przez moment, ale biorę ją za rękę, ściskam za nadgarstek tuż nad śladami zębów i bransoletką, a w tym geście zawiera się podróż z Waszlowani, przez step, bez słów, zawiera się może nawet mama, brak mamy, te wszystkie minione tygodnie.

Na pewno wkrótce ktoś po nas przyjedzie, dojedziemy bezpiecznie do Tbilisi, stamtąd ruszymy dalej, zatrzymamy się może w Gori, mieście narodzin Stalina, zrobimy sobie testy na covid, przez brudną szybę popatrzymy na jarmark na rynku, dojedziemy do Kutaisi, na lotnisko, może starym mercedesem z kierownicą po niewłaściwej stronie, na pasie startowym będą krowy, pójde je pogłaskać, tak, pójde w błoto je pogłaskać, może nawet z nimi zostanie.

Wyciągam nagle telefon i na ostatniej kresce baterii robię nam wspólne zdjęcie. Nie ma Waszlowani, plecaków, plastikowej butelki z winem i mamy, jest Meška w wełnianym swetrze z płamą i wilgotnymi oczami, ja z kawałkiem tonis puri w kąciu ust i czerwonym nosem, obie dumnie prezentujemy bransoletki przyjaźni.

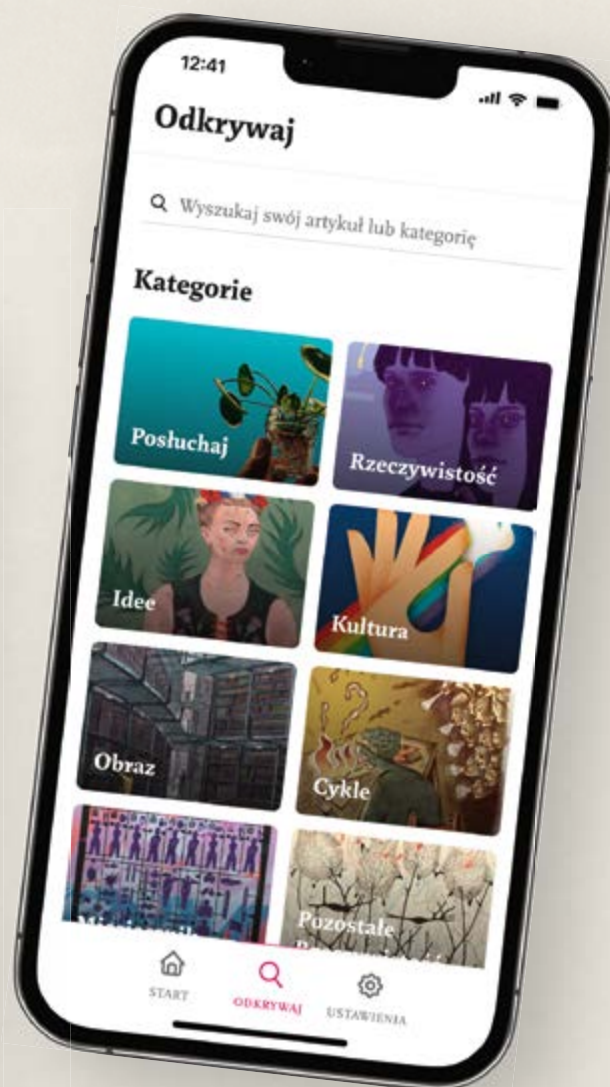
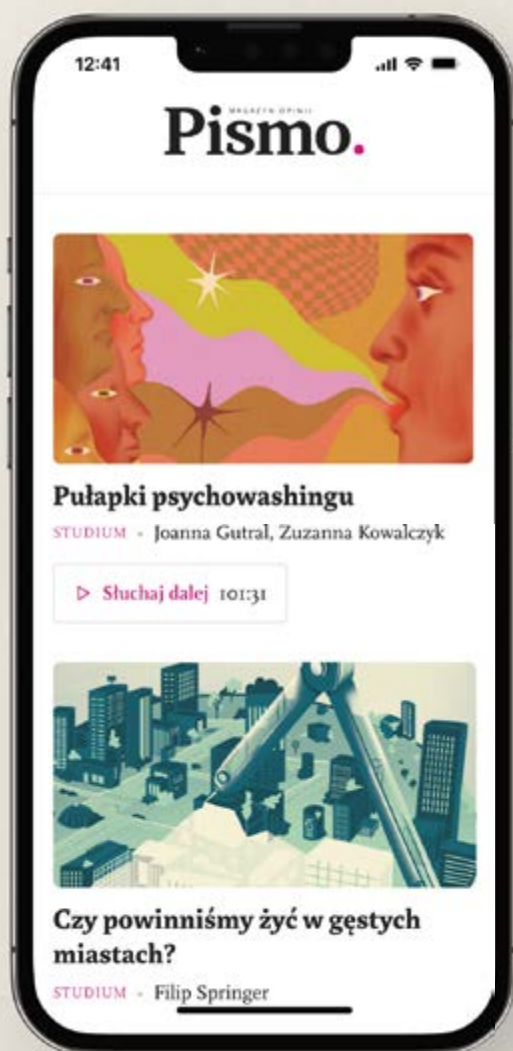
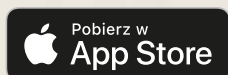
Jest po co wracać, no nie?



Więcej prozy przeczytasz lub wysłuchasz na magazynpismo.pl/proza

Czytaj i słuchaj
w wygodnej
aplikacji mobilnej.

MAGAZYN OPINII
Pismo.



magazynpismo.pl/aplikacja



zdjęcie Turystki na szlaku Orlej Perci, 1935, Narodowe Archiwum Cyfrowe, domena publiczna



ESEJ IDEE

Nowe krajoznawstwo: kibicować gorszym

tekst EWA PLUTA

SOLIDARNOŚĆ Z NIZINAMI, uznanie dla Syzyfa z Puszczy Noteckiej, ciekawość rzek, których nie ma, i troska o rzeki, które mogą zniknąć. Może właśnie o to chodzi we współczesnym krajoznawstwie – żeby kibicować gorszym?

Ta wyprawa nie miała szans się udać. Los chciał jednak inaczej.

Dach Mazowsza. Góra gór. Tajemnicza i majestatyczna. Jej wysokość robi wrażenie, wręcz onieśmiewia. Licząca 408 metrów nad poziomem morza góra Altana jest najwyższym szczytem województwa mazowieckiego. Czy uda nam się zdobyć ten niedostępny wierzchołek? Przecież mamy do pokonania aż 60 metrów przewyższenia. Warunki pogodowe prawdopodobnie będą trudne. Trwa polskie przedwiośnie, co oznacza, że należy spodziewać się wszystkiego, a najrozsądniej – najgorszego. Trzeba z rozmysłem skompletować sprzęt. Zadbaj o bezpieczeństwo. Najbliższych przygotować na najgorsze. Czy będziemy potrafili wyjść zwycięsko z morderczej walki z własną słabością i zwątpieniem, które na pewno nas dopadną, gdy będziemy trawersować zbocze Altany? Mimo strachu decydujemy się podjąć akcję wspinaczkową. W redakcji „Pisma” dostajemy *permit* na jednodniową absencję w pracy.

– To rzeczywiście wymagająca wyprawa. – Szczepan Żurek nie owija w bawełnę. Przed wyprawą proszę go o radę, jak się przygotować do ekspedycji. Szczepan jest niezwykle zasłużony dla rozwoju alpinizmu nizinnego w Polsce. Był organizatorem i uczestnikiem pięciosobowej ekspedycji Korona Warszawy w 2015 roku (wzięli w niej udział także Paweł Cywiński, Jan Mencwel, Mateusz Luft i Jarosław Ziółkowski). Projekt zaczął się od żartu na imprezie w gronie znajomych, z czasem stał się wydarzeniem medialnym. Media relacjonowały udane akcje zdobywania sześciu szczytów Warszawy: Góry Gnojnej (86,5 metra nad poziomem morza), Kopy Cwila (108 metrów), Kopca Powstania Warszawskiego (121 metrów), Kopca Moczydłowskiego (130 metrów), Góry Trzech Szczytów (133,9 metra) i Górki Szczęśliwickiej (152 metry).

W projekcie oprócz wyczynu sportowego ważny był także cel charytatywny – zbiórka pieniędzy na Fundację Rak’n Roll. Oraz opowieść. Ironiczna, z przymrużeniem oka, w kontrze do wielkich narracji turystycznych rodem z wydawnictw Lonely Planet. To była postturystyczna gra z konwencją, w jakiej opisywane są nie tylko wysokogórskie wyprawy: językiem podboju i dominacji, egzotyzującym lokalną społeczność i sprowadzającym ją do malowniczego tła dla przeżyć człowieka, najczęściej mężczyzny z zachodniego kręgu kulturowego. Patetyczny język w zderzeniu z niezbyt spektakularną rzeczywistością warszawskich dzielnic mieszkaniowych – bądźmy szczerzy, Kopa Cwila to żaden Broad Peak – do dziś inspiruje, czego przykładem jesteśmy my: Katarzyna Kazimierowska, Karolina Mazurkiewicz i autorka tego tekstu, członkinie zimowo-wiosennej ekspedycji na Altanę. – Wydaje mi się, że zarówno Korona Warszawy, jak i korona gór wszystkich nizinnych województw w Polsce

są na tyle egalitarne, że w zasadzie każdy może wstać z kanapy i je zdobyć – rzuca na pocieszenie Szczepan.

„Na tym opiera się koncepcja alpinizmu nizinnego – każdy może to zrobić” – będę powtarzać za kolegą alpinistą nizinnym w chwilach zwątpienia, ale to później.

Teraz jest 1 marca 2024 roku, świt – dochodzi godzina 9:00, pakujemy sprzęt wspinaczkowy do samochodu i ruszamy na południowe rubieże województwa mazowieckiego. O bezpieczeństwo ekspedycji zadba pies ratunkowy Wilczyca, pluszak, którego wielkodusznie użyczył nam na czas wyprawy Staś, syn Katarzyny. Ruszamy z nadzieją na okno pogodowe i wielką ambicją, by zapisać się złotymi zgłoskami w historii alpinizmu nizinnego. Oby góra gór była dla nas łaskawa.

Godzina 10:45, cicho, słonecznie. Ekspedycja dociera do malowniczej, nieco senniejszej osady Hucisko, położonej u podnóża Altany. To miejsce pełne kontrastów, gdzie historia spotyka się z nowoczesnością. Choćby lokalna architektura. Nowoczesne budowle z pustaka wyrastają tuż obok tradycyjnych domów z drewna. Żałujemy, że nie możemy zajrzeć do typowego domostwa i zaznać gościnności localsów. Chcemy jednak wykorzystać okno pogodowe. Czym prędzej organizujemy karawanę i rozpoczynamy mozolną wspinaczkę na Dach Mazowsza.

Godzina 11:20, bezwietrznie, nadal słonecznie. Po około dziesięciu minutach morderczego marszu znajdujemy wypłaszczenie terenu, gdzie decydujemy się rozbić bazę. Żałujemy, że nie udało nam się pozyskać sponsorów i dzięki zgromadzonym środkom zatrudnić tragarzy, którzy by pomogli wnieść sprzęt wspinaczkowy. Mimo obciążenia szybko zdobywamy wysokość. W leśnej gęstwinie rozbijamy obóz. Najpierw stawiamy namiot plażowy, który ma nas chronić przed złowieszczym wiatrem i dojmującym zimnem. Wtem na drodze nieopodal mija nas samochód. Niewykluczone, że to wspinacze komercyjni, na tlenie, również zdecydowali się tego dnia podjąć próbę ataku szczytowego. Należy podkreślić fakt, że w odróżnieniu od nich my atakujemy Altanę bez tlenu. Zanim jednak to nastąpi, przygotowujemy na kuchence turystycznej kawę i posilamy się batonami proteinowymi. Prowadzimy też nasłuch radiowy. Jednak każda minuta na tej wysokości działa na naszą niekorzyść, dlatego decydujemy się na wyjście z bazy. Podejmujemy udaną próbę wytyczenia oraz zaporęczowania trasy i zaczynamy akcję w ścianie Altany.

Najtrudniejszy fragment drogi znajduje się w partiach szczytowych, powyżej 370 metrów nad poziomem morza. Ze względów bezpieczeństwa ograniczamy aktywność wspinaczkową do jednego ataku szczytowego. Przez chwilę przeżywamy zwątpienie w sens akcji. Dochodzi południe, wspinamy się już ponad godzinę, a szczytu nadal nie widać. Jak to możliwe, dlaczego, czy coś poszło nie tak, gdzie popełniłyśmy błąd, może trzeba było pojechać

w Tatrach, zamiast pchać się na Dach Mazowsza? Nagle dostrzegamy między drzewami metalową konstrukcję. Czy to przeciwpożarowa wieża obserwacyjna na szczycie Altany? Znowu wstępuje w nas nadzieja. Podejmujemy próbę ataku szczytowego.

Najwyższy szczyt województwa mazowieckiego zdobywamy o godzinie 12:20 czasu polskiego. Dzięki determinacji, mimo problemów logistycznych, na przekór zwątpieniu. Z trudem powstrzymujemy łzy szczęścia, głos więźnie w gardle, drżące dłonie chwytają za smartfon, by uwiecznić tę niezwykłą chwilę. Chwilę tryumfu człowieka nad naturą i własną słabością. Nie mamy jednak wiele czasu, by rozsmakowywać się w sukcesie, przed nami kolejna walka – o szczęśliwy powrót do bazy.

Dochodzi godzina 13:00, zrywamy bazę, organizujemy karawanę powrotną na parking w Hucisku. Cieszymy się, że mogliśmy zapisać piękną kartę w historii alpinizmu nizinnego. Najważniejsze: nikt nie zginął. Nawet pies ratownik wrócił do syreniego grodu w jednym pluszowym kawałku.

POCZĄTKOWO TO MIAŁ BYĆ tekst o tym, że należy definitywnie pożegnać się ze starym kanonem krajoznawczym. Już dość: widoków Morskiego Oka, Giewontu, krypt na Wawelu, żurawi stocznioch w Gdańsku, kościoła Mariackiego w Krakowie. Dość już zmurszałych kamieni ku czci i obelisków upamiętniających stoczone bitwy, przelaną krew, męczeństwo. Niech szlak turystyczny nie prowadzi pod pomnik, do kościoła albo na cmentarz. Niech wreszcie objawi się w krajoznawstwie Polska inna niż cierpiąca i nieco nadęta, która ma poczucie humoru i dystans do siebie. Niech Polska będzie jak fajna koleżanka, a nie z pozoru groźna, a w istocie śmieszny wuj z wąsem. Czas pożegnać stare krajoznawstwo – turystyczną cepeliadę, raczej relikwiarz przeszłości niż ciekawy plan na przyszłość.

Teraz idzie nowe: wycieczki na najwyższe szczyty województw w konwencji wysokogórskich wypraw czy trekking do najniższej położonego punktu w Tatrach. Wszystko to obficie podlane ironią i dobrze udokumentowane w mediach społecznościowych oraz zaserduszkowane przez znajomych z bańki. Jednak w miarę poznawania historii przedwojennego krajoznawstwa coraz mniej rozumiałam swoją chęć zdeprecjonowania dokonań kilku pokoleń krajoznawców. A może idea krajoznawcza nie wymaga unicestwienia, ale odświeżenia? Może potrzebna jest nowa krytyczna opowieść, która wydobydzie z krajoznawstwa to, czego obecnie tak bardzo potrzebujemy, a co jest jego istotą: wspólnotowość, troskę o przyrodę, zaangażowanie społeczne, a wszystko to realizowane podczas pieszych (choć nie tylko) wycieczek po Polsce? To od pieszych wycieczek wszystko się zaczęło.

—
LIPIEC 1885 ROKU, na stacji kolejowej w Zawierciu z pociągu relacji Sosnowiec–Warszawa wysiadło dwóch mężczyzn: dziewiętnastoletni Aleksander Janowski, absolwent Szkoły Technicznej Warszawsko-Wiedeńskiej Kolei Żelaznej, pracownik kolei, oraz jego szkolny kolega, malarz awangardzista o pseudonimie Maljasz. Mężczyźni opuścili dworzec i zaczęli wędrówkę do ruin zamku w Ogródzieńcu. Janowski i Maljasz zrobili coś, o czym większość Polaków nawet nie śniła w tamtym czasie – uprawiali krajoznawstwo. „Wędrowaliśmy z Zawiercia, chłodząc się wodą to z Warty, to z Przemszy na tym wąskim wododziale Odry i Wisły. Gdy wyszliśmy na wzgórze za miasteczkiem i ukazały się w swym majestacie potężne mury ogrodzienieckiego zamku, stanąłem jak wryty. Był to niezapomniany wstrząs. Pamiętam, że jak Krzyżowcy na widok murów Jerozolimy, wołałem: «Bóg tak chce!» – tak Janowski wspominał tę wycieczkę w 1931 roku na łamach czasopisma krajoznawczego „Ziemia”.

W doświadczeniu krajoznawstwa Janowski jest nieodrodnym dzieckiem epoki romantyzmu. Jego oko przeszło już trening rozpoznawania malowniczych, a zarazem budzących grozę i wzniosłość widoków. Wszystko się tu zgadza: baszty są potężne, niebo – błękitne, nawałnica – rozszalała, poświata księżycy – mistyczna. Punktem kulminacyjnym jest burza, którą Janowski i Maljasz obserwowali z okien chaty we wsi Podzamcze: „Purpura błyskawic złościła wieżycę, otchłanie okien czarnymi oczodołami wpatrywały się w rozpętanie żywiołów”. Podczas nocy spędzonej w ruinach zamku Janowski wychodzi jednak poza romantyczny, zindywidualizowany scenariusz przeżywania krajoznawstwa. Ruiny zamku objawiły się mu jako symbol zaniedbanej i zapomnianej Polski, ale też zobowiązanie do jej naocznego poznawania. „Zupełnie podświadomie rozbudziło się w duszy pragnienie: aby te cuda naszej przyrody i kultury mogły być podziwiane przez najliczniejsze rzesze. To była właśnie bezwiedna koncepcja krajoznawstwa”.

Wycieczka do ruin zamku w Ogródzieńcu, epifania widoku, której doświadczył Janowski, stanowi założycielski mit przedwojennego krajoznawstwa. Gdy w 1906 roku z inicjatywy Aleksandra Janowskiego, Kazimierza Kulwiecia, Zygmunta Glogera i Mikołaja Wisznickiego powstało, na fali odwilży w zaborze rosyjskim, Polskie Towarzystwo Krajoznawcze (PTK), na odznace organizacji w centralnym punkcie umieszczono właśnie ogrodzieniecki zamek, a na otoku herby Poznania, Krakowa i Warszawy. „Straszną klęską był podział na zabory, inaczej kształtowała się dusza «pознаńczyka» czy «królewiana», czy «galicjanina». Te trzy nazwy powinny dziś zniknąć (...). Mamy nadzieję, że wędrówki nasze krajoznawcze zetrą ślady dawnych granic, że poznawszy się,

Wycieczka do ruin zamku w Ogródzieńcu stanowi założycielski mit przedwojennego krajoznawstwa.

pokochoamy się wzajemnie” – podkreślano w pierwszym, wydanym w 1920 roku, numerze „Miesięcznika Krajoznawczego dla Młodzieży” [późniejszy „Orli Lot” – przyp. red.], miesięcznika krajoznawczego dla młodzieży.

Oczywiście ruch krajoznawczy nie narodził się wraz z powstaniem PTK, jego rozwój zasadniczo nastąpił w XIX wieku, zwłaszcza na terenie cieszącej się względnymi swobodami politycznymi Galicji, w 1873 roku powstało (formalnie w 1874) Towarzystwo Tatrzańskie z siedzibą w Krakowie.

Polska była pokawałkowana. Krajoznawcy szukali kleju, który by na powrót połączył części w jedną całość. Tym klejem miały być krajobrazy. Góral spogląda na ośnieżony Giewont, czółna kołyszą się na Niemnie, Zamek Książąt Mazowieckich w Płocku góruje nad Wisłą, żubry pasą się na białowieskiej polanie, flisacy spławiają tratwy na Dunajcu, krzyże tkwią na rozstajach dróg, przydrożne wierzbki rzucają cień, do bazyliki w Wilnie spieszą wierzni, w Ostrej Bramie kłębi się tłum. Widoki polskości intensywnie reprodukowałam i utrwalam ruch krajoznawczy. W pierwszym dziesięcioleciu PTK wydało ponad 800 tysięcy pocztówek oraz blisko pięćdziesiąt publikacji w nakładzie przekraczającym 100 tysięcy. Zdjęcia krajobrazów, które z czasem staną się kanonem krajoznawczym, publikowano także na łamach „Ziemi” i „Orlego Lotu”. W tym pierwszym czasopiśmie prezentowano zdjęcia z cyklu „Nasze krajobrazy”, których autorem był między innymi Jan Bułhak, twórca idei fotografii ojczystej.

– Do odzyskania niepodległości ruch krajoznawczy, a w szczególności Polskie Towarzystwo Krajoznawcze, nazywano nieformalnie „ministerstwem polskości”, a swoje praktyki krajoznawcy określali jako geografie serdeczną, bo tworzona hierarchia widoków miała być ważna dla serca społeczeństwa. Krajoznawcy używali również takich pojęć jak „ojcowizna” i „swojszczyzna”. Chodziło o to, żeby krajobraz ośwoić, uczynić naszym – powiedział mi doktor Piotr Kubkowski, kulturoznawca z Uniwersytetu Warszawskiego, w pracy badawczej zajmujący się między innymi kulturową historią ruchu krajoznawczego.

W „Naszych krajobrazach” znalazły się oczywiście górskie pejzaże – kształtująca się od XVIII wieku fascynacja górami była ogólnoeuropejskim trendem. Na łamach „Ziemi” krajoznawcy opisywali i fotografowali także rzeki, nie tylko te największe, jak Wisła czy Niemen, lecz również pomniejsze: Nidę, Drawę, Brdę, Kamienną. – Wyzwaniem były niziny. Na przełomie XIX i XX wieku dyskutowano przejściowość polskiego krajobrazu, w którym, jak podkreślano, brakuje dominanty. Nuda krajobrazu nizinnego, Wielkopolski czy Mazowsza, była traktowana jako problem, szukano więc ciekawych elementów, które by go interesująco opowiedziały – dodaje Kubkowski. – Dzisiaj szukamy kadrów, w których nie

będzie śladów cywilizacji, kanon krajoznawczy kojarzymy raczej z widokami należącymi do porządku naturalnego. Przedwojenni krajoznawcy myśleli o kanonie inaczej. Wystarczy popatrzeć na pocztówki wydawane przez PTK: fabryki, bele drewna w porcie w Bydgoszczy, rybołówstwo. Oni nie widzieli w tym alternatywnej atrakcji, nie traktowali z przymrużeniem oka. Dokumentowali widoki, które miały świadczyć o potencjale ekonomicznym kraju. Gdyby dziś odkryto w Polsce złożę litu, raczej nie weszłoby ono szybko do kanonu krajoznawczego, a myśleć, że w 1906 roku – jak najbardziej.

Wspólnototwórcza rola krajoznawstwa wyczerpuje się pod koniec lat 20. XX wieku, gdy granice kraju są ustalone i okreple. „Krajoznawcy już wówczas nie szukają krajobrazów i widoków. Ich lista jest względnie gotowa i odtąd będzie tylko potwierdzana (...) w podrózach, w zapisach doświadczeń obywateli i obywaterek, w folderach turystycznych, w podręcznikach (...). Już wiadomo, dokąd jeździć i czego po tych wyjazdach oczekiwać. Scenariusze emocji, jakie mamy odczuwać względem ruin czy panoram, są już napisane – powiedział Kubkowski w zorganizowanym przez Instytut Kultury Polskiej wykładzie *Opowieści krajobrazu*. – Krajoznawstwo tego okresu nie było (...) zamkniętą w murach akademii dyscypliną nauki ani też nie było uprawianą zza biurka praktyką literacką (...). Jego podstawą było doświadczenie terenowe [czyli wycieczka – przyp. E.P.], obcowanie z historią wpisaną w krajobrazy”.

—
CZY WYCIECZKA na najwyższy szczyt województwa mazowieckiego zyskałaby przychyłność szacownego Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego? Czy redakcja „Ziemi” byłaby zainteresowana publikacją relacji? Niewykluczone, że przedwojennym krajoznawcom przypadłoby do gustu pomysł odkrywania najbliższej okolicy, co Aleksander Janowski określał w poradniku *Wycieczki krajoznawcze: wskazówki metodyczne z 1900 roku* jako „pierwsze i zasadnicze prawo wycieczki”: „Niech to będzie swoje województwo lub chociażby swój powiat tylko”. Przedwojennym krajoznawcom mogłoby się jednak nie spodobać, że to wycieczka wyłącznie dla zabawy, nie kieruje nami poczucie obowiązku wobec kraju, przedkładamy konsumowanie krajobrazów nad zdobywanie wiedzy geograficznej i historycznej o regionie, nie kolekcjonujemy pamiątek przeszłości, jedynie wrażenia. Mogliby nie zrozumieć, że nie ma w nas odruchu nie tylko gromadzenia i zdobywania wiedzy, na przykład na temat budowy geologicznej Garbu Giełniowskiego, do którego należy Altana, lecz także jej upowszechniania – w formie krajoznawczej publikacji lub podczas odczytu przygotowanego na podstawie skrupulatnie prowadzonych w terenie notatek. Raczej odmówiono

800 tysięcy

• tyle pocztówek wydało PTK w pierwszym dziesięcioleciu oraz blisko pięćdziesiąt publikacji w nakładzie przekraczającym 100 tysięcy.

by nam prawa do nazwania wycieczki na Altanę krajoznawczą.

„«Krajoznawcza» wycieczka winna prowadzić koniecznie do poznania kraju, a właściwie części jego lub jednej miejscowości czy nawet jakiegoś szczegółu, ale do poznania, a nie do obejrzenia” – napominał Mikołaj Wisznicki w artykule *Wycieczka krajoznawcza* opublikowanym w „Ziemi” w 1929 roku. Według kryteriów przedwojennego krajoznawstwa nasza skromna wyprawa nie była – jak określiliby to Wisznicki – „czystej krwi” krajoznawczą, również dlatego, że większość trasy pokonałyśmy autem, a jedynie ostatni odcinek prowadzący na szczyt – pieszo. Tylko piesza wycieczka daje „maksimum możliwości poznania kraju”, na piechotę można dotrzeć do miejsc położonych poza szlakami, a więc nierzadko ciekawszych. Z konieczności pokonuje się trasę wolniej, ale za to można poczynić więcej obserwacji – przekonywał Wisznicki, odwołując się do własnego doświadczenia w terenie – trwającej dwadzieścia osiem dni pieszej wycieczki z Warszawy do Zakopanego. Wtórował mu Janowski: „Najwięcej jednak korzyści i najwięcej zadowolenia daje podróż piesza”.

Wielcy krajoznawcy mogliby też być zdziwieni, a może nawet zawiedzeni, że nasza wycieczka na Altanę była tak osobowo skromna.

Drugiego czerwca 1907 roku do przystani w Gniewniewiczach dobiły dwa wiślane parostatki: „Kopernik” i „Nadwiślanin” z 387 osobami na pokładzie. Gromada wysypała się na brzeg i pod kierunkiem Aleksandra Janowskiego, familiarnie nazywanego w środowisku krajoznawczym Wujem, i Kazimierza Kulwiecia ruszyła w stronę Puszczy Kampinoskiej przez Leoncin i Teofile do Starej Dąbrowy. Za piechurami jechały furmanki z bagażami, panie osłaniały twarz parasolkami, podtrzymywały ogony sukien. „Takiego korowodu pewnie nie widziały te strony” – pisał Janowski w *Wycieczkach krajoznawczych*.

W relacji z wycieczki do Puszczy Kampinoskiej podkreślano również jej demokratyczny, włączający charakter: „Młodzież i starsi, chłopcy i dziewczęta, ludzie różnego stanu i zawodu, wszyscy czuli się tutaj tylko dziećmi jednej ziemi, tej ziemi, którą tu poznać przyszli” – opisywał wycieczkę jeden z uczestników. Z kolei w pieszej wycieczce z rogatki Jerozolimskich do Raszyńska i Falent, a później do Włoch, w maju 1909 roku, wzięło udział 349 osób „rozmaitego wieku i płci” – jak relacjonowano w „Ziemi”.

Jak dostojni krajoznawcy zareagowaliby na wiadomość, że w wycieczce na Altanę biorą udział wyłącznie kobiety? Kibicowaliby, odradzali eskapadę bez męskiego opiekuna, a może w ogóle nie byłiby zdziwieni? Przecież do początku XX wieku niewiele kobiet uprawiało turystykę. A tymczasem w krajoznawstwie: – Kobiety



Państwowe Kamieniołomy Janowa Dolina
(Wolyn – Powiat Kostopolski)

Słupy bazaltowe

od początku angażowały się w działalność PTK, uczestniczyły w wycieczkach, pisały publikacje, prowadziły w szkołach koła krajoznawcze. To były często wykształcone osoby, ze szlacheckich i inteligenckich domów. Odbiorniczykami, a zwykle również bohaterkami pogadarek krajoznawczych, na przykład autorstwa Janowskiego, były dziewczynki, co jeszcze dwie dekady wcześniej było nie do pomyślenia. Otwartość na kobiety wynikała po części z ducha czasów: rewolucji społecznej w latach 1905–1906 w Kongresówce, a po części z charakteru przedwojennego PTK, które tworzyły raczej osoby o sympatiach lewicowych, pepeesowcy i piłsudczycy – zaznacza Piotr Kubkowski.

Po chwili dodaje jednak: – Krajoznawstwo to przede wszystkim historia męskiej pasji. Jest w nim performans, zdobycz, wyczyn, na ogół kojarzone ze światem męskich ambicji. Niewykluczone, że po drodze, realizując własne ambicje, mężczyźni sekowali kobiety.

Choćby dlatego kanon krajoznawczy należałoby poszerzyć o krajoznawczynie, które przecież były: chodziły, wyjeżdżały, wspinały się, organizowały, publikowały. Można je zobaczyć chociażby na archiwalnych zdjęciach. W publikacji Jana Piotrowskiego *110 lat krajoznawstwa polskiego: tradycja i nowe wyzwania do fotografii* z 1910 roku pozuje czternaścioro członków PTK, w tym sześć kobiet. Kolejna fotografia, tym razem z wycieczki, około 1909 roku: z trzynastorga uczestników sześć to kobiety, czwarta od lewej to, jak wynika z podpisu, Regina Danyszówna, geografka i geolożka, współzałożycielka

Stronnictwa Demokratycznego, pierwsza Polka z dyplomem z dziedziny nauk geologicznych.

Na stronie Centralnej Biblioteki Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego (PTTK) po wpisaniu w wyszukiwarkę „Regina Danyszówna” i „Regina Danysz-Fleszarowa” pojawiają się trzydzieści cztery wyniki – artykuły krajoznawczyń opublikowane na łamach „Ziemi” w latach 1910–1949. Relacje z zimowych wycieczek w Tatry, wspinaczki w Gorganach, wakacyjnej włości po Polesiu, sylwetka Stanisława Staszica, przegląd literatury krajoznawczej. W artykule opublikowanym w „Ziemi” w 1931 roku Regina Fleszarowa wspomina swoją pierwszą w życiu pieszą wycieczkę. Z koleżankami zaczytywała się w *Wycieczkach po kraju* Aleksandra Janowskiego, słuchały opowieści swoich braci, którzy w pieszych wycieczkach już uczestniczyli i opowiadali o nich z zaraźliwą ekscytacją. Zbliżało się lato 1904 roku, wpadły na pomysł, że pójdą w Polskę, ale szybko naszły je wątpliwości – czy dostaną zgodę od rodziców, co za ekscentryczny pomysł, żeby dziewczęta „wycieczkowały” razem z chłopcami.

„Nasz projekt był więc do pewnego stopnia rewelacyjny” – wspominała. Szesnastoletnia Danyszówna nie była pewna, czy zostanie dopuszczona do rodzącego się ruchu krajoznawczego, czy będzie mogła, jak koledzy i bracia, wyruszyć na szlak, a wcześniej samodzielnie przygotować się do wędrówki i opracować trasę, czy pozostanie jej tylko wodzić palcem po mapie i czytać o przygodach, które mogłyby być jej udziałem. Ostatecznie zgodę na wycieczkę miał wydać Aleksander Janowski. Wysłały list, czekały na odpowiedź: „Z jakimż niepokojem oczekiwaliśmy jej, z jakim biciem serca otwierało się kopertę i z jaką radością i trumfem odczytało nie tylko zgodę, ale i błogosławieństwo na włóczęgę”.

Trasa wycieczki prowadziła z Końskowoli przez Puławę, Kazimierz, Janowiec, Wąwolnicę, Nałęczów do Lublina. Bagaż spakowały w torby – wynalazek plecaka nie był jeszcze znany (w tamtym czasie w kręgach krajoznawczych dyskutowano nad spolszczeniem niemieckiego *Rucksack*, wśród propozycji były zadodźwig i plecódźwig) – „za wzór posłużyły nam sakwy dziadów-żebraków”. Fleszarowa wspomina reakcje miejscowych: dziwili się, ale też gościli, karmili, pomagali znajdować noclegi na sianie, tylko incydentalnie szczuli psami. Przebywający w Nałęczowie Bolesław Prus powiedział z uznaniem na ich widok: „Nogi bym tych kobiet całował, że się odważyły na taką wędrówkę”. Nieprzypadkowo Regina Danysz-Fleszarowa relację ze swojej pierwszej koedukacyjnej pieszej wycieczki zatytułowała *Marsz zwycięstwa*.

Stanisława Niemcówna, nauczycielka historii i geografii w krakowskim żeńskim gimnazjum, wierzyła, że można wychowywać przez krajozraz: „Piękno krajozrazów kształci w nas pierwiastek estetyczny i nie pozwala



Pocztówka PTK, 1907–1950.



Pocztówka PTK, 1907.



Spławiający ciężary handlowe do Kowna i dalej ku granicy pruskiej, aż do Jurborga, flisacy niemieńscy odbywają żmudną i długą drogę powrotną pieszo, ciągnąc wzdłuż brzegów swe statki na wiciach. Pocztówka PTK, 1910.

krajoznawcom niszczyć roślinności ani zaśmiecać gór, lecz czyni z nich obrońców przyrody oraz zabytków i pracy ludzkiej” – uzasadniała w 1921 roku na łamach „Orle-go Lotu” sens swojej pracy społecznej: prowadzenie kół krajoznawczych wśród młodzieży, w czym pomagały jej: Józefa Berggruen – kolejna pionierka krajoznawstwa, nauczycielka przyrody, Jadwiga Roguska-Cybulska – taterniczka i narciarka wysokogórska, Jadwiga Warnkówna – pedagożka i autorka książek krajoznawczych, Marta Hubicka – regionalistka, autorka monografii o Kielcach, pod koniec lat 20. i na początku 30. prezeska Muzeum Regionalnego w Kielcach. Poczet krajoznawczyń. Można by go jeszcze śmiało rozbudowywać o kolejne nazwiska. Z przeszłości wyciągać ich dokonania i oglądać pod światło. Można by też spróbować opowiedzieć mit założycielski krajoznawstwa inaczej: na początku była wycieczka, od niej wszystko się zaczęło, Polska jeszcze nie istniała, należało ją znaleźć: w drodze, w krajobrazach, w spotkaniach. Aleksander Janowski poszedł więc z Zawiercia do Ogrodzieńca, a Regina Dąnyszówna – z Końskowoli do Lublina.

O ZALIPIU, WSI POŁOŻONEJ pod Tarnowem w gminie Oleśno, pisze się w przewodnikach, folderach turystycznych, na blogach podróżniczych: kolorowa (niektórzy licytują: najbardziej kolorowa), jak malowana, najpiękniejsza, niezwykła, baśniowa. I tylko czasem ktoś przebąknie, że jednak przereklamowana, ale krytyka ginie raczej pod naporem entuzjastycznych relacji naocznych świadków i świadkiń atrakcji turystycznej Zalipia, którą są pomalowane przez mieszkańców w kolorowe roślinne wzory budynki, głównie domy, ale też stodoły, remiza, dom kultury, studnie, płoty, a nawet buda dla psa. Domy są z drewna, niektóre kryte strzechą, pod oknami rosną malwy, kurka grzebie w ziemi. Na zdjęciach w internecie żaden prostopadłościan z pustaka, płot z betonu, linia energetyczna ani nawet typowa dla polskiego krajobrazu tuja nie zaburza tego, czym Zalipie jest w naszym zbiorowym imaginariu: idylliczną wsią, istniejącą poza czasem, której nie zepsuł postęp, dokąd zmierza się jak do krynicy życia, żeby zmyć z siebie brudy miasta.

Wiek jak ze snów. Pytanie, kto śni ten sen, po co i co to mówi o śniącym. Albo inaczej: jak kultura trenuje nasze oczy, byśmy w kadrze widzieli tylko malowane domy z drewna i z premedytacją omijali prostopadłościan z pustaka? I jaki udział w kulturowym treningu oka ma krajoznawstwo?

„To, w jaki sposób doświadczamy krajobrazu, generując treści symboliczne poszczególnych epok, a nie obiekty przyrodnicze same w sobie” – pisze doktorka habilitowana Dorota Angutek w artykule *Kulturowe wzory*

przyjemności doświadczania krajobrazu (opublikowanym w książce *Krajobraz i doświadczenie* pod redakcją Beaty Frydryczak i Mateusza Salwy). Etnolożka dzieli sposoby doświadczania krajobrazu na kilka typów. W kontekście Zalipia warto zatrzymać się nad animistyczno-pragmatycznym typem recepcji krajobrazu, będącym echem ludoznawczego zachwyty nad kulturową odmiennością wsi. Taki obraz wsi – tradycyjnej i sielankowej – zdaniem etnolożki odpowiada na potrzeby mieszkańców miasta poszukujących egzotyki na prowincji, a rozzarowanych, gdy zamiast niej dostrzegają w krajobrazie artefakty nowoczesności.

„Malowana wieś” to oczywiście przerysowany przykład – bukolika na sterydach lub „inscenizowana autentyczność”, sięgając do terminologii ukutej przez Deana MacCannella, amerykańskiego socjologa i autora słynnej książki *Turysta. Nowa teoria klasy próżniaczek*, na określenie atrakcji turystycznych konstruowanych tak, by dawały turystom wrażenie autentyczności.

Oko patrzy więc na Zalipie uzbrojone w kulturowe klisze. Nie widzi tego, co jest – wiejskiego spektaklu, lecz to, do czego zostało wytrenowane – tradycyjną polską wieś. Wieś jak z kanonu krajoznawczego. Nie zaczęło się jednak od Zalipia.

„Idźmy między lud, uczmy się u niego i oświecajmy go z kolei, gdyż w jego naturalnych siłach tkwi zarodek przyszłości kraju” – pisał krajoznawca Maksymilian Heilpern w książce *Poznaj swój kraj!* z 1907 roku. W tym jednym zdaniu autor streszcza trzon działalności ruchu krajoznawczego, obficie czerpiącego zresztą z tradycji romantycznej: czas zwrócić się do wsi, to lud jest depozytariuszem polskości i to w nim należy upatrywać odrodzenia polskiego narodu. Krajoznawcy pielęgowali więc romantyczną legendę o ludowych korzeniach narodu, która jest, jak podkreśla doktorka Ewa Klekot w książce *Kłopoty ze sztuką ludową*, „jedną z najsilniej ugruntowanych struktur długiego trwania w potocznej wizji narodowej przeszłości”.

Wezwanie „Idźmy między lud...” członkowie PTK – wywodzący się głównie z inteligencji – traktowali jako część inteligenckiego etosu, a wycieczki na wieś wręcz jako misję cywilizacyjną, która miała się realizować podczas „zbliżenia z ludem”. (Do spotkań z mieszkańcami wsi rzeczywiście dochodziło, ale często z konieczności – z braku infrastruktury turystycznej krajoznawcy nocowali w chatach czy stodołach). W rozdziale *Wycieczka w chacie* Aleksander Janowski instruował: „Wycieczka, jakkolwiek zwykle i wszędzie spotyka ją serdeczna gościnność dworu czy plebanii, nigdy nie powinna ominąć żadnej sposobności, aby wejść pod słomianą strzechę, niosąc tam promienny swój zapał i zbliżenie braterskie, swój dorobek kulturalny”. Relacje krajoznawców są jednostronne: nie dowiadujemy się z nich, czy mieszkańcy

Jak kultura trenuje nasze oczy, byśmy w kadrze widzieli tylko malowane domy z drewna i z premedytacją omijali prostopadłościan z pustaka?

wsi są zainteresowani takimi kontaktami i jak je odbierają. Dla nich przeznaczono rolę biernych aktorów, którzy mają czekać, aż zostaną odkryci, opisani i skatalogowani. Poznajemy jedynie perspektywę odkrywców, którzy zdają się nie zauważać, że między dworem a chłopską chatą ziele przepaść. „Nie dzieli tej goszczącej gromadki od gospodarza chaty nic, żadne uprzedzenie, żadne niesnaski, żadne egoistyczne dążenia i cele” – pragnął wiedzieć wieś Janowski.

W czasopismach krajoznawczych, na pocztówkach czy zdjęciach prezentowanych na wystawach, jak podczas Pierwszej Polskiej Wystawy Fotografii Ojczyściej (1938–1939), przedstawiano zgodnie z panującą wtedy ludoznawczą manierą typy ludzkie, czyli reprezentatywnych przedstawicieli regionów etnograficznych: typ z Podola, typy z Huculszczyzny, typy wołyńskie, typ z Poronina. Podpisy pod zdjęciami nic nie mówią o ich bohaterach i bohaterkach, nie poznajemy nawet ich imion. Mają stanowić ekstrakt z wiejskości.

Czy ta kanoniczna wiejskość przetrwała? Czy kiedy w trakcie uprawiania krajoznawstwa trafiamy do różnych Zalipi, to zachowujemy się jak pogrobowcy romantyków i, cytując profesorkę Marię Janion, traktujemy wieś „jako źródło prawd czystych, naturalnych, nieskałanych przez brudy cywilizacji”? A gdybyśmy skierowali lustro na siebie, to co fantazje o autentycznej wsi powiedziałyby o nas? I czy byłibyśmy gotowi rozbroić oko z klisz wiejskości? Czy to w ogóle możliwe: doświadczać krajobrazu bez klisz? A jeśli to niemożliwe, to może chociaż kulturowy trening oka dałoby się ułożyć inaczej. Bardziej krytycznie. Zrywając z krajobrazu kolejne warstwy: Zalipie, krajoznawstwo, romantyzm, ludowość. I czy jesteśmy na to gotowi, przecież stary kanon krajoznawczy – od ponad stulecia reprodukowany i potwierdzany w tekstach kultury – jest bezpieczny: widzimy to, co znamy, kody kulturowe mamy już przyswojone, nowe to jednak wysiłek poznawczy. Poza tym „dekodowanie krajobrazu sprawia wręcz fizyczną przyjemność” – zaznacza etnolog Dorota Angutek.

Skoro widok Giewontu nieodmiennie wzrusza i wzbudza wzniosłość, a patrząc na górę, w mig rozpoznajemy w niej śpiącego rycerza, to po co ryzykować i szukać atrakcji poza kanonem, na przykład uprawiając alpinizm nizinny? Nie ma zbyt wielu kulturowych przedstawień Altany. Patrząc na wierzchołek, nie porównamy widoku z wdrukowanym wyobrażeniem o nim. Jeśli widok i wyobrażenie byłyby zgodne, moglibyśmy powiedzieć: „Jaka ładna ta Altana, naprawdę malownicza, kto by się spodziewał”. Altana raczej nie obudzi też – cytując doktorę Angutek – „uśpionej w pamięci metafory”, a w konsekwencji – nie wywoła silnych emocji, chociażby takich, jakie przeżył Janowski w ruinach ogrodzienieckiego zamku, czym idealnie wpisał się w sposób

doświadczenia krajobrazu zapoczątkowany w XIX wieku przez romantyków anglosaskich.

Oko musiałoby przejść intensywny kulturowy trening, żeby docenić krajobraz Altany. Można jednak spróbować opowiedzieć sobie Altanę inaczej: wchodząc na wysokość 408 metrów nad poziom morza, powtarzać za Lechosławem Herzem. Zapytany przeze mnie na spotkaniu w Ponurzy, w czasie Wędrownego Festiwalu Krajoznawczego Mazowsze Leśne w 2022 roku, „Dlaczego Mazowsze?”, czyli kraina piaszczysta i raczej monotonna, przecież są w Polsce ciekawsze miejsca, na przykład Tatry, odpowiedział: „To jest skaza charakterologiczna. Kiedy chodziłem na stadion, zawsze kibicowałem gorszym”. I może to jest początek nowego kanonu krajoznawczego: solidarność z nizinami, uznanie dla Syzyfa z Puszczy Noteckiej, ciekawość rzek, których nie ma, i troska o rzeki, które mogą zniknąć. Może właśnie o to chodzi we współczesnym krajoznawstwie – żeby kibicować gorszym.

Współczesny krajoznawca woli jechać do Bytomia niż do Kruszyńian. W Bytomiu toczy się normalne życie, a w Kruszyńianach rzeczywistość jest już skrojona pod turystykę.

— NIECH WRESZCIE padnie to pytanie: kim jest krajoznawca? Autorem bezkompromisowej odpowiedzi jest Edmund Strążyński: „Nie każdy włóczęga jest krajoznawcą, ale każdy prawdziwy krajoznawca musi mieć w sobie dobrych parę procentów włóczęgi – pisał w 1929 roku na łamach „Ziemi” w artykule *Kongres włóczęgow zawodowych*, w którym relacjonował zlot „chodzików i łazików” w Stuttgarcie. – Nawet gdy chłodek lodowców Mont Blanc zmrozi mu mały mózdzek, a wściekły «gorąc» Afryki, dopędzając go na Atlasie, zaczyna rozpuszczać dwie półkule dużego mózgu, krajoznawca nie przestaje być włóczęgą” – przekonywał.

Kim jest wobec tego współczesny krajoznawca? Na to pytanie odpowiada Szczepan Żurek, geograf, kartograf, członek Towarzystwa Krajoznawczego „Krajobraz”, entuzjasta alpinizmu nizinnego. – Osobą, która poszukuje autentyczności, a niekoniecznie spektakularności. Woli jechać do Bytomia niż do Kruszyńian. W Bytomiu toczy się normalne życie, a w Kruszyńianach rzeczywistość jest już skrojona pod turystykę.

Żurek do krajoznawstwa trafił klasycznie, czyli najpierw podróżował po świecie, naoglądał się wodospadów i wulkanów, potem wrócił do jeżdżenia po Polsce. – Mógłbym powiedzieć, że dorosłem do tego, by odkrywać Polskę, która jest wspaniała, że zapragnąłem podróżować bliżej, a głębiej. Tak naprawdę to wszedłem w krajoznawstwo z powodów towarzyskich: robili to moi znajomi, a ja chciałem z nimi spędzać czas.

Korzystając z bezkompromisowej szczerości rozmówcy, kontynuujemy rozmowę o mniej znanym obliczu współczesnego krajoznawstwa. – Mam wrażenie, że my, krajoznawcy, stawiamy się ponad turystami. Gdy

ODZYSKANA AWANGARDA

Seria o międzywojennej
awangardzie teatralnej
Europy Środkowo-Wschodniej.

ktoś mówi, że jedzie na wakacje do Francji czy Egiptu, to patrzmy na niego z pobłażaniem. Bo my wybieramy Podlasie albo Suwalszczyznę. Możemy sobie jednak pozwolić czasowo i finansowo na to, żeby pod pretekstem podlewania kwiatków spędzić trzy tygodnie na tarasie domu swoich znajomych na Podlasiu. Dążymy do tego, żeby krajoznawstwo było egalitarne i każdy mógł zostać krajoznawcą i krajoznawczynią, ale czy na pewno jest takie dostępne i tanie? Czasem łatwiej i taniej polecieć do Egiptu, niż spędzić tydzień w uroczym zakątku Polski.

Zmieniamy temat na nieco lżejszy. Ulubiony szlak turystyczny? W Puszczy Białowieskiej, biegnie przy leśniczówce, znanej w wąskich krajoznawczych kręgach, więcej mi nie powie.

Ulubiona atrakcja krajoznawcza? Rów Syzyfa w Puszczy Noteckiej. I jeszcze bar w Narewce, ten obok stacji benzynowej, można tam dobrze zjeść, podoba mu się też wystrój, zwłaszcza plastikowa cerata na stole. Żurek przyznaje, że poza krajoznawczym kręgiem bywa nierozumiany: – W środowisku, z którego się wywodzę, moje wakacyjne wybory są traktowane z przyzwrotnieniem oka. Szczepanowi odwaliło w tej Warszawie, jeździ starym bussem i śpi w krzakach.

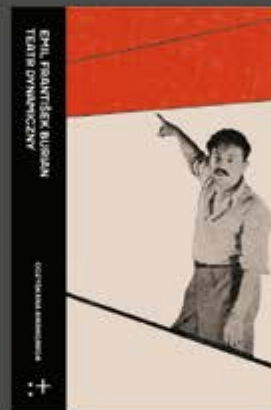
Zrozumienia szuka więc wśród swoich w sposób typowy dla współczesnego krajoznawstwa. – Czy chciałbym chodzić po rezerwatach na Mazowszu, gdybym nie mógł robić zdjęć, a potem pokazywać ich znajomym?

Wielu rozumiejących znajomych to członkowie i członkinie Krajobrazu. O co chodzi tej organizacji? – Wydaje mi się, że balansujemy pomiędzy polskim krajoznawstwem... nie wiem, czy mogę to powiedzieć... inteligentnym, bo to ważne, żeby poznawać swój kraj, a hedonistyczną przyjemnością biegania boso po trawie za piłką i kąpania się w rzece. Czerpiemy z polskiej tradycji krajoznawstwa, ale nie robimy odczytów o geografii Podlasia. Chcemy spuszczać powietrze z nadętego balonu krajoznawstwa.

Co go motywuje? – Moją misją jest przekazywać dzieciakom, żeby nie ekscytowały się lataniem na ferie do Tajlandii, lecz że równie ciekawie może być w Bieszczadach.

Kończymy rozmowę ze współczesnym krajoznawcą, by przyjrzeć się polecanej przez niego atrakcji i lepiej zrozumieć, co w praktyce oznacza „spuszczanie powietrza z nadętego balonu krajoznawstwa”.

Choć nie widać go z kosmosu, robi wielkie wrażenie. Rów Syzyfa ma 170 metrów długości, 10 metrów szerokości, 5 metrów głębokości i znajduje się nieopodal wsi Mężyk w Wielkopolsce. Oczywiście istnieją w Polsce dłuższe, szersze i głębsze rowy melioracyjne, ale ile z nich zostało wykopanych łopatą przez jednego człowieka? Realizacja ambitnego projektu melioracyjnego zajęła Pawłowi Jechalikowi, szerzej znanemu jako Syzyf z Puszczy Noteckiej, jedenaście lat, rozpoczął go już



Dostępna w księgarni Instytutu Teatralnego
Prospero ul. Jazdów 1 w Warszawie
oraz na www.prospero.e-teatr.pl.

Publikacje zostały przygotowane i wydane w ramach projektu Odzyskana awangarda. Polska i środkowo-europejska awangarda teatralna finansowanego w ramach programu Ministra Edukacji i Nauki pod nazwą „Narodowy Program Rozwoju Humanistyki” w latach 2018–2024, nr projektu 11H 17 0144 85.



NARODOWY PROGRAM
ROZWOJU HUMANISTYKI

instytut+teatralny
m. Zbigniewa Roszczyńskiego



Członkowie PTK na wycieczce, Rokieć Wielka, prowadzi Mieczysław Orłowicz, 1935.

na emeryturze, gdy miał siedemdziesiąt dwa lata. Projekt zakończył się pełnym sukcesem: rów połączył jeziora Zdręczno i Górne, odprowadzając nadmiar wody z tego pierwszego. W ten sposób Jechalik uratował swoje łąki przed zalewaniem i przy okazji zapisał się w pamięci potomnych. Przy rowie znajduje się ufundowany przez burmistrza Wielenia głaz upamiętniający zmarłego w 2001 roku Jechalika z wrytym napisem „Rów Pawła – Syzyfa z Puszczy Noteckiej”, a także wagonik, którym wywoził uropek z miejsca pracy. „Wyprawa do Rowu Syzyfa może posłużyć jako pielgrzymka terapeutyczna dla wszystkich, którzy cierpią z powodu prokrastynacji” – piszą Jan Mencwel i Szczepan Żurek w *Szwendowniku*, publikacji Towarzystwa Krajoznawczego Krajobraz, której podtytuł brzmi: *Nowy kanon krajoznawczy*.

Tym, co odróżnia ten nowy kanon od starego (punktem odniesienia może być *Kanon krajoznawczy Polski* pod redakcją Włodzimierza Łęckiego wydany przez Wydawnictwo PTTK Kraj w 2000 roku), jest wybór miejsc. Rów Syzyfa raczej nie spełnia kryteriów malowniczości ani nie jest nośnikiem narodowej symboliki. Ale, jak podkreśla Żurek, to atrakcja krajoznawcza, za którą stoi ciekawa historia konkretnego człowieka – który się zaangażował, był uparty i konsekwentny. Tyle, aż tyle.

– Stary kanon krajoznawczy jest oparty na sposobie uprawiania historiografii i nauczania historii, utrzymanym w paradygmacie narodowowyzwoleńczym. Czy to się obroni? – zastanawia się Kubkowski, również członek Krajobrazu. – Współprowadziłem kiedyś spacer dla Muzeum Pragi po Olszynie Grochowskiej, gdzie jest rezerwat, ale w nie najlepszym stanie, w dodatku między torowiskami. Na tym terenie znajduje się sporo upamiętnień po poległych w bitwie pod Olszynką Grochowską: pomniki, pomniczki, krzyże. Nie opowiadaliśmy

o bitwie, cierpieniu, przelanej krwi, ale o tym, w jaki sposób była i jest konstruowana pamięć o tym wydarzeniu, o historii pamiętania o czynie zbrojnym. Moim zdaniem niekoniecznie trzeba odchodzić od starego kanonu krajoznawczego. Może wystarczy zmiana opowieści, a zamiast czci – więcej ciekawości. Możemy się na przykład dowiadywać, jak te miejsca znalazły się w kanonie i czy ta motywacja jest nadal aktualna.

NIE MA JUŻ KRAJOZNAWCÓW, są wyłącznie konsumenci krajobrazów. Ładnie, brzydko, idziemy dalej. Liczy się wysiłek fizyczny – mówi nestor krajoznawstwa, Lechosław Herz. Pytam go o kanon krajoznawczy. Wydawało mi się, że znawca Mazowsza, autor książek krajoznawczych i bloga krajoznawczego *Mazowsze z sercem*, który wyznakował około dwóch tysięcy kilometrów szlaków pieszych, stanie murem za kanonem, za Giewontem i Morskim Okiem, za górami melancholijnie zapatrzonym w dal.

– Co to jest ten kanon krajoznawczy? Że prawdziwy Polak powinien być na moło w Sopocie, usłyszeć hejnał mariacki, wjechać na Kasprowy, a jeszcze lepiej na Giewont?! – ironizuje. – Normalnie tłumy ludzi ominą piękny dąb, ale jeśli otoczmy go płoteczkiem i napiszemy, że Kościuszko zrobił pod nim siusiu, będą się zachwycać: „On tu był!”. – A na Górze Fryca w warszawskiej dzielnicy Wawer pani była? Nie?! Na Górę Fryca trzeba wejść – dodaje.

Kwietniowa niedziela, dochodzi godzina 9:00. Międzygatunkowa ekspedycja w składzie człowiek i pies udaje się z przystanku kolejki miejskiej do podnóża Góry Fryca (119 metrów nad poziomem morza), by uprawiać krajoznawstwo: okazać solidarność nizinom i pokibicować gorszym.



Więcej materiałów na ten temat przeczytasz lub wysłuchasz na magazynpismo.pl/polska-pozamiejaska

Oszczędzaj z empik premium



15% zniżki w salonach

m.in. na książki, muzykę, zabawki i art. papiernicze*



darmowa dostawa

do Paczkomatów i kurierem dla zamówienia
od 40 zł z oznaczeniem Premium**

TERAZ

W NOWEJ CENIE

49,99 zł
za rok

Aktywuj już dziś:

*15% zniżki obowiązuje po okazaniu kodu Klienta w aplikacji Empik od cen regularnych w salonach na kategorie: książki, muzyka, film, zabawki, art. papiernicze i kreatywne oraz kolekcje własne Empik.

**Dotyczy zamówienia od Empik lub wybranych (oznaczonych) sprzedawców EmpikPlace.

Szczegółowe warunki usługi Empik Premium w regulaminie dostępnym w salonach, aplikacji

Empik i na empik.com



REPORTAŻ

Wolność dwóch kółek

tekst MAREK SZYMANIAK

—
WSIADAM NA ROWER i jestem wolny. Po skórze przechodzą dreszcze. Ruszam ulicą, a świat znów staje się duży. Taki jak wtedy, gdy byłem dzieckiem. I znów jest gotowy, żeby go odkryć.





3 STYCZNIA 2024

Kręcę. Naciskam pedały coraz mocniej. Szum wypełnia uszy. Przyspieszam. Cyferki na liczniku pokazują coraz wyższe wartości. Pędzę, ale stoję w miejscu. Tak jak mój rower. Potwór swoim ciężarem przymocowany do podłogi. Ustawiony jeden obok drugiego w siłowni z obowiązkowym „fit” w nazwie. Kręcę na siłowni, żeby przetrzymać. Jak bociany w ciepłych krajach. Tak to sobie tłumaczę, kupując karnet na styczeń. Tak chcę przetrwać śnieg, ślizgawicę i siarczyste mrozy, których przecież już nie ma. Pedaluję, bo chcę być gotowy na trasę, gdy tylko zrobi się ciepło. Walczę o formę jak wielu świeżaków obok mnie, którym marzy się, żeby nowy rok był nie tylko zmianą cyferki w kalendarzu. Widzę, jak niepewnie się rozglądają, nie chcąc dać po sobie poznać, że to pierwszy raz. Nadaremnie. Myślę o nich jak o płatkach śniegu, które znikną wraz z wiosną. Sam wpadam pokręcić i zaraz znikam. Robię to już drugą godzinę i patrzę w okno. Nic przez nie nie widać – tuż za szybą rozpościerają się hektary reklamowej płachty. Odchylam głowę, na rowerze obok widzę mężczyznę jak z obrazu Edwarda Hoppera *French Six-Day Bicycle Rider*. Jest wykończony, ale lekko uśmiechnięty.

Hopper też miał słabość do rowerów. Był zapalonym cyklistą. Z pewnością była to fascynacja, może nawet obsesja. W młodości miał swój własny, niezwykle nowoczesny dwukołowiec, a nowoczesność oznaczała wtedy (na przełomie XIX i XX wieku) stalową ramę i opony z drewnianymi felgami. Ten pokryty dziś rdzą egzemplarz można zobaczyć w muzeum mieszczącym się w jego rodzinnym domu w Nyack – wsi, która jest dziś częścią rozległych przedmieść Nowego Jorku. Mówi się, że rysowanie i właśnie jazda na rowerze były tym, co wyzwoliło malarza z ograniczeń wiejskiego życia. Wiele scen z jazdy na dwóch kółkach przenosił na papier. Rower towarzyszył mu też jako dorosłemu mężczyźnie i uznanemu artyście. Hopper był na sześciodniowych wyścigach kolarskich w Madison Square Garden. W tej wycieńczającej rywalizacji uczestniczyły dwie drużyny, każda liczyła dwóch zawodników, którzy na zmianę jechali i odpoczywali. Wygrywała ta, która w ciągu sześciu dni najwięcej razy objechała liczący 1/6 mili

[czyli około 267 metrów – przyp. red.] tor. Stawką były pieniądze, a uczestników dopingowały krzyczący tłum i grające na żywo zespoły jazzowe. Obraz Hoppera przedstawia francuskiego rowerzystę odpoczywającego w zadaszonej budce – sypialni obok toru. To Alfred Letourneur, znany jako Czerwony Diabeł, który właśnie wygrał sześciodniowy wyścig (w latach 1930–1938 wygrał ich dwadzieścia w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie). Hopper jest obserwatorem samotności, ludzkiej izolacji. Jego obrazy są jak klatki z filmu, na których scena wyrwana jest z akcji albo pokazuje stan tuż po zdarzeniu. Namalowany Letourneur właśnie zwyciężył. Jeszcze chwilę temu uczestniczył w wyścigu, który wszyscy obserwowali, dawał innym emocje i sam je przeżywał. Teraz zszedł ze sceny i jest sam. Mimo zwycięstwa, lekkiego uśmiechu satysfakcji, schłodzonego szampana czekającego na toasty, wydaje się samotny. To uczucie towarzyszące tym, którzy się ścigają, i tym, którzy gonią podczas rowerowych wypraw za wolnością. Artysta namalował Letourneura w 1937 roku, mając pięćdziesiąt pięć lat. Ale już dwa lata wcześniej jego żona Josephine w liście do siostry pisała, że mąż spędza dużo czasu na przejażdżkach, obserwując ludzi.

Roff Smith, podróżnik i fotograf mieszkający w Wielkiej Brytanii, przez lata – pisząc dla „National Geographic” – odwiedził ponad sto krajów, aż w 2020 roku został uziemiony przez pandemię. Kiedy jego świat nagle się skurczył, wsiadł na rower i, pedałując, zaczął odkrywać okolice swojego domu w nadmorskim miasteczku St. Leonards-on-Sea w Sussex, na południowym wybrzeżu Anglii.

„Jeśli o nim nie słyszałeś, jesteś w dobrym towarzystwie. Nie ma go na niczyjej liście sławnych angielskich miejsc piękności” – pisał w „New York Timesie” Roff Smith, opowiadając o swoich wyprawach. Odwiedził spowite poranną mgłą nadmorskie bagna w pobliżu zatoki Pevensey, gdzie niemal tyśiąc lat temu wylądował Wilhelm Zdobywca. Przy świetle lampy sprawdzał mapę na nadmorskiej promenadzie w Bexhill-on-Sea. Wreszcie na wybrzeżu St. Leonards-on-Sea podziwiał tłący się niczym na obrazie Williama Turnera wschód słońca, połyskujący podczas odpływu. Wyprawy zaowocowały nie tylko serią poetyckich autoportretów,

ale przede wszystkim nawiązaniem więzi z miejscem, w którym na co dzień żył. „Rok zwiedzania okolic z aparatem w ręku wszystko zmienił. Uświadomił mi, że nie trzeba wsiadać do samolotu i lecieć na drugi koniec świata, aby doświadczyć poczucia podróży – czy romantycznej niezwykłości. To wszystko jest na wyciągnięcie ręki i czeka, aż spojrzysz. Te obrazy nie mają opowiadać o mnie. Mają reprezentować rowerzystę w krajobrazie, kogokolwiek – być może ciebie” – opowiada o tym, jak odkrył na nowo okolice własnego domu.

Czytając te słowa, miałem wrażenie, że mówi do mnie. Roff Smith jest bowiem „przeszczepem” – przeprowadził się na Wyspy Brytyjskie z Australii. Użyte przez niego

Gdybym nie zdobył Sowiej Góry pod Węgrowem. Gdybym nie zakochał się w okolicach Buga, stając na leśnej skarpie w Szuminie czy podążając za korytem Liwca obok Ił, Urli czy Paplina. Nie odkryłbym emocji, które czułem, kiedy w sobotę o szóstej rano wsiadałem w pociąg Kolei Mazowieckich, żeby z Dworca Wileńskiego ruszyć na kolejną wyprawę.

sformułowanie utkwilo mi w głowie. Też jestem przeszczepem. Urodziłem się i wychowałem w Krasnymstawie, lubelskim miasteczku znanym ze śmietany i serków homogenizowanych o smaku czekoladowym. Życie wyrwało mnie z rodzinnego miasta i próbowało zasadzić najpierw w stolicy województwa lubelskiego, a potem w stolicy kraju. I choć w Warszawie mieszkam od ponad dekady, to korzenie zacząłem zapuszczać dopiero niedawno. Od kiedy, podobnie jak Smith, odkrywam dalsze i bliższe okolice Mazowsza. I jak on dzięki rowerowi.

Rower stał się dla mnie narzędziem krajoznawczym. Pozwalał budować więź nie tylko z miastem, ale i całym Mazowszem, którego wcześniej nie znałem, bo nie przekraczałem rogatek stolicy. Kolejne wyprawy sięgały coraz dalej i choć mapa do odsłonięcia niczym

w grze RPG wciąż jest rozległa, to mam wrażenie, że korzenie wreszcie wyczuły glebę, w której mogą się zapuścić i osadzić. Zaczęło się od zaskoczenia. Przełamania utartego w głowie mitu, że Mazowsze jest płaskie i nijakie. I że nic tu nie ma – ani gór, ani jezior, a tym bardziej morza, a jedyna woda jest w Wiśle. Mówiąc krótko: nuda i płasko po horyzont. To pierwsze szybko okazało się nieprawdą, a drugie stało ułatwieniem dla początkującego cyklisty. Po płaskim jak stół terenie jeździ się łatwiej. Dystanse, które można pokonać, rosną z każdą wyprawą. Kiedy wyruszyłem w głąb Mazowsza, szybko odkryłem, że można się nim zauroczyć. Nie byłoby tego, gdybym nie przejechał rowerową autostradą do Gass i nie przeprowił się promem przez Wisłę. A potem, gdybym zamiast posłusznie wracać do stolicy, nie zboczył w okolicę kameralnego jeziora Rokola od strony Kępy Nadbrzeskiej, a następnie niemal nieprzejezdną trasą ruszył na południe do Glinek i kolejowego mostu na wysokości Góry Kalwarii. Albo gdybym nie zapuścił się na bezkresne równiny mazowieckich wsi pod Siedlcami. Mknąłem między Zającem a Śnicami. Mijałem Zemły i Pieńki. Zostawiałem za sobą Sikory i Węże. Czułem, jak horyzont stoi w miejscu i każe się chłonać, choć przecież ciągle jechałem z niezawstydającą prędkością. Nie byłoby tego, gdybym nie trafił pod Małkinią na drogę usypaną kamieniami, gruzem i Bóg wie czym jeszcze, bo ocalenie dętek i pośladków po tak twardej trasie przywraca wiarę. Gdybym nie zdobył Sowiej Góry pod Węgrowem. Gdybym nie zakochał się w okolicach Buga, stając na leśnej skarpie w Szuminie czy podążając za korytem Liwca obok Ił, Urli czy Paplina. Nie odkryłbym emocji, które czułem, kiedy w sobotę o szóstej rano wsiadałem w pociąg Kolei Mazowieckich, żeby z Dworca Wileńskiego ruszyć na kolejną wyprawę. A wieczorem wrócić umorusany, z obolałymi nogami, już do siebie, do domu na Grochowie. Przeszczepiony.

Wracałem z zachwytem odkrywcy, choć wiele z tych miejsc zjeżdżałem mnóstwo razy. Ale widziałem w tych powtórzeniach sens. Bo przecież w istocie – jak zauważał Piotr Cieplak w napisanej z perspektywy roweru książce *O niewiedzy w praktyce, czyli droga do Portugalii* – „zawsze jadę rowerem

na nowo i zawsze jakieś inne ziarenko piasku chrzęści w trybach. Jak chrzęści, to znaczy, że Ziemia jeszcze istnieje, a jak chrzęst słyszę, to i ja istnieję”.

7 STYCZNIA 2024 ROKU

Bramka na siłowni piszczy. Po chwili znów kręcę. Reklama za oknem ciągle zasłania świat. A ja zaczynam marudzić. Skarżę się przyspawanemu do podłogi potworowi. Mówię do niego tak, jak do mojej Żółtej Strzały – przyjaciela, z którym jesteśmy razem od sześciu lat. Spędzamy ze sobą mnóstwo czasu. On głównie milczy, a ja zaakceptowałem jego charakter.

Wielu przyjaciół ma Ewelina Przygoda. To miłośniczka starych rowerów, która prowadzi na Instagramie profil *Przygoda_z_bajki.em*. W jej przypadku miłość do rowerów zaczęła się nietypowo, bo od fascynacji volkswagenami garbusami. Na jednym ze złotych kultowych samochodów zobaczyła piękny rower – przedwojenną szwedkę. Była nim zachwycona tak bardzo, że nieco później dostała go na urodziny. Dziś w jej kolekcji, poza szwedką, która ma na imię Hania, jest jeszcze niezniszczalna sześćdziesięcioletnia mifa z NRD (Niemieckiej Republiki Demokratycznej), idealnie sprawdzająca się na trasie zimą. Trudno jej nie zauważyć w śniegu, bo jest cała żółta, stąd jej imię – Żółtek. Ewelina ma też stare wigry 3, które za grosze kupił i odnowił jej tata, i amerykański rower derby.

– Łączy nas przyjaźń – opowiada mi Ewelina, kiedy rozmawiam z nią w lutym tego roku. – Spędzamy ze sobą dużo czasu, więcej niż z kimkolwiek innym, przeżywamy wiele niezwykłych chwil, mamy kolekcję wspólnych wspomnień. Są nieodłącznym elementem mojego życia, bo dają wolność. Jak nazwać to inaczej?

Wolność jest zresztą niezbywalnym atrybutem roweru od jego zarania. To prosty, ale genialny wynalazek. Pojazd z pasażerem, który pełni jednocześnie funkcję silnika. Połączenie ludzkiej ramy i ramy roweru – jak pisze w „New Yorkerze” Jody Rosen, autor książki o historii roweru *Na okrągło. Sekretnie życie roweru* – daje niesamowity rezultat, dzięki któremu rower sprawia wrażenie przedłużenia ciała, a nie pojazdu. Splot korby, łańcucha, pedałów i wirujących kół,

wprawia w ruch powietrze i daje wrażenie, jakby jadący utrzymywał się w powietrzu. „Jeśli rowerzyści wyobrażają sobie, że latają, to dzieje się tak dlatego, że w pewnym sensie tak właśnie jest” (przeł. Bartłomiej Kaftan) – pisze Rosen w *Na okrągło*. I trudno się z nim nie zgodzić, bo kiedy jedziemy, „żadna część naszego ciała nie dotyka ziemi”. Jesteśmy w powietrzu.

Wynalezienie roweru pozwoliło spełnić odwieczne marzenie stworzenia szybkiego, trwałego i taniego środka transportu dla każdego. Rower daje niezależność. Siła naszych nóg decyduje, jak daleko zajedziemy.

Nic więc dziwnego, że rower okrzyknięto wyzwolicielem niwelującym różnice klasowe i symbolem postępowej polityki. To na dwóch kółkach sufrażystki walczyły o równouprawnienie i prawa wyborcze kobiet na przełomie XIX i XX wieku, a od



lat 70. aktywiści wychwalają go ze względów klimatycznych i uważają za remedium na dławiącą miasta kulturę samochodową. Rowery były symbolem niezależności także w wymiarze politycznym. Pozwalały szybko i masowo mobilizować się i uciekać, kiedy władza wyciągała pięść. Brały udział w protestach przeciw totalitarnym rządóm, a reżimy często uznawały rower za symbol wolności i z nim walczyły. Tak było, gdy w 1933 roku Adolf Hitler przejął władzę, a jego brunatne bojówki konfiskowały rowery. To samo działo się w czasie okupacji Danii, Holandii czy Francji. Nie sposób zapomnieć też scen z 1989 roku, kiedy prodemokratyczni protestujący w Chinach wjeżdżali na rowerach na plac Tiananmen, stając naprzeciw czołgów. Jak również makabrycznych obrazów masakry, które po nich zostały.

Ale rowery to też narzędzie krajoznawcze. Ewelina Przygoda przekonała się o tym ponad dekadę temu. Wcześniej dużo jeździła turystycznie za granicę. Ale nagle zmieniła się jej sytuacja finansowa. – Nie miałam kasy na wyjazd za granicę, więc jeszcze więcej zaczęłam jeździć rowerem po okolicy – wspomina w czasie naszej kolejnej rozmowy.

Okolicą był dla niej wtedy Śląsk, bo mieszkała w Gliwicach. Choć Hania, czyli jej pierwszy, „szwedzki” rower, waży ponad dwadzieścia kilogramów, to na nim zaczęła poznawać to, co ją otacza. Wyjeżdżała w trasę niemal w każdy weekend, pokonując nawet kilkadziesiąt kilometrów. Latem przebiegała setkę. Opowiada o wyprawie, podczas której przypadkowo odkryła niewielkie, niezwykle urokliwe jezioro w gliwickich Łasach Łabędzkich.

– Są ukryte w gęstwinie drzew i wyglądają niemal na dziewicze. Wokół żywej duszy. Kompletna cisza i spokój. Dopiero po pewnym czasie zrozumiałam, dlaczego tak jest. Okazało się, że nieświadomie wjechałam na teren poligonu, gdzie testowane są wojskowe czołgi. Zabłądziłam, skręciwszy w ścieżkę, której nie było na mapie. – Nie zniechęciło jej to do odkrywania lasów, których wokół Gliwic nie brakuje. Dokładnie zwiedziła choćby Szwajcarię Rachowicką, gdzie trasa wiedzie przez drewniane kładki i mosty do jeziora Pławniowice.

– Szlak w wielu miejscach wyznaczony jest wokół dolinki Potoku Sierakowickiego. Poza nim można łatwo zjechać w głębszy las, bo nie brakuje szerokich leśnych ścieżek wśród starych drzew. Lubię szukać tam powalonych pni, malowniczych alei i zwierząt – dużych ptaków i saren, którym z oddali się przyglądam – dodaje Ewelina.

Kiedy odkryła, że Śląsk jest piękny i różnorodny, zaczęła się tym dzielić w internecie. Ludziom, którzy śledzili jej wpisy, nie mieściło się w głowie, że ta zieleni, przyroda, lasy, urokliwe miejsca to Śląsk. Oczekiwali pokopalnianych hałd, węglowego pyłu i smutnych kominów z czerwonej cegły. Łamała stereotypy, pokazując, że na przykład w odległości krótkiej rowerowej wycieczki są Lasy Rudzkie z zabytkową stacją kolei wąskotorowej, a w zasięgu dłuższej – zbiorniki Pogoria pod Dąbrową Górniczą, nazywane małymi Mazurami. – Wcale nie trzeba lecieć

kilka tysięcy kilometrów samolotem, by zachwycić się tym, co się widzi – przekonuje.

Dziś Przygoda od trzech lat mieszka w Poznaniu i wolny czas wykorzystuje na rowerowe wyprawy po okolicy. W ten sposób zakorzenia się w mieście. – Kiedy jadę rowerem, zastanawiam się: „A co się stanie, jeśli skręcę dziś w uliczkę, którą nigdy nie jechałam?”. W ten sposób poznaję nowe miejsca, ale i odkrywam te niepopularne, urokliwe miejscówki, o których nie przeczytałam w przewodniku. Tak odkrywałam choćby murale, które stały się kluczem kolejnych wypraw. Owszem, czasem zabłądzą albo trafię w niezbyt ciekawe miejsce, ale to niespieszne włóczenie się, zjechanie z wyznaczonej trasy, często procentuje.

Podobnie jest z odkrywaniem Wielkopolski. Tutaj z pomocą przychodzi nurt Warty, wzdłuż której nie brakuje atrakcji. Tak rowerem zjeżdżała Nadwarciański Szlak Rowerowy i dotarła w urokliwe okolice Puszczykowa czy na Łęgi Rogalińskie, czyli doliny zalewowe Warty, nazywane krainą prastarych dębów, których rośnie tam grubo ponad tysiąc. – Warta jest świetnym drogowiskazem i to różni Wielkopolskę od Śląska, gdzie nie ma jednej wielkiej rzeki, która tak bardzo wpływałaby na krajobraz. Tutaj pedałuje się też nieco łatwiej, bo nie ma tylu gór co na Śląsku. Ale czasami tęsknię za bezludnym pustkowiem, gdzie nikogo nie spotkam. W Poznaniu kultura rowerowa jest dużo bardziej rozwinięta.

Rower to też narzędzie dające przyjemność z jazdy, która w tajemniczy sposób wpływa na nasze ciało i umysł, napełniając nas poczuciem wolności oraz bycia tu i teraz. Wystarczy, że przypomnimy sobie jazdę rowerem w ciepłą, letnią noc. Albo pęd powietrza na twarzy. Ten stan Ewelina Przygoda nazywa *bikefulness* (połączenie angielskich słów *bike* – rower i *mindfulness* – uważność), czyli wolniejszym rowerowaniem, kiedy nie jest ważny czas, ale doświadczenie i miejsce.

– Czy celem jest dotarcie do celu czy też bycie w drodze? Dla mnie szczęściem jest droga, a nie cel. Trzeba dać sobie więcej czasu. Bufor, żeby móc jechać wolniej. Móc się zatrzymać. Nie czuć żalu, że coś nas omija, bo się spieszymy. Jeśli damy sobie czas, osiągniemy zarówno drogę, jak i cel. Możemy obserwować świat. Zanurzyć się w naturze.

Zbudować z nią szczerą więź. Choć wiem, jak to banalnie brzmi: poczuć się jej częścią. Dostrzec dzikie zwierzęta. Liście migoczące na wietrze. Kwitnące wiosną kwiaty. To sztuka wchłaniania otoczenia. Cisy lasu, śpiewu ptaków, doświadczania wschodów i zachodów słońca. Takie wędrowanie to dużo więcej niż pokonywanie kilometrów czy budowanie formy – wyjaśnia Ewelina.

Sam poczułem to kilka lat temu. Kiedy dziś siadam na siodło, świat czeka na odkrycie. Mogę jechać tu albo tam. Każda opcja jest dobra. Nie muszę się spieszyć. Mogę zawrócić. Mam czas pomyśleć albo mogę nie myśleć o niczym. Mogę zsiąść z roweru. Usiąść w gęstej trawie nad rzeką – mam takie miejsce w Tucholinie nad Bugiem, po być tylko ze sobą. Nie ma większego znaczenia, czy zrobię dziś trzydzieści, pięćdziesiąt czy sto kilometrów, bo to nie trening, zawody ani porównywanie się z kimkolwiek. Nikt mi nie da odznaki, medalu też nie chcę. Nagrodą jest niespieszne patrzenie w nurt. Gapienie się, jak na mazowieckiej wsi dzieciaki łowią ryby. Poczucie, jakbym choć przez chwilę znów spędzał swoje dzieciństwo na wsi.

14 STYCZNIA 2024 ROKU

Ścigam się w peletonie, który prowadzi

donikąd. Nic nie mijam. Nic nie widzę. Może i dobrze, bo nie chcę widzieć reklamowej płachty za oknem, podobnie jak innych szyldów i banerów. Krajobrazu upstrzonego tablicami „OKAZJA KRĘGI SZAMBO”, „USŁUGI KOPARKO-ŁADOWARKA”, „ODDAM GRUZ ODBIÓR WŁASNY”. Zamykam oczy, by nie myśleć o tym, o czym w tytule swojej książki mówi Piotr Sarzyński: *Wrzask w przestrzeni. Dlaczego w Polsce jest tak brzydko?* Zamykam oczy i myślę o Tomaszu Ulanowskim, który w *Ostatniej minucie* pisze między innymi o przyjemności podziwiania krajobrazu, architektury, przyrody: „Lekki wiatr porusza roślinami. Niektóre z nich rozpoznaję. Oczywiście, potężne kilkusetletnie dęby, mające akurat żółodziowy rok. Majestatyczne buki, których orzeszki cieszą także moje podniebienie. Pokręcone, wychudzone i żylaste żelazne graby. Nierodzone, ale i tak wspaniałe robinie akacjowe. Wzruszające brzozy. Strzeliste jesiony. Nadrzeczne wierzby. Aromatyczne nadmorskie sosny. Popłątane głogi. Kołyszące się trawy”.

O krajobrazie „nie do napatrzienia” rozmawiam z Piotrem Peszką, twórcą *Podcastu rowerowego*. Dziś mieszka pod Krakowem, ale wychował się w małym miasteczku na Podkarpaciu. Jego świat składał się z kilku ulic na wojskowym osiedlu domów jednorodzinnych. Zmienił to dopiero rower. – To było

PĘTLA ROWEROWA LASY RUDZKIE

Dystans: 35,1 km
Trudność: dla rodzin z dziećmi



tak, jakbym zerwał się ze smyczy. Doświadczenie niesamowitej wolności – opowiada mi o tym, jak dostał swój pierwszy rower pelikan. – Dziecko porusza się w zamkniętej przestrzeni, która z wiekiem zaczyna się nieco rozciągać. Ale nadal jest ograniczona. Najpierw do tego, gdzie zaprowadzą cię rodzice. Potem do tego, gdzie dojdiesz pieszo czy pobiegiesz. I nagle dostajesz rower, a świat jest coraz większy. Rower ściąga te ograniczenia. Już nie musisz prosić kogoś, żeby zabrał cię nad jezioro, tylko tam jedziesz. Dostajesz swobodę decydowania o sobie.

Od tego czasu przejechał tysiące kilometrów, zjeżdżając Pogórze Wielickie, Jurę Krakowsko-Częstochowską czy Park Krajobrazowy Dolinki Krakowskie. A o dwóch kółkach przegadał setki godzin. Rower pozwolił mu odkrywać świat podkarpackich miasteczek, a kiedy był nieco starszy – Bieszczad i Pogórze Przemyskie. Dziś ciągle z sentymentu odwiedza te miejsca. Okolice Lubaczowa, Jarosławia, Sanoka czy Soliny zna tak dobrze, że może jeździć bez mapy. Za każdym razem odkrywa, jak silnie zmienił je człowiek. – Kiedy jeździłem jako nastolatek przez Solinę, była tam jedna budka, w której można było kupić bułkę. A teraz? Targ różności: koleje linowe, karuzele, wesołe miasteczka, stragany, budki z kebabem i kiebasą z grilla. Tak samo architektura. Przybywa pseudogóralskich chat z bali, których nigdy wcześniej tutaj nie było. Okolica zamienia się w drugie Zakopane.

Przemysł turystyczny zniszczył te tereny tak mocno, że Piotr obawia się, czy za kilka lat rozpozna jeszcze miejsca znane z dzieciństwa. – Czuję się głupio, jak o tym mówię, ale coraz częściej powtarzam: nie zapraszam was w te strony.

Peszek ucieka do lasu, choć przyznaje, że nieraz trudno znaleźć miejsce, w którym nie widać i nie słychać działalności człowieka. Czasem, żeby taki fragment znaleźć, musi wjechać daleko. Powoli pedałuje między leśnymi ścieżkami, a niekiedy po prostu prowadzi rower. Gdy znajdzie odpowiednie miejsce, odpoczywa. Zostaje chwilę, może trochę dłużej, rozciąga hamak między drzewami. – Staram się nie zostawiać śladów. Wiem, że jestem gościem, a może nawet intruzem. Często zastanawiam się, czy komuś nie przeszkadzam. Czy mam prawo

tam być? Bo w końcu zabieram na jakiś czas to miejsce czemuś innemu – zastanawia się i po chwili sam sobie odpowiada. – Nie mam prawa, bo zaburzam je swoją obecnością. Daję sobie to prawo, pod warunkiem że zostanie po mnie tylko cień i ślady roweru. Nic więcej. Nie chcę być inwazyjny, nie rozpalam ogniska, nie gotuję. Nie jestem fanem inżynierowania w przyrodę.

Opowiada mi, że jeszcze kilka lat temu prowadził burzliwe dyskusje ze swoim wujkiem, który był dyrektorem Bieszczadzkiego Parku Narodowego. Kłócili się, dlaczego nie wolno wjeżdżać na ten teren rowerami. – Złościłem się. Nie rozumiałem, dlaczego jest przeciwny. A on wtedy powiedział:

„Bo zniszczycie przyrodę”. Dziś wiem, że miał rację.

Wcale go nie dziwi, że region się zmienia. Podróżowanie jest dziś łatwiejsze. Są lepsze drogi, także te rowerowe, odseparowane od ruchu aut. – Kiedyś jeździło się zupełnie inaczej. Rower był ciężki i choć mamy do niego sentyment, to trzeba powiedzieć uczciwie, że nie był to dobry sprzęt. Pokonanie na nim stu kilometrów było wyczynem dla ciała i psychiki. Dziś mamy sakwy, a wtedy plecy bolały od plecaka. Jeździło się też mniej bezpiecznie. Dziś kierowcy, mimo wszystko, dużo bardziej uważają na rowerzystów. Są świetne rowerowe trasy jak Green Velo. Kiedyś trzeba było mieć mapę



Goyki 3
Art Inkubator

Wspieramy twórców, czynię kultury, organizujemy rezydencje artystyczne, tworzymy miejsce spotkań sektora kreatywnego, badamy kulturę i historię willi.



Jesteśmy organizatorem i producentem festiwalu Literacki Sopot.



Zwiedź willę z przewodnikiem od piwnic po wieżę. Z wieży możesz podziwiać panoramę Sopotu, a w Muzeum Miejsca poznasz historię willi i zabytkowego zespołu willowo-parkowego, a także posłuchasz wspomnień zebranych w Archiwum Społecznym.



Odwiedź nas na miejscu:
ul. Jakuba Goyki 3, 81-706 Sopot
Odwiedź nas online:
www.goyki3.pl | #Goyki3



Spotify



Anchor

i orientować się w terenie. Dziś trasę wyznacza nawigacja w smartfonie, więc te przygody są łatwiejsze, bardziej dostępne, ale też są półprzygodami w porównaniu z tym, co było kiedyś. Dawniej, gdy nie wiedziałeś, gdzie jesteś, po prostu siedziałeś, pytałeś ludzi, jak masz dojechać, nie wiedziałeś, co cię spotka, i to było przeżycie.

Jednocześnie przyznaje, że kiedy jest w nowym terenie, zdarza mu się korzystać z opracowanych wycieczek innych cyklistów. Szybko sprawdza na Stravie najczęściej odwiedzane przez innych trasy i odkrywa najlepsze miejsca w regionie, do którego nie wiadomo, czy szybko wróci. Inaczej jest w domu. Tu nie używa nawigacji. Jeździ w trybie eksploracyjnym i nigdy jeszcze nie pojechał zgodnie z pierwotnym planem. – Unikam wtedy gadżetów. Smartwatchy, smartfonów, tabletów, powerbanków, kabelków, słuchawek. Jak weźmiesz to wszystko, to nagle musisz mieć dodatkowy plecak. A do jeżdżenia nie potrzebujesz komputera przy sobie.

Niezmienne jest jedno: rower wciąż pozwala odkrywać świat. Patrząc na niego w nowy sposób. Dla Peszki wszystko to jest możliwe za sprawą prędkości roweru – idealnej do odkrywania krajobrazu i przeżywania przestrzeni. Idąc, odkrywamy za mało, bo nogi nawet doświadczonego piechura nie zaniósł go zbyt daleko w krótkim czasie. Jadąc autem, dojedziemy daleko, ale nie zobaczymy wiele, bo przemieszczamy się szybko. Łatwo przegapić to, co mijamy, bo musimy skupiać uwagę na tym, co dzieje się na drodze. – A rower ma idealną prędkość, w której mój mózg dobrze konsumuje otoczenie. Ono zmienia się, ale nie za szybko. Rower sprzyja uważności. Pozwala utrzymać skupienie. Przestaję myśleć, że jadę rowerem.

Pierwszy raz, że nie samo pedałowanie, a krajobraz i jego odkrywanie stały się ważne, zrozumiał niedawno, dwa lata temu, w czasie wyprawy w Beskidzie Sądeckim. – Jechałem na Przehybę i dalej szlakiem aż do Piwnicznej-Zdroju. To trasa w górach, a był taki moment, że wyłączyło mi się myślenie o rowerze – że wzniesienia, trud, a włączył zachwyt tym, co jest naokoło. Była późna jesień i czułem te wszystkie zapachy: ziemi, mokrych liści, wody (w lecie to żywice w lesie, zapach słomy, zaoranej roli). I była

mgła, i długi zjazd w niewiadomą. Pojawiło się pierwotne uczucie lęku. Chmury, mżawka, a czasem dźwięki topniejącego śniegu w górach mogą być tak obezwładniające, że przejmują całą uwagę. Nagle nic naokoło nie istnieje. Totalne zawładnięcie.

Od tamtej pory częściej patrzy na boki, nie tylko na prędkościomierz. Dotarło do niego, że rower pozwala zwolnić, zatrzymać się, zjechać na pobocze, podążyć za ciekawością i skręcić w boczną drogę. To sprzyja odkrywaniu, zaglądaniu za ekrany autostrad. Bo najciekawszy jest ten świat poza nimi. – Kiedyś w okolicach Starego Sącza skręciłem w boczną drogę. Na zasadzie: a dobra, tu nigdy nie jechałem. Zobaczymy. I co? Zatrzymałem się przy płocie, za którym były rzeźby i jakiś mężczyzna. Jak



się okazało, rzeźbiarz, ludowy artysta Józef Lizoń, który swoją galerię nazywa Skansenem Rzeźby Monumentalnej. Zaczęliśmy rozmawiać. Zapytał, gdzie jadę, opowiedział o rzeźbach. I tak jest często. Rower jest paszportem do rozmawiania z ludźmi. Wchodzenia w ich świat. Zaczepiania ich. Pytania o drogę. A nawet gdy nie szukasz kontaktu, to ktoś zaraz zapyta: „A gdzie jedziesz?”. Nawiązuje się relacja. Jest pretekst do rozmowy, bez bariery w postaci blachy i okien samochodu, które nas izolują. Gdy staniesz autem komuś pod płotem, to cię pogoni, że mu rozjeżdżasz trawnik. To jest ta różnica.

—
19 STYCZNIA 2024 ROKU

Kręcę, marząc o tym, żeby stąd uciec. Uwolnić się od podłoża metalowego rumaka

i ruszyć w trasę. Wyjechać za miasto. Poczuć emocje odkrywania. Obcowania z przyrodą.

Myślę o tym, co mówił mi Kamil Ariel Mąkosza – twórca *O koło roweru*, kanału na YouTube, w którym relacjonuje swoje wycieczki. W zeszłym sezonie, w samotnej wyprawie na dwóch kołach dotarł na Nordkapp. To jeden z najdalej wysuniętych na północ przylądków Europy. Wcześniej na miesięcznym wyjeździe przejechał Polskę z zachodu na wschód. Na co dzień jednak jeździ po tych samych szlakach co ja. Kto wie, może kiedyś minęliśmy się w drodze z Warszawy do Wyszkowa, gdzie tak jak i ja zażywał Bugu. Albo na trasie do Warki, Kozienic czy Góry Kalwarii. – Rower poszerza świat. Przesuwa margines, ale i pozwala zajrzeć dalej, skupić się na szczególe. A detale w takim odkrywaniu świata są najważniejsze – mówi.

Chciałem dowiedzieć się więcej o tym marginesie. Kamil opowiedział, jak w 2019 roku wybrał się rowerem w Bieszczady. Jechał tydzień, po drodze pokonał 632 kilometry. Dziś ten dystans, przebyty w takim czasie, nie zrobiłby na nim wrażenia, ale wtedy okazał się czymś przełomowym. – Zrozumiałem, że ta odległość, choć na mapie duża, jest do pokonania. Jeszcze trzy lata wcześniej wydawałaby mi się nierealna. Wtedy pojąłem, że świat jest naprawdę w zasięgu. To był przełomowy moment. Przesunięcie marginesu psychologicznego w głowie. Pokonanie bariery. Potem nieraz jeździłem palcem po mapie, gdzie mogę teraz pojechać, ot tak. Później przeżyłem to samo na Nordkapp. Po drodze, na południu Szwecji, wjeżdżałem na spore wzniesienie. Zza niego wyłoniło się ogromne jezioro. W tle kwitnący rzepak, wiatraki. Pomyślałem: „Wow! Dotarłem aż tutaj”.

Rowerem niemal wszędzie da się wjechać. A już z pewnością w więcej miejsc niż autem. Widać to w filmach Kamila Mąkoszy, który często spędza noce w trasie. Wybiera lasy iglaste, bo liściaste za głośno szumią. I te z czystym poszyciem, bo wtedy z daleka może zobaczyć zwierzęta.

– Doskonale pamiętam moją pierwszą noc na dziko w lesie. To było pod Ostrołęką. Skręciłem w las gospodarczy. Wjechałem w boczną drogę, a potem w jeszcze mniej uczęszczaną. Zjechałem w sam dołek, by

WIŚLANA TRASA ROWEROWA I. ETAP WISŁA – SZCZUCIN



zyskać osłonę. Rozwiesiłem hamak między sosnami. Doskonale było słyszeć ptaki, dookoła buszowały sarny z koziołkiem. Do tego była dobra pogoda, a nade mną gwieździste niebo. To było niezapomniane przeżycie. Dziś po kilkuset noclegach ta bliska obecność przyrody wciąż zachwyca. Za każdym razem czuję te emocje. Mimo że lasy gospodarcze u nas dominują, są bliźniacze, to zawsze coś je różni. Układ drzew, struktura terenu, zwierzęta – mówi. Z każdej wyprawy przywozi nie tylko liczne zdjęcia i filmy, ale też notatki, które zapisuje w „kapowniku”. Pisz w nim na przykład tak:

Dzień 7–12.07.2021

Przełęcz Kłodzka – Między kopalnią Uranu a Jaskinią Niedźwiedzią

DST 50,4/ RTM 3:43:00/ AVG 13,6/ MAX 51,8

To był dość długi dzień. W nocy były świetliki, ale za mało, żeby się fatygować. W nocy padał deszcz, jak rano wstałem, to pojechałem na wieżę widokową, ale szlak jest tak tragicznie oznakowany, że kręciłem się przez godzinę i nie dojechałem. Trasa – Przełęcz Kłodzka – gaj Jaskowa Górna – Droszków – Odrzychowice Kłodzkie – Trzebieszowice – Kąty Bystrzyckie (?) – Sienna (przez lasy i pola, obok kamieniołomu). Jechałem przez turbodziury... Widziałem wieżę wapienną, kamieniołom i chyba ruinę kościoła, znowu turbodziury, kopalnia uranu (16:00 z planowanej 12:00), jestem przed Jaskinią Niedźwiedzią. Śpię

na przystanku w altanie edukacyjnej. (...) Siedzę i patrzę na góry rozświetlone zachodzącym słońcem. Ładuję elektronikę i będę szukać w ciągu dwóch dni jakieś cywilizacji, żeby się podładować.

Jest przy tym bardzo skrupulatny, a kiedy nie jest, ma moralnego kaca. Regularność pozwala mu odtworzyć w pamięci odwiedzone miejsca i zlokalizować je na mapie, bo same zdjęcia nie zawsze na to pozwalają. Szczególnie że choć posiadanie przy sobie aparatu wyostrza zmysły i percepcję, sprawia też, że gubi się przyjemność podróżowania. – Zaczęło mi to przeszkadzać, bo odbierało „tu i teraz”. Wielokrotnie zdarzało mi się to przy astrofotografii. Długo czekałem, aż będzie widać Drogę Mleczną, a kiedy się pojawiała, a wraz z nią spadające gwiazdy czy zorza polarna, skupiałem się, żeby sprzęt to zarejestrował, więc ostatecznie nie mogłem obserwować tych zjawisk gołym okiem, tylko przez ekran.

— 23 STYCZNIA 2024 ROKU

Zakładam strój rowerowy: majty z pieluchą i kolarską koszulkę z kieszeniami na plecach. Pierwszy kilometr, drugi, trzeci. Przez dziurkę w reklamowej siatce widzę mężczyznę w moim wieku. Niesie pod pachą czerwony dziecięcy rower. Piękny, błyszczący egzemplarz. Chciałbym zobaczyć radość dziecka, które go dostanie. Pierwszy raz,

gdy na niego wsiądzie i zapamięta ten moment na całe życie. Tak jak ja zapamiętałem swój. To był biały reksio z charakterystyczną otwartą od spodu ramą mocowaną na wielkie śruby. Z czarnym siedziskiem i białymi rączkami. Wrzucam nazwę w Google’a. Reksia produkowano w Fabryce Samochodów Małolitrażowych w Tychach, którą zlikwidowano w 1992 roku. Klikam dalej: ktoś sprzedaje zardzewiały model jako zabytek. Mój reksio sprawił, że nagle dziecięcy świat nie zamykał się już w obrębie podwórka i dwóch wyspanych żużli ulic na rodzinnym osiedlu domów jednorodzinnych w podlubełskim miasteczku. Pozwalał ruszyć dalej. Odkrywać nieznanne. Ograniczeniem był tylko strach, że nie zdążę wrócić na kolację. Rodzice mieli wtedy inne zmartwienia niż to, gdzie zdzieram łokcie i kolana. Uczyli nas jeździć, trzymając wsadzony za siodełko kij od szczotki. A potem odkręcali boczne kółka i puszczali w świat.

Ale byli też ojcowie i matki, którzy uczyli jeździć po to, by rowerowe wycieczki tworzyły przestrzeń do budowania relacji. Rozmawiam o tym z Jakubem Kornhauserem, poetą, tłumaczem, eseistą, wykładowcą akademickim, ale w tym tekście przede wszystkim cyklistą oraz autorem napisanych z perspektywy siodełka książek *Premie górskie najwyższej kategorii* oraz *Lotne finisze. Skarby powiatu chojnickiego z rowerowej perspektywy*. Kornhauser urodził się w rodzinie, w której nikt nigdy nie miał prawa jazdy ani

samochodu. Rower był środkiem lokomocji, ale i sposobem przeżywania świata. Z ojcem wyruszał na wycieczki po rodzinnym Krakowie i okolicy. Często jeździli wzdłuż Wisły i w kierunku gór.

– Mój ojciec jest bardzo introwertyczny. Trudno było nawiązywać z nim relacje. Inaczej było na wspólnych wycieczkach. Wyjazdy były naturalną drogą ich budowania. Znikały codzienne bariery, a łączyło wspólne przeżywanie przygody. Ojciec uczył mnie obserwacji świata, bo pisał, nim się inspirując. Nauczył mnie wrażliwości na każdy szczegół w krajobrazie, detal rzeczywistości, na przykład napis na mijanych po drodze szyldach czy reklamach. Ja odwdzięczałem się nawigowaniem, bo on nigdy nie miał dobrej orientacji w przestrzeni. Szybko więc stałem się pilotem wycieczek, który orientował się w tym, co na mapie. Do dziś interesuję się kartografią, mam tysiące map, a w głowie siatkę połączeń i nie umiem się zgubić czy wałęsać jak on.

W jego zbiorach są głównie mapy praktyczne, niemające charakteru kolekcjonerskiego czy zabytkowego. Służą mu w czasie jazdy do odnajdywania się w terenie. Ma ich wiele, a niektóre drobiazgowo oddają tylko niewielki fragment rzeczywistości. – Są to na przykład mapy Pogórza Strzyżowskiego czy Pojezierza Drawskiego, różnych części Puszczy Knyszyńskiej, ale też wiele planów miast – dodaje. Po wyprawach z ojcem zostało mu używanie ich do nawigowania. I choć teraz jeździ sam, to często wraca na trasy przejechane wspólnie w dzieciństwie. Ich wycieczki można podzielić na dwie kategorie. Pierwsza to nieodległe przejażdżki po peryferiach Krakowa, czyli przejazd przez Stary Bieżanów czy okolice kombinatu hutniczego. Druga – trasy dłuższe, wzdłuż Wisły, w stronę Oświęcimia, Chrzanowa czy Puszczy Niepołomickiej.

– Pamiętam, że ładowaliśmy do plecaków szklane słoje, w które potem zbieraliśmy jeżyny. W samej puszczy i jej okolicach był ich ogrom. Podobnie z czereśniami, z których ogołocaliśmy mijane drzewa. Wracaliśmy z ciężkimi plecakami, pełnymi słoików wypełnionych owocami. A potem mieliśmy tydzień kurowania pleców, ale i najpyszniejsze owoce, jakie jadłem. Do dziś pamiętam ich smak. To, czego nie przejeśliśmy, zostawało na racuchy i naleśniki czy podjadanie

w czasie układania puzzli, które miały potem jeżynowy kolor. To był nasz rytuał tworzący zresztą nową, owocową płaszczyznę naszej relacji wspólnego gotowania.

Od tamtej pory Kornhauser nic innego chętniej nie robi. Kiedy tylko może, a może niemal codziennie, wsiada na rower i pędzi – jak pisze w książce *Premie górskie najwyższej kategorii* – „ku tym łąk zielonych wyżynom, ku tamtym pól umajonych zboczom, za nic mając tygodnia pracy obostrzenia”. I choć zna już tych ustroni tajne zakątki, to wraca do nich raz po raz z wciąż rosnącym przekonaniem, że takie jest jego przeznaczenie. Patrząc na przyrodę, szczególnie uwagę przykładu do tego, jak natura odbiera przestrzenie zajęte wcześniej przez cywilizację. Nazywa to obserwacją wypierania. – To wszystkie te zrujnowane budynki, w których wyrastają owocowe sady, czy miejsca, gdzie nagle zwierzęta odnawiają swe populacje. Mam parędziesiąt takich miejsc, do których wracam na rowerze i obserwuję zmiany.

Takim miejscem jest choćby Bodzów.

*Wyprawy rowerowe pozwalają
czerpać siłę i inspirację z przyrody.
A im bardziej jest dzika,
pozbawiona ludzkiego pierwiastka,
tym lepiej. Wystarczy zejść
ze szlaku i skrócić w głąb, żeby
znaleźć miejsca wolne od ludzi.*

Rzec można: peryferie Krakowa. Jedno z miejsc, które Jakub Kornhauser odwiedzał z ojcem w dzieciństwie. Zapadło mu w pamięć, bo było regularnym celem rowerowych wypraw i rodzinnych pikników. – Znajduje się tam twierdza obronna, jedna z tych, które jeszcze w XIX wieku stanowiły pierścień fortyfikacji Krakowa. Z tego fortu nie pozostało zbyt wiele, a to, co zostało, wtopiło się w krajobraz, jakby było od zawsze organiczną częścią wapiennego wzgórza. Jakby wrosło w oryginalną tkanę skałek, ostańców. Za kilkanaście, a może kilkadziesiąt lat natura całkiem połknie ten relikw zabudowy.

Postępy zatarcia, nie tylko fizycznego, ale i kulturowego, obserwuje w wioskach Beskidu Niskiego i na Podlasiu (jeździ tam

regularnie). – Czasem na mapach są oznaczone jeszcze dawne budynki, a na miejscu już nie ma nic, tylko gęstsza kępa trawy, jakaś glinianka. Lubię konfrontować mapy z rzeczywistością i tylko w wyobraźni odtwarzać sobie, co w tym miejscu stało: chata, stodoła, ludzki ślad.

Rower zaspokaja potrzebę izolacji od codziennych zajęć. – Przejąłem introwertyzm od rodziców. Lepiej się czuję, gdy jestem bardziej samotny niż niesamotny. Wyprawy w pojedynkę są dla mnie odpoczynkiem. Obowiązkową czynnością dla zachowania równowagi psychicznej. A ta samotność sprzyja obserwacjom. Nie rozpraszam się rozmową czy rywalizacją. Nie muszę być odpowiedzialny za kształt trasy czy mijane atrakcje. Nie muszę mierzyć się z oczekiwaniami towarzyszy wyprawy. Mogę dowolnie i tylko w zależności od swoich potrzeb odbierać rzeczywistość, która ciągle się zmienia. Ze względu na pory roku, upływający czas, działalność człowieka.

Rower umożliwia odczuwanie różnorodności świata. – W jeździe rowerem fascynuje mnie cielesny odbiór rzeczywistości. Zmęczenie fizyczne powoduje nieco zmodyfikowany sposób jej percypowania. Inaczej odbiera się krajobraz dookoła, kiedy wspinamy się rowerem na wzniesienie, a inaczej, jadąc po płaskim, gdy mięśnie nie palą, a pot nie zalewa oczu. To inny rodzaj odbioru, który wzmacniam też pieszymi wędrówkami, kiedy odkładam rower. Lubię żonglować tymi rodzajami odczuwania świata.

Wyprawy rowerowe pozwalają czerpać siłę i inspirację z przyrody. A im bardziej jest dzika, pozbawiona ludzkiego pierwiastka, tym lepiej. Kiedy tej niezakłóconej dzikości coraz trudniej doświadczyć, bo większość lasów wypełnia gospodarcza sosna, szuka azylów, choćby w mikroskali, jak oddalony ledwie o półtorej godziny jazdy z Krakowa Las Bronaczowa na Pogórzu Wielickim. Wystarczy zejść ze szlaku i skrócić w głąb, żeby znaleźć miejsca wolne od ludzi. – Nie ma tam żadnych ścieżek, co najwyżej te wydeptane przez zwierzęta, używane przez sarny i jelenie. Są wąwozy wyrobione przez cieki wodne. Jeśli się w nie zanurzymy, możemy kilka godzin spokojnie chodzić, nie spotykając nikogo. Wtedy odpoczywam. Regeneruję siły. To korzystnie wpływa na moce twórcze.



Najlepiej mi się myśli, gdy jestem w ciągłym ruchu. Wypracowałem taki styl jazdy, że mam czas na refleksje. Przepracowuję w głowie różne tematy. A potem dzięki temu łatwiej piszę. Przelewam pomysły z głowy.

Jakub Kornhauser wyląwia z otoczenia mijane szyldy, obrazy, napisy. Zwraca uwagę na drzewa, zwierzęta, ptaki. To zresztą cecha, którą przejął po ojcu. Czasem wystarczy, że wyjedzie czterdzieści kilometrów za miasto i zyskuje inną perspektywę. – Staram się wtedy uważnie obserwować wszystko, co dzieje się wokół mnie, i zapisywać w głowie. Potem te wspomnienia się łączą, przeplatają z wyobrażeniami czy snami i tak powstają teksty. Piszę, czerpiąc z tego, co ze mną zostało.

W ten sposób ćwiczy też pamięć, bo jest analogowym rowerzystą – używa tylko papierowych map. Nie korzysta z aplikacji w smartfonie, bo go nie ma. Przed wyjazdem sprawdza kierunek wiatru na trasie. A po powrocie relacje z wypraw notuje w specjalnym dzienniku – zbiorze danych, zapisków, refleksji dotyczących ważnych dla niego obserwacji czy punktów na trasie. – Pozwalają mi potem odtwarzać w pamięci odwiedzone miejsca. Kilkanaście lat temu zrezygnowałem z robienia zdjęć i wtedy nauczyłem się jakoś głębiej patrzeć na świat. Wiedząc, że nie będę fotografował, lepiej zapamiętuję wycieczki. Nie zrzucam konieczności zapamiętywania na technologię, tylko staram się oczami wchłonąć i zostawić dla siebie jak najwięcej. Pomagają w tym notatki. Są podpórką dla wspomnień. Dzięki nim mogę przypomnieć sobie niemal każdy szczegół kolejnych wypraw, nawet tych sprzed wielu lat.

Kiedy odkrywa nowe miejsca, zyskuje okazję do poznania ich historii. Już po powrocie do domu niemal zawsze o nich czyta.

Interesuje go lokalna tradycja i historia. Ostatnio zgłębiał tak rejony Pojezierza Krajeńskiego, leżącego między dolinami Gwdy, Brdy i środkowej Noteci. – To była dla mnie biała karta. Teren zupełnie tajemniczy. Kiedy zsiadałem z roweru, czytałem. Okazało się, że z krainy tej pochodzi chociażby Bernd Heinrich, autor wielu tłumaczonych na język polski książek o zwierzętach. Te lektury pozwalają mi dookreślać to, co zobaczyłem. Ubierać te regiony w słowa i myśli. Rower pozwala mi odkrywać te tereny krajoznawczo, budować z nimi relację, ale też siebie.

—
10 LUTEGO 2024 ROKU

Czytnik na siłowni wydaje z siebie zgrzyt. Odbijam się od bramki. Mój karton się skończył. Po chwili jestem wolny. Czuję radość, jakbym znów był dzieckiem i wsiadał na swój pierwszy rower. Rosnę z każdym przejechanym kilometrem. Przyznaję się do wewnętrznego dziecka jak Cieplak, który nad Dunajem dla zabawy jeździł w kółko po zawieszonych nad rzeką kładkach. „Mam pięćdziesiąt lat. W tym wieku człowiek zaczyna się powoli przyznawać do dziecka. Za młodu zjadł pilnuje swojej dorosłości, a dziecko w nim wstydlive i głupie. (...) Młodość i starość to walka o władzę. Walka o wiedzę i rozumienie świata. O życie. Przywoływać tu dziecko, w sobie uznawać dziecko, to jakby stawać pośrodku pola bitwy, gdzie trwa ostra wymiana ognia. Machać białą flagą, która jeszcze bardziej wścieka obie armie” – pisał, przywołując w pamięci powtarzane w tę i z powrotem przejazdy kładką.

I ja wyruszam powtarzać, choć – jak pisał Cieplak – to nigdy nie jest powtórzenie, a zawsze jest na nowo przeżywanie życia, jadę do Szumina. Powtórzę się wraz z tym Bugiem, ale przecież całkiem innym, siedząc na brzegu.



Więcej reportaży przeczytasz
lub wysłuchasz na magazynpismo.pl/
reportaż

MAGAZYN OPINII
Pismo.

Strategie przetrwania

CYKL ROZMÓW

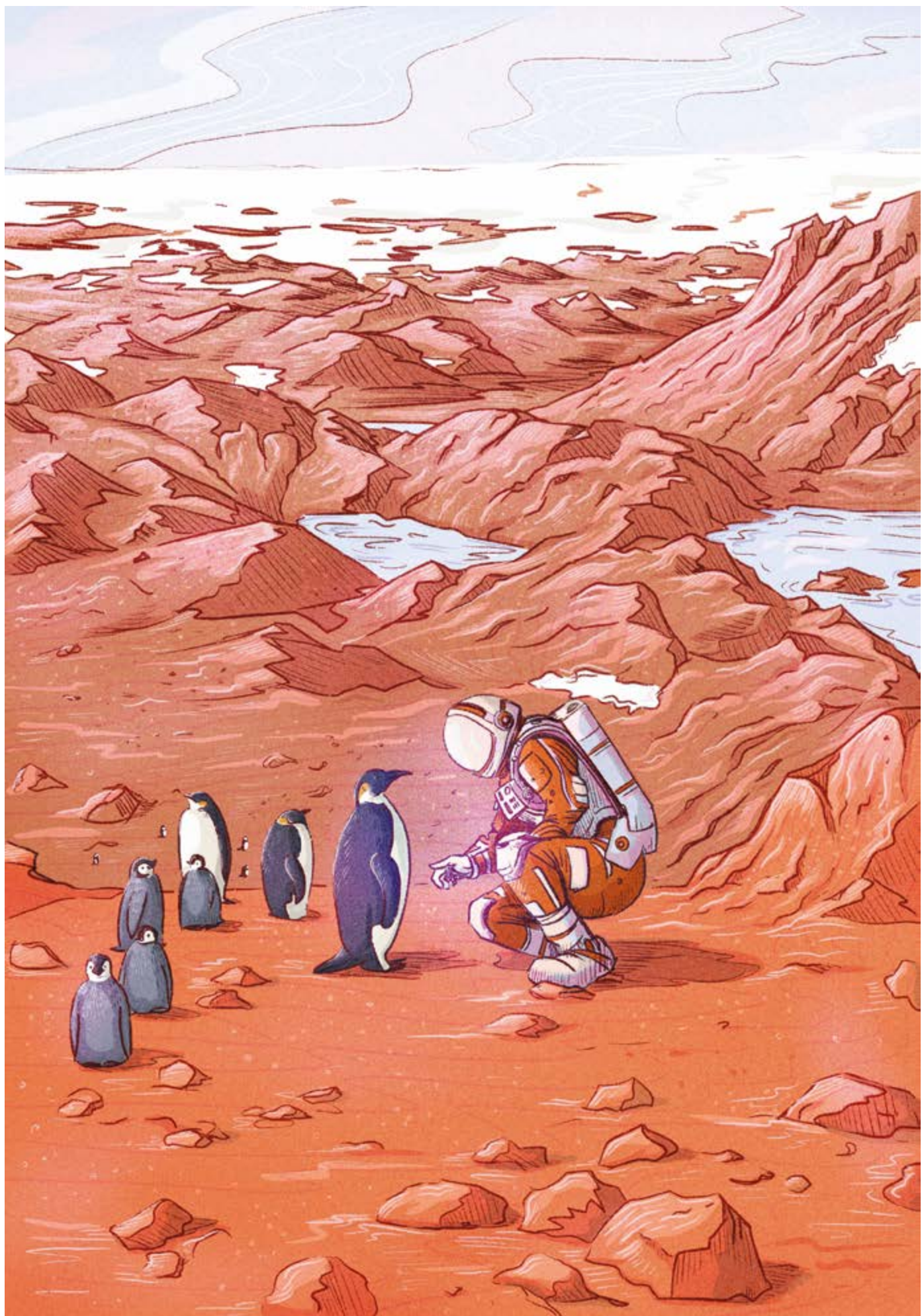
KATARZYN KAZIMIEROWSKIEJ

Powiedzenie „obyś żył w ciekawych czasach” nabiera dziś znaczenia bliższego kłatwie. Jak poradzić sobie z poczuciem niezrozumienia, zagubienia i bezsilności? Przeczytaj, co radzą nam eksperci i ekspertki. Może ta wiedza nie tylko uwolni nas od lęku, ale pozwoli też zrozumieć, co dzieje się ze światem wokół nas.



Masz prenumeratę lub sam dostęp online?
Czytaj nowe rozmowy co miesiąc tylko na
magazynpismo.pl i w aplikacji.





Profesora Marka Lewandowskiego, antarktycznego Marsjanina

tekst ADAM ROBIŃSKI

JAK KTOŚ CAŁE ŻYCIE spędził z geologią, doznania na Antarktydzie będą wyjątkowe. To jedno z nielicznych już naturalnych środowisk, nasza planeta z czasów, gdy dopiero formowały się jej kontynenty.

Odrzutowiec nadlatuje znad oceanu, huk jego silników mocuje się z symfonią antarktycznego wiatru. Zatacza koło, po czym odlatuje na południe, nad wielką połąć bieli. Staje się czarną plamką, potem ledwie punktem, wreszcie znika. Mężczyzna w czarnej kurtce odprowadza go wzrokiem aż do linii horyzontu. Kaptur skutecznie tłumi dźwięki odrzutowca, więc ucho gubi go jeszcze szybciej niż oko. Po chwili nie ma już śladu po cudzej obecności.

– To jest taki rodzaj samotności, który odczuwamy każdym zmysłem – powie mi wiele miesięcy później. – Zupełnie inny niż wtedy, gdy wejdziemy choćby na Kopę Kondracką w Tatrach i uświadomimy sobie, że nikogo obok nas nie ma. W Oazie Bungera na Antarktydzie łatwo wprowadzić się w stan lęku przed bezkresem, który cię otacza. Kiedy wychodziłem choćby za pobliskie wzgórza, moi koledzy i koleżanka rozchodzili się, a budynki stacji znikały mi z pola widzenia, zapomniałem o całym świecie. Wypierałem to, że niedaleko są Rosjanie, że mają helikopter i wszystko jest pod kontrolą. Mówiłem sobie wtedy: „Jesteś tu zupełnie sam. Nic tu oprócz ciebie nie ma. Do domu masz kilkanaście tysięcy kilometrów”. Czułem się wtedy jak na obcej planecie.

PROF. MAREK LEWANDOWSKI (ur. 1947), geolog i geofizyk, specjalizujący się w badaniach nad historią wędrówki kontynentów.

Na co dzień pracuje w Instytucie Geofizyki Polskiej Akademii Nauk, gdzie zrealizował m.in. projekt rewitalizacji Stacji Antarktycznej im. A. Dobrowolskiego.

Profesor Marek Lewandowski z Instytutu Geofizyki Polskiej Akademii Nauk (PAN), wspominając pobyt w Oazie Bungera na Antarktydzie, przywołuje powieść *Marsjanin* Andy’ego Weira, sfilmowaną przez Ridleya Scotta. Osadzona w 2035 roku fabuła opisuje losy astronauty, który w wyniku wypadku utknął na Marsie ze skromnymi zapasami i bez łączności z Ziemią. W historii wypraw antarktycznych mamy co najmniej kilka podobnych przypadków – pogoda więzi badaczy na lądzie, w efekcie spóźniają się na statek, który musi odpłynąć, zanim uwięzi go lód. W 1915 roku przydarzyło się to członkom wyprawy dowodzonej przez Ernesta Shackletona. Dwadzieścia osiem osób podjęło desperacką próbę marszu po lodzie. Po półtora roku zagubienia w Antarktyce ostatecznie wszyscy zostali uratowani.

– Wystarczyłoby nagle załamanie pogody. Śmigłowiec nie mógłby po nas przylecieć, a lodołamacz musiałby odpłynąć bez nas. Na Antarktydzie zawsze trzeba mieć plan awaryjny. Nasz zakładał zimowanie w budynkach stacji i korzystanie z paliwa z placówki rosyjskiej. Oni zostawili tam kilkaset beczek zapasu. Powiedzieli, żeby w razie konieczności ich użyć. Kiedy człowiek uświadamia sobie, że jego powrót jest zawieszony na tak cienkiej nitce, łatwo poczuć się Marsjaninem.

ANTARKTYDA WSCHODNIA, nazywana też Wielką Antarktydą, stanowi 70 procent powierzchni całego kontynentu. Jest zwartym geologicznie blokiem skorupy ziemskiej, przykrytym lodową czapą o grubości dochodzącej do kilku kilometrów. Oaza Bungera stanowi jej

malutką, niepokrytą lodem część. Od Oceanu Południowego oddziela ją kilkadziesiąt kilometrów lodowca szelfowego Shackletona. Na niecały tysiąc kilometrów kwadratowych (to mniej więcej dwie Warszawy) składają się wyłącznie zwietrzałe skały metamorficzne – między innymi powstałe w głębi skorupy ziemskiej gnejsy i granulity – oraz słodkowodne i słone jeziora, z których najgłębsze sięga 137 metrów. Klimat jest surowy. Zimą temperatura spada do około minus 40 stopni, latem wzrasta do niespełna 10 stopni Celsjusza. Powietrze jest suche, a prędkość wiatru w porywach sięga 55 metrów na sekundę. To właśnie na jednym z niezamrzniętych jezior w lutym 1947 roku wojskowym hydroplanem wyładował Amerykanin, komandor podporucznik David E. Bunger, którego nazwisko unieśmiertelnił potem antarktyczny toponim.

Zwiad był elementem operacji Highjump (Wysoki skok), przeprowadzonej tuż po drugiej wojnie światowej przez amerykańską marynarkę. Jej organizatorem i dowódcą był kontradmirał Richard E. Byrd. Operacja, angażująca 4 tysiące żołnierzy, kilkaset samolotów i kilkanaście okrętów, miała na celu między innymi uzupełnienie białych plam na mapach Antarktydy, rozszerzenie kontroli USA nad kontynentem, a także znalezienie potencjalnego miejsca pod budowę amerykańskiej stacji antarktycznej. W wydanym w 1922 roku w Lipsku atlasie pod redakcją doktora Ernsta Ambrosiusa większości kontynentu nie otacza kontur – jedynie ziemie Grahama, Victorii oraz kilka mniejszych skrawków wybrzeża zaznaczono precyzyjnie. Reszta wybrzeża została wyznaczona jedynie w przybliżeniu. Oksfordzki atlas Bartholomew z 1942 roku przynosi nowe fakty dotyczące Antarktydy Wschodniej, pozostawiając jednak wiele wątpliwości związanych z przebiegiem niemal połowy jej linii brzegowej. Wnętrze kontynentu to biała plama. Dosłownie. Operacja Highjump miała też sprawdzić, czy Antarktyda nie jest dwiema wyspami rozdzielonymi zamrzniętym kanałem.

Amerykanie mieli też cele polityczne. Zależało im na stałej obecności na Antarktydzie i na sprawdzeniu, czy w latach 30. bazy nie założyli tam Niemcy. Dostępna na YouTube kronika filmowa amerykańskiej marynarki mówi o powietrznym mapowaniu 175 tysięcy mil kwadratowych niezbadanego terytorium „ponad imperium lodu i kontynentami chmur”. Wśród odkryć znalazły się nowy łańcuch górski w sąsiedztwie bieguna oraz „krajina jezior, fantastyczna, wolna od śniegu oaza na lodowej pustyni”.

Niecałe osiemdziesiąt lat później w Oazie Bungera mieszczą się trzy placówki naukowe. Wśród nich, obok pobliskiej rosyjskiej stacji Oazis 2 oraz położonej nieco dalej na zachód australijskiej Edgeworth David, znajduje się polska stacja polarna imienia Antoniego Bolesława

Dobrowolskiego. To właśnie w niej południowego lata 2022 roku profesor Marek Lewandowski, w siedemdziesiątą piątą rocznicę odkrycia Oazy (oraz własnych urodzin), poczuł się jak Marsjanin.

DWA LATA PÓŹNIEJ, polską zimą 2024 roku, profesor Lewandowski przyjmuje mnie w Instytucie Geofizyki Polskiej Akademii Nauk na warszawskiej Woli. Jego gabinet to dwa biurka, komputer, duży monitor, segregatory, parę kwiatów i widok z okna na ogródki działkowe na Kole. W oczy rzuca się wisząca na ścianie ręcznie malowana mapa fragmentu Spitsbergenu, największej wyspy w norweskim archipelagu arktycznym Svalbard. Odruchowo szukam Hornsundu – niedużego fiordu w południowej części, gdzie znajduje się polska stacja polarna imienia Stanisława Siedleckiego. Hornsund to dla wielu badaczy z Polski brama do badań i karier naukowych w dziedzinach związanych z badaniem obszarów polarnych.

– Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś mógł jechać na Antarktydę bez wcześniejszego sprawdzenia się w Arktyce, bez zbadania reakcji swojego organizmu na ekstremalne warunki – mówi Lewandowski. Sam pierwszy raz pojechał tam w 1982 roku. Kilka tygodni przemieszczał w namiocie nad Isfjorden, jednym z większych fiordów Spitsbergenu, zbierając próbki skalne do badań geofizycznych. Przy innych okazjach przebywał w stacji Instytutu Geofizyki PAN w Hornsundzie. Przez większość drogi naukowej pracował jednak w zupełnie innych miejscach. Jako specjalista od paleomagnetyzmu – dziedziny geofizyki zajmującej się badaniem przeszłości pola magnetycznego Ziemi – podróżował przede wszystkim po Europie. Zajmował się również organizacją wierceń badawczych, między innymi w Chinach, Japonii, USA, a także w Meksyku na półwyspie Jukatan, w kraterze Chicxulub, powstałym po upadku meteorytu sprzed 66 milionów lat. Pracował też za biurkiem, w Instytucie Szkła i Ceramiki (dziś Sieć Badawcza Łukasiewicz – Instytut Ceramiki i Materiałów Budowlanych), prowadząc badania nad elektrodami ceramicznymi do topienia szkła, oraz w Instytucie Nauk Geologicznych PAN, gdzie przez dwanaście lat pełnił funkcję dyrektora. Mówiąc o swoich największych zawodowych osiągnięciach, cofa się jednak aż do lat 70., a więc czasów bezpośrednio po studiach.

– Muzeum Mikołaja Kopernika we Fromborku szukało kogoś zainteresowanego astronomią. Zgłosiłem się i zostałem przyjęty. Zająłem się organizacją pracy planetarium, prowadziłem wykłady dla szkół i turystów, tworzyłem wystawy astronomiczne. Na zewnętrznej stronie kopuły planetarium o średnicy 8 metrów odtworzyłem z gipsu relief widocznej powierzchni Księżyca.



Wystarczy wejść do środka Wieży Radziejskiego, by zobaczyć księżycowe morza i kratery.

Dwa pozostałe osiągnięcia to już tematyka polarna. Jednym z nich jest kapsuła czasu, umieszczona w głębokim na 4 metry otworze wywierconym w skale z okazji 60. rocznicy powstania stacji badawczej w Hornsundzie. – To zestaw artefaktów z różnych dziedzin nauki i życia, włożonych w tubę ze stali nierdzewnej, wsuniętej do otworu, a następnie zabetonowanej. Nikt tego nie znajdzie, dopóki kapsuła sama się nie ujawni na powierzchni. Stanie się to wskutek erozji skał za mniej więcej pół miliona lat. Ktoś ją kiedyś otworzy i dowie się, co wiedzieliśmy o Ziemi i życiu, jaką stworzyliśmy cywilizację.

Trzecim najważniejszym osiągnięciem jest dla Lewandowskiego wyprawa na ziemskiego Marsa.

SZACUJĘ, ŻE W CAŁEJ historii Oazę Bungera odwiedziło mniej ludzi niż choćby wierzchołek Mount Everestu – mówi profesor. Na wybudowanie stałej bazy w tym miejscu jako pierwsi zdecydowali się Rosjanie. W 1956 roku nad największym powierzchniowym jeziorem Antarktydy – Jeziorem Figurowym – postawili dwa baraki ze sklejki brzozy syberyjskiej, impregnowanej bakelitem. Ale Oazis – bo tak została nazwana stacja – znajdowała się na uboczu, poza głównymi szlakami komunikacyjnymi Rosjan, prowadzącymi ze stacji Mirnyj na wybrzeżu do położonych w interiorze placówek Wostok i Komsomolskaja (ta druga funkcjonowała tylko przez kilka lat, a jej zabudowania już dawno pochłonęły śniegi).

– Rosjanie założyli Oazis przede wszystkim po to, by zaznaczyć swoją obecność na obszarze odkrytym przez Amerykanów. Przechodzili w niej raz, a potem dali sobie spokój. Utrzymanie było zbyt drogie i kłopotliwe, więc oddali ją sojusznikowi. Nie ofiarowali nam klejnotu z korony, raczej pozbyli się kłopotu. Z drugiej strony Polska dostała własny, choć malusieńki, kawałek Antarktydy.

W grudniu 1959 roku dwanaście państw (Argentyna, Australia, Belgia, Chile, Francja, Japonia, Norwegia, Nowa Zelandia, Republika Południowej Afryki, USA, Wielka Brytania i ZSRR) prowadzących na Antarktydzie badania naukowe podpisało Układ Antarktyczny. Sygnatariusze uznali kontynent za obszar eksterytorialny, zobowiązali się do współpracy oraz zrezygnowali z wszelkich działań o charakterze militarnym i budowy placówek o przeznaczeniu innym niż naukowe. Ale Związek Radziecki jako jedyne państwo socjalistyczne w tym gronie był od początku negocjacji traktatowych izolowany. Potrzebował partnerów, którzy mogliby go wspierać w polityce antarktycznej. Wybór padł na Polskę, która miała już pewien dorobek polarny, zarówno w Arktyce (jeszcze przedwojenne polskie wyprawy



na Spitsbergen i Wyspę Niedźwiedzią) oraz w Antarktyce (belgijska wyprawa żaglowcem „Belgica” z Henrykiem Arctowskim i Antonim Bolesławem Dobrowolskim na pokładzie). Warszawa przyjęła prezent i przekazała Polskiej Akademii Nauk, a ta na patrona stacji wybrała Dobrowolskiego, zmarłego kilka lat wcześniej geofizyka i glaciologa, autora monumentalnej monografii *Historia naturalna lodu*. W grudniu 1958 roku polscy polarnicy pod wodzą Wojciecha Krzemińskiego, geodety, geofizyka i powstańca warszawskiego, ruszyli z Rosjanami do stacji Mirnyj, a stamtąd, ponad 300 kilometrów helikopterem, do Oazy Bungera, by 23 stycznia 1959 roku oficjalnie zawiesić nad placówką białą-czerwoną flagę.

Przejęcie stacji umożliwiło Polsce przystąpienie w 1961 roku do Układu Antarktycznego, jednak w XX wieku Polacy odwiedzili stację jeszcze tylko dwa razy: na przełomie 1965 i 1966 roku oraz na początku 1979 roku (w obu przypadkach podczas antarktycznego lata, zimą nie da się tam po prostu dopłynąć). Druga z wypraw była zakrojona na szeroką skalę: piętnastoosobowy zespół, wspomagany przez polski statek i śmigłowiec, ponownie pod kierownictwem doktora Krzemińskiego, pracował w stacji Dobrowolskiego przez miesiąc. Wskutek nagłego załamania pogody naukowcy 21 lutego 1979 roku ewakuowali się do stacji Mirnyj, a następnie do Polski. Dwa drewniane budynki Dobrowolskiego zostały zamknięte na cztery spusty. Jak się okazało, na ponad czterdzieści lat.

W 1977 roku Polska Akademia Nauk uruchomiła drugą placówkę, Polską Stację Antarktyczną imienia Henryka Arctowskiego nad Zatoką Admiralicji

na Wyspie Króla Jerzego w archipelagu Szetlandów Południowych. To jeszcze nie kontynentalna Antarktyda, ale przyległe do niej morza i archipelagi: obszar bogaty w południowe życie, położony w sąsiedztwie Cieśniny Drake’a, przez którą prowadzi najkrótsza droga morska z Ameryki Południowej do Antarktyki. Stacja Arc-towskiego, którą kieruje Instytut Biochemii i Biofizyki PAN, jest dostępniejsza i całoroczna. Stała się wizytówką polskich badań antarktycznych, przede wszystkim z zakresu biologii i oceanografii. Stacja Dobrowolskiego przestała być Warszawie potrzebna do uczestnictwa w pracach Układu Antarktycznego, a w środowisku polarnym stała się wręcz niechcianym dzieckiem, przede wszystkim ze względu na wysokie koszty utrzymania.

– Któregoś dnia pod koniec 2016 roku na parkingu przed gmachem instytutu spotkałem Piotra Głowackiego, wieloletniego kierownika Zakładu Badań Polarnych i Morskich. Powiedział mi, że jest tak zajęty sprawami międzynarodowymi, że nie ma już czasu zajmować się zakładem. Zapytał, czy bym go nie przejął. – Lewandowski był przekonany, że bierze na siebie przede wszystkim nadzór nad znaną mu stacją na Spitsbergenie. Okazało się jednak, że w pakiecie znajduje się również zapomniana, dawno temu opuszczona placówka na Antarktydzie. Naukowiec usłyszał od swojej szefowej, profesorki Beaty Orleckiej-Sikory: „Zrób z tym coś, bo istnienie tej stacji, wyśmiewanej w internecie z powodu panującego w niej bałaganu, szkodzi nam wizerunkowo, a jej likwidacja będzie kosztowała miliony dolarów”.

– Bardzo się przejąłem tą sprawą, bo wykraczała daleko poza rutynę mojej pracy w instytucie. Usiadłem do komputera, żeby się zorientować, z czym mam do czynienia. Przeglądając prace naukowe, reportaże i zdjęcia z Oazy, zwróciłem uwagę na podobieństwo morfologii Marsa i Oazy Bungere. To z kolei podsunęło mi pomysł badań na wzór marsjańskich, a więc z wykorzystaniem automatycznych stacji pomiarowych. Bingo! Polska nie ma lodołamaczy. Nie ma infrastruktury, dzięki której moglibyśmy się w tamtych rejonach rozgościć. Zimować tam nie sposób. Złapałem się tej myśli i poszedłem z nią do szefowej, po czym dostałem zielone światło do działania.

Naukowiec początkowo czuł się w tym entuzjazmie odosobniony. Podczas jednej z konferencji usłyszał, że chce budzić do życia zombie. I że Dobrowolski to dziś wyłącznie kupa śmieci, do których lepiej się nie przyznawać. – Akurat to mnie zezłościło. Wychowano mnie w przekonaniu, że jak się naśmiec, to należy po sobie posprzątać. Minimum przyzwoitości wymaga, by zając się własnym bałaganem, więc na tym etapie już się uparłem, by tego tak nie zostawiać.

Na zawieszonym w gabinecie ekranie profesor włącza film, który przygotował kilka lat wcześniej na potrzeby

prezentacji projektu. Lektorka, Barbara Barzycka (w tym czasie doktorantka profesora Jacka Jani z Uniwersytetu Śląskiego), mówi o unikalnym położeniu Oazy Bungere, które skłania do szeregu badań naukowych. Bezpośrednie sąsiedztwo południowego bieguna magnetycznego sprzyja zarówno monitorowaniu składowych pola geomagnetycznego, jak i zjawisk pogody kosmicznej. Wolny od lodu grunt Oazy i brak zakłóceń spowodowanych działalnością człowieka sprzyjają precyzyjnym pomiarom geofizycznym, a występujące tu skały prekambryjskie umożliwiają badanie wczesnej historii Ziemi. „Ekstremalne środowisko Oazy Bungere jest jednym z najpełniejszych ziemskich analogów marsjańskich, zarówno pod względem meteorologicznym, jak i terenowym. Stwarza to warunki do testowania urządzeń technicznych i aparatury pomiarowej montowanych dla sektora kosmicznego. Ostatecznym celem programu rewitalizacji Obserwatorium Dobrowolskiego byłoby zbudowanie w Oazie Bungere międzynarodowej, automatycznej i bezzałogowej stacji geofizycznej, zasilanej na przykład ogniwami paliwowymi i udostępniającej dane pomiarowe online”.

Kilkuminutowy klip obejrzał profesor Łukasz Szumowski, ówczesny podsekretarz stanu w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego, a późniejszy minister zdrowia. Program rewitalizacji stacji Dobrowolskiego zrobił na nim według Lewandowskiego duże wrażenie, a Instytut Geofizyki dostał pierwsze pieniądze na organizację wyprawy. Następnie zyskał wsparcie Polskiego Konsorcjum Polarnego, porozumienia instytucji naukowych zajmujących się badaniami polarnymi (w jego skład wchodzi dziesięć uczelni i pięć instytutów). Wciąż jednak brakowało odpowiedzi na najważniejsze pytanie: jak my na tego Marsa dotrzemy?

Pod nieobecność Polaków w Oazie Bungere wyrosły dwie inne stacje. Pierwszą w 1986 roku postavili Australijczycy. Stacja Edgeworth David to sezonowe obozowisko, leży 7 kilometrów na zachód od Dobrowolskiego. Po Australii do Oazy wrócili Rosjanie: około 300 metrów od polskich budynków stanęła – również funkcjonująca wyłącznie latem – baza Oazis 2. Lewandowski widzi w tym efekt politycznego i naukowego współzawodnictwa o miejsce na Antarktydzie, podobnie jak w wyścigu o podbój Księżyca czy Marsa. Do momentu wejścia w życie Układu Antarktycznego roszczenia terytorialne zgłosiło siedem państw: Argentyna, Australia, Chile, Francja, Norwegia, Nowa Zelandia i Wielka Brytania

Lewandowski podczas jednej z konferencji usłyszał, że chce budzić do życia zombie. I że Dobrowolski to dziś wyłącznie kupa śmieci.

(o największy kawałek tortu wystąpili Australijczycy). Roszczenia nie są uznawane przez innych graczy, a traktat odłożył je – oraz ewentualne nowe – na dziewięćdziesiąt dziewięć lat. Jak przekonuje Lewandowski, Rosjanie mają inne podejście do tematu: – Oni zdobywają Antarktydę metodą obłężniczą. Założyli stacje naukowe w najbardziej niedostępnych miejscach i kiedyś powiedzą, że cały kontynent należy do nich.

Z powodu agresji Rosji na ukraińskie Krym i Donbas naturalnym partnerem do zorganizowania polskiej wyprawy do Oazy Bungeera stała się Australia. W grudniu 2018 roku do siedziby Australian Antarctic Division (AAD) w Hobart na Tasmanii wyruszyła delegacja Instytutu Geofizyki PAN. Kierujący nią profesor Marek Lewandowski wiozł ze sobą list intencyjny w sprawie gotowości rządu polskiego do zorganizowania ekspedycji oraz pełnomocnictwo do działań na rzecz rewitalizacji stacji Dobrowolskiego. Jednak w siedzibie AAD Lewandowski spotkał się ze sceptycyzmem. Badania sejsmologii i magnetyzmu, które miały być filarami polskiej ekspedycji, nie mieściły się wtedy w obszarze zainteresowań Australijczyków w Oazie Bungeera. Był też problem natury logistycznej. W rumuńskiej stoczni Gałąti jeszcze trwała budowa nowoczesnego lodolamacza RSV Nuyina, a stary nie nadawał się do tak trudnej wyprawy. – W Hobart usłyszałem, że powinniśmy skontaktować się z Rosjanami. To się wydawało mocno kłopotliwym rozwiązaniem, gdyż polsko-rosyjskie relacje na polu antarktycznym były zimne.

Wszystko za sprawą niefortunnego wystąpienia szefa polskiej delegacji Łukasza Szumowskiego na corocznym spotkaniu uczestników Układu Antarktycznego w 2017 roku w Pekinie. Uraził on Rosjan, bo opowiadając o projekcie reaktywacji Dobrowolskiego, nie wspominał, że stacja była prezentem od Związku Radzieckiego. Szumowski miał za sobą doświadczenia polarne ze Spitsbergenu, był zapalony do projektu, zabrakło mu jednak wyczucia dyplomatycznego. Obecny w Pekinie Lewandowski na własnej skórze się przekonał, ile kosztowało to *faux pas*. – Kiedy podeszedłem do szefa delegacji rosyjskiej, Walerija Łukina, który był dyrektorem rosyjskiego Antarktyczno-Arktycznego Instytutu Badawczego w Petersburgu (AARI) oraz kierownikiem Rosyjskiej Wyprawy Antarktycznej (RAE), ten odwrócił się do mnie plecami. Lody udało się przełamać kilka miesięcy później, jednak na wyjazd do Oazy Bungeera było już za późno, gdyż lista uczestników kolejnej RAE została zamknięta w czerwcu 2017 roku.

Pod koniec 2017 roku zmieniło się kierownictwo AARI. Nawiązywanie nowych kontaktów zajęło rok z okładem. Wiosną 2019 roku Lewandowski spotkał się w Petersburgu z pięcioma dyrektorami różnych departamentów AARI. – Każdy z nich zadawał to samo pytanie:

„A po co wy chcecie tam wracać?”. Mówiłem im o nauce, a oni wciąż pytali o powód, dając mi do zrozumienia, że unikam odpowiedzi, a za sprawami naukowymi stoją inne przyczyny. To był dla mnie sygnał, że obecność w Oazie Bungeera jest ważna z wielu względów, w tym może być argumentem w polityce międzynarodowej. Jako strona konsultatywna Protokołu o ochronie środowiska (z 1991 roku) do Układu Antarktycznego Polska ma bowiem prawo po 2041 roku wysunąć roszczenia terytorialne względem Antarktydy, o ile będzie miała uzasadnione powody. Po długiej dyskusji zyskałem zgodę na wyjazd w ramach kolejnej RAE.

Droga do IV Wyprawy Geofizycznej do Oazy Bungeera – bo taką otrzymała oficjalną nazwę – miała jeszcze dwa ostre zakręty. Pierwszym była pandemia COVID-19, która wstrzymała wszelkie wyprawy antarktyczne w 2020 roku, a w kolejnym uniemożliwiła Polakom przelot do Kapsztadu, gdzie wsiedliby na pokład lodolamacza Akademik Fiodorow. Z uwagi na obostrzenia sanitarne musieli się zaokrętować w Europie, w porcie Bremerhaven, i całą drogę pokonać morzem, co trwało prawie miesiąc dłużej, niż wcześniej planowano. Drugi wiraż był z punktu widzenia profesora Lewandowskiego jeszcze istotniejszy. Przez lata starań był on wyłącznie organizatorem przedsięwzięcia i nie zakładał wyjazdu. Na dwa miesiące przed rozpoczęciem wyprawy musiał zostać jej uczestnikiem.

—
WE WRZEŚNIU 2021 roku sens całego przedsięwzięcia stanął pod znakiem zapytania. – To była ekspedycja skrojona na cztery osoby. Wszyscy poniżej pięćdziesiątki, uwikłani w mniejszym lub większym stopniu w sprawy rodzinne. W jednym przypadku opór okazał się zbyt silny. Rodzina zaprotestowała przeciwko wyjazdowi ojca w tak odległe miejsce. I ta osoba zrezygnowała. To postawiło nas w bardzo trudnej sytuacji. Każdy uczestnik miał przypisany określony zakres zadań, więc wyjazd trzyosobowy był poniżej granic efektywności – wspomina Lewandowski.

Trzeba było albo odwołać wyprawę, albo na gwałt znaleźć kogoś, kto w dwa miesiące nadrobi zaległości. – Przygotowywałem ten program dla innych. Zależało mi na postawieniu Dobrowolskiego na nogi, na ponownym zaistnieniu stacji w katalogach placówek antarktycznych. Przyszli członkowie ekspedycji jeździli na kursy, intensywnie się szkolili, ja siedziałem w biurze. Traktowałem tę wyprawę czysto teoretycznie. Ale jak przyszło co do czego, uznałem, że mimo wieku sobie poradzę.

Lista sprawunków przed wyjazdem badawczym na Antarktydę jest długa. Bez książeczki żeglarskiej (którą marynarze mogą wykorzystywać jako paszport)

Przez lata starań Lewandowski był wyłącznie organizatorem przedsięwzięcia i nie zakładał wyjazdu. Na dwa miesiące przed rozpoczęciem wyprawy musiał zostać jej uczestnikiem.

nie da się zamustrować na statku. Podczas tygodniowego szkolenia w Gdyni człowiek uczy się zasad bezpieczeństwa pracy na morzu i poznaje kwestie formalno-prawne związane z żeglowaniem po wodach międzynarodowych. Kandydata czeka też sprawdzian w komorze dymowej (labiryncie o ograniczonej widoczności), w której zwykle testuje się strażaków. Konieczne są skoki z wysokości 3 metrów do basenu, i to w ekwipunku ratowniczym, oraz nauka wdrapywania się na tratwę ratunkową z wody. Do tego szkolenia alpinistyczne i pierwszej pomocy medycznej. Na koniec trzeba jeszcze zrobić badania medycyny pracy w Wojсковym Instytucie Medycyny Lotniczej (WIML), podczas których należy się wykazać brakiem przeciwwskazań zdrowotnych. W przypadku Lewandowskiego liczył się przede wszystkim fakt, że mimo ponad siedemdziesięciu lat nie stanie się obciążeniem ani zagrożeniem dla innych uczestników wyprawy.

– Zaliczyłem wszystkie niezbędne kursy. W WIML-u przepuszczono mnie przez najróżniejsze skanery, ergometry, spirometry, włącznie z encefalografem i magnetycznym rezonansem głowy, bo w tym wieku mózg mógł się już trochę zestarzeć. Tydzień przed wypłynięciem dostałem zgodę na dołączenie do ekspedycji, zostając jej szefem. Obok mnie ekipę tworzyli: doktor Adam Nawrot, geomorfolog i hydrochemik z Instytutu Geofizyki PAN, profesorka Monika Kusiak, geochemiczka specjalizująca się w datowaniu skał metodami radioizotopowymi, oraz profesor Wojciech Miloch, fizyk plazmy i przestrzeni kosmicznej, obecnie zatrudniony na Wydziale Fizyki Uniwersytetu w Oslo. Cała trójka miała doświadczenie terenowe. Monika i Wojtek działali w Arktyce i Antarktyce, Adam był kierownikiem całorocznych wypraw na Spitsbergen. Rezerwowym członkiem wyprawy został doktor Daniel Dunkley, geolog z Australii, pracujący obecnie w Instytucie Geofizyki PAN.

Więcej chętnych na wyjazd Lewandowski nie znalazł.

—
DZIENNIK Z PODRÓŻY do Oazy Bungera, opatrzony tytułem *Między lodem a mgłą, czyli w siwym Nigdzie*, zaczyna się 10 listopada 2021 roku w niemieckim Bremerhaven. Podróż do Kapsztadu lodołamaczem Akademik Fiodorow trwa trzy tygodnie, które uczestnicy wyprawy spędzają na poznawaniu statku, ćwiczeniach fizycznych (dwa razy dziennie po czterdzieści pięć minut) i wypracowywaniu różnych rutyn. Wiezorami kierownik wyprawy wychodzi na pokład, by przyglądać się „świecącej, barionowej materii zawieszzonej w kosmicznym oceanie czegoś, co wygląda jak nic”.

Rozpoczęcie drugiego etapu podróży – z Afryki na południe – opóźnia sztorm. Kolejne dni znaczą alarm szalupowy i testy helikopterowe. W połowie grudnia

góry lodowe są już stałym elementem widoku. „Pękają na nasz widok, wyrzucając w powietrze fontanny wody”. Szesnastego grudnia Lewandowski notuje zdanie, które mogłoby posłużyć za ilustrację całego rejsu: „Życie na statku płynie jak on sam – leniwie i bez niespodzianek”. Spektakularne są jedynie sceny taranowania pokrywy lodowej. „Nie bacząc na opór, lodołamacz wbija się w kry jak młot Ajaksa, łamiąc, krusząc i bez pardonu wywracając je do góry nogami, wzbijając przy tym fontanny wody”.

Siedemnastego grudnia Akademik Fiodorow przystaje w Zatoce Prydza, gdzie opuszcza go część pasażerów. Czterdzieści osób w kilkudziesięciu wielkich ciągnikach stworzy konwój, który lada dzień wyruszy z ulokowanej nad morzem stacji Progress do położonej ponad 1,3 tysiąca kilometrów dalej i 3488 metrów nad poziomem morza stacji Wostok. W głębi interioru, w sąsiedztwie bieguna geomagnetycznego, spędzą najbliższy rok. Lodołamacz tymczasem okrąża kontynent. Kolejny cel to wody w sąsiedztwie stacji Mirnyj, skąd jeszcze kilkaset kilometrów żeglugi i polscy badacze polecą helikopterami ze statku do Oazy Bungera. Ostatnie dni na pokładzie mijają na sprzątanii i podsumowaniach. Lewandowski wylicza, że czteroosobowy zespół wypił w podróży 88 litrów kompotu z suszonych śliwek. Zaczyna się antarktyczne lato: temperatura powietrza rośnie do 1 stopnia Celsjusza na plusie.

„Halo, IGF [Instytut Geofizyki – przyp. A.R.], halo, IGF! Orły wylądowały na planecie Antarktyda!” – notuje 29 grudnia przy okazji gościnnej wizyty w stacji Mirnyj. Wyjściu ze śmigłowca towarzyszy podniosła atmosfera. W końcu to jeden krok dla człowieka, a skok dla całego narodu. „Postawiłem pierwszą stopę, potem drugą. I nic. Szybko przeprowadzam pierwszy eksperyment geofizyczny – podskoczyłem (...) i zmierzyłem czas swobodnego spadania. Spadłem na grunt w tym samym czasie co zawsze. Wnoszę z tego, że w miejscu, gdzie jestem, przyspieszenie siły ciężkości jest takie samo jak na Ziemi, co mnie zaskakuje, bo krajobraz jest nieziemski”.

Sylwestra świętują z powrotem na pokładzie lodołamacza, odkorkowując szampany dla kolejnych stref czasowych: Władywostoku, Mirnego, Moskwy, Warszawy. Trzeciego stycznia pada komenda: „Bądźcie gotowi, wkrótce Oaza”. Ale kilka kolejnych dni to szalejący huragan, który opóźnia rozładunek.

Wreszcie 7 stycznia z głośników słychać komunikaty o przygotowaniach do lotów. Kilkunastu mężczyzn siłą własnych mięśni przetacza dwa helikoptery na stanowiska startowe. Lewandowski i Nawrot obserwują, jak maszyna z piętnastoma osobami na pokładzie i podwieszonym pod kadłubem kontenerem startuje i leci w kierunku lądu. Cały czas wydaje się, że zniża lot, co Lewandowski przypisuje złudzeniu optycznemu, gdyż

Sylwestra świętują na pokładzie lodołamacza, odkorkowując szampany dla kolejnych stref czasowych: Władywostoku, Mirnego, Moskwy, Warszawy.



Śmigłowiec Mi-2, z którego w styczniu i lutym 1979 roku korzystali uczestnicy wyprawy do Oazy Bungera. Dziś stoi na parkingu przed Muzeum Badań Polarnych w Puławach.

horyzont spowija mgła. Wkrótce staje się jednak oczywiste, że kontener zmierza do zderzenia z lodem. Po chwili kilkakrotnie odbija się od jego powierzchni, choć nadal połączony jest liną ze śmigłowcem, którym zaczyna bujać. Na szczęście pilot zachowuje zimną krew i zanim dojdzie do katastrofy, odpina mocowanie lin kontenera. Ładunek z impetem uderza w lód. Helikopter ląduje obok kontenera, mechanik ponownie podpina linę i wracają na lodołamacz, z przerażonymi pasażerami na pokładzie i mamałygą z jaj i pomidorów znajdujących się w kontenerze.

Tego dnia loty zostały odwołane. Odbędą się dopiero następnego dnia, już bez efektów specjalnych i z Polakami na pokładzie.

– W opisie wypraw polarnych dominują aspekty dramatyczne – w warszawskim gabinecie naukowców wspomina tamte chwile. – Wysuwają się na pierwszy plan, domaga się ich publiczność. Tymczasem jedynym etapem naszej podróży, który nazwałbym ryzykownym, były loty helikopterem. I nie były to obawy związane z jakością rosyjskiego sprzętu, tylko z nieprzewidywalną pogodą. Ona potrafi, szczególnie w strefie brzegowej, być bardzo surowa. Z lodołamacza do stacji Dobrowolskiego lecieliśmy nad lodowcem Shackletona czterdzieści trzy minuty. To były dla mnie bardzo długie czterdzieści trzy minuty.

„Lądujemy. Jest słonecznie, ale wietrznie i zimno. Poza tym kamieniście i bezwonnienie. Wokół czoła lodowców, tuż obok zamrożonego jezioro. Tak wyglądał Mars,

kiedy jeszcze była na nim woda” – notuje badacz. Zaraz potem, gdy śmigłowiec odlatuje, a czworo Polaków zostaje samych, dodaje przyziemnie: „Ja tu sobie gadu, gadu, a robota czeka”.

— GEOLOGIA TO KRÓLOWA NAUK – profesor Marek Lewandowski wypowiada to zdanie z pewnością zarezerwowaną dla mówienia o dogmatach. – To w pełni interdyscyplinarna nauka o Ziemi, a Ziemia jest najważniejszym obiektem we Wszechświecie. Możemy się zachwycać pięknymi galaktykami lub mgławicami gazowymi, ale to obiekty, które często już nie istnieją, bo im dalej sięga się wzrokiem, tym bardziej oddalamy się w czasie. A Ziemia jest tu i teraz, istnieje pod naszymi nogami. Jest naszym punktem odniesienia, zawsze i wszędzie. Poznanie jej jest więc konieczne, by potem wyrobić sobie właściwą perspektywę do badań we wszelkich innych dziedzinach. A Oaza Bungera jest dla nas wymarzoną oknem na naszą planetę.

Antropogeniczna cisza, która panuje w Oazie, pozwala badać fale sejsmiczne dochodzące z najróżniejszych części globu. Bliskość pola magnetycznego planety – do aktualnego południowego bieguna magnetycznego jest obecnie około półtora tysiąca kilometrów – umożliwia jego łatwą obserwację i późniejsze wyciąganie wniosków na temat procesów zachodzących w jądrze Ziemi.

– Dla kogoś, kto całe dorosłe życie spędził z geologią, pobyt w takim miejscu jest doznaniem wyjątkowym – mówi badacz. – Antarktyda to jedno z nielicznych już naturalnych środowisk. W sąsiedztwie stacji Dobrowolskiego panują warunki jak w północnej Europie po ostatnim zlodowaceniu, kilkanaście tysięcy lat temu, gdy lądolód dopiero ustępował. Na własne oczy możemy zobaczyć stan wyjściowy. Moment zero, po którym w to miejsce wkroczyły flora i fauna.

Z drugiej strony, jak mówi profesor, Oazę Bungere możemy traktować również jako ilustrację całej Ziemi sprzed pół miliarda lat. To koniec prekambriu, początki formowania się kontynentów, jakie znamy dziś, i wzrost koncentracji tlenu w atmosferze. Planeta nie nadaje się jeszcze do zamieszkania przez złożone organizmy wielokomórkowe. Jest na razie wielką śnieżką zawieszoną w czerni kosmosu i dopiero zaczyna rodzić organizmy szkieletowe w oceanach. Na lądach próżno szukać śladów życia.

Dobrze to sobie jeszcze raz powtórzyć: po pierwsze, wyprawa na Marsa, po drugie, podróż w czasie: Ziemia w końcu prekambriu, Europa dzień po ostatnim zlodowaceniu. Ale to nie koniec. Rozmowa o Antarktydzie to również patrzenie w daleką przyszłość. – To może zabrzmi zaskakująco, ale na forach naukowych, na przykład na zeszłorocznym Sympozjum Polarnym w Sopocie, coraz częściej dyskutujemy o obszarach okołobiegunowych jako ostatnich refugiach *Homo sapiens*. Miejscach, w których nasz gatunek ma szansę przetrwać w erze globalnego ocieplenia.

Geologiczna skala czasu zestawiona z danymi paleośrodowiskowymi mówią nam jednoznacznie: przez większość swojego istnienia Ziemia była niegościnną planetą. Taką, na której człowiek nie mógłby żyć. Niemal zawsze było na niej zbyt gorąco, nie mówiąc już o nieprzychylnym ciśnieniu atmosferycznym. Gdy powstawała, wynosiło ono około 60 barów, podobnie do obecnie panującego na planecie Wenus. Dziś na Ziemi ciśnienie atmosferyczne oscyluje wokół jednego bara. I wystarczy, że wahnienie się o kilkanaście hektopaskali (bar to tysiąc hektopaskali), by telewizyjne prognozy pogody ostrzegały przed negatywnym wpływem warunków biometeorologicznych.

– Jesteśmy uwiązani do procesów chemicznych i fizycznych, a rosnąca temperatura drastycznie zmniejsza dynamikę reakcji enzymatycznych zachodzących w środowisku wodnym. Nasze organizmy, złożone w 70 procentach z wody, pracują najwydajniej w temperaturze 36,6 stopni Celsjusza. Patrząc dalekosięźnie, nie unikniemy losu migrantów. Ziemia będzie się ogrzewać, a okolice biegunów staną się jedynymi obszarami o umiarkowanym klimacie. Tak już było w przeszłości, a powrót do niej to tylko kwestia czasu. Tam, gdzie da

się zasiedlić Antarktydę, już to robimy, budując stacje badawcze i wytyczając szlaki. Z biegiem czasu ten kontynent całkowicie nam ulegnie, o ile nasza cywilizacja przetrwa kolejne tysiąclecia.

Na szczęście o Oazie Bungere można też mówić, sięgając po o wiele bardziej przyziemne kategorie. Choćby znajome toponimy: Beskid, Giewont (na mapie topograficznej z 1985 roku ma oznaczoną wysokość 89,5 metra nad poziomem morza), Wzgórza Centkiewiczów, Dolina Manczarskiego czy Zatoka Polskich Geodetów. Dwa najważniejsze z nich to Warszawa i Kraków. Tak nazywają się poradzieckie budynki, w których mieści się całe zaplecze stacji. Wtedy, w styczniu 2022 roku, za ich drzwiami rozpościerała się „pocięta na puzzle panorama PRL i ZSRR końca lat 60. i 70.”. Na stole Lewandowski znalazł kilka zmokłych gazet ze schyłku 1978 roku, zostawionych tam przez jego poprzedników.

Jako kierownik wyprawy profesor wyznaczył sobie, oprócz odpowiedzialności za eksperymenty sejsmiczne i geomagnetyczne, rolę kucharza. Jego *spécialité de la maison* to jajka sadzone na pomidorach i fasoli z boczkiem i cebulą, posypane parmezanem. Członkowie wyprawy jedzą, by mieć siłę do roboty. Myślenie twórcze ogranicza się do rewitalizacji stacji Dobrowolskiego. Potem w grę wchodzi już tylko siła rąk uzbrojonych w kilofy, łopaty, łomy, młoty pneumatyczne, piły tarczowe, wiertarki i szlifierki. Wyrzucone ze skrzyń przez nieznaną sprawcę części do helikoptera wmarzły w grubą lod, który trzeba skuwać cienkimi warstwami, by niczego nie zniszczyć. Dla relaksu można rozstawić aparaturę pomiarową i przynieść kilka wiader wody z odległego o 100 metrów jeziora. Można też z użyciem szlifierki otwierać metalowe puszki sprzed kilkudziesięciu lat i oddzielać biomasę od opakowania. Śmieci muszą być wszakże posortowane, zgodnie z obowiązującymi dziś przepisami. Uczestnicy wyprawy nie znaleźli jedzenia w opakowaniach z plastiku. Tylko szkło i metal, także rozdrobione i rozsypane po okolicy.

Trzydzieści sześć dni i 361 kilogramów śmieci później stacja ma na powrót działające ogrzewanie, prąd, węzeł sanitarny, łączność z internetem i nieduże laboratorium. Wodę trzeba jednak nadal nosić wiadrami z jeziora (chyba że kolejna ekspedycja przywiezie motopompę i stumetrowy wąż ogrodowy). Aparatura do monitorowania dynamiki zmian w jonosferze, fal sejsmicznych, parametrów pola magnetycznego, a także do zbierania danych meteorologicznych działała sprawnie, choć wszystkie przyrządy pomiarowe na polecenie dyirekcji Instytutu muszą wrócić do Polski.

Na maszcie nad Warszawą – tą antarktyczną – oraz Krakowem powiewa biało-czerwona flaga. Podczas uroczystości jej podniesienia 23 stycznia 2022 roku rozbrzmiewa Mazurek Dąbrowskiego. Hymnowi towarzyszą



dwa krótkie i jedno długie „Hurra”, które inicjują goście z rosyjskiej stacji Oazis 2. Lewandowski wyjaśnia: – Polarnym zwyczajem obsady stacji zapraszają się nawzajem i nie odmawiają sobie pomocy, szczególnie w sytuacjach krytycznych. Pobyty gości uświetniane są wywieszaniem ich flagi narodowej na maszcie stacji przyjmującej. Polska flaga zawisła w bazie rosyjskiej niemal następnego dnia po naszym lądowaniu. Flaga rosyjska zawisła przy polskiej w chwilę po podniesieniu naszej.

—
DOJECHAĆ I WRÓCIĆ. To były dwa podstawowe cele, które przyświecały mi przez cały czas. Czuję odpowiedzialność za ekspedycję. Tymczasem bezpiecznie wróciliśmy dzięki komuś, kto w piątek wieczorem przewidział, że w poniedziałek rano pogoda się załame – mówi Lewandowski. Jak pisze w swoim dzienniku, „trafić na Antarktydzie z prognozą pogody z wyprzedzeniem dwóch dni to przypadek pijanego kowboja, który trafia z rewolweru w jaskółkę we mgle”.

W sobotę 12 lutego Polacy dowiedzieli się, że muszą zwinąć się dzień wcześniej, niż planowali. To oznacza kilka godzin na spakowanie kontenerów, zabezpieczenie pozostawianego sprzętu i ostatnie spojrzenie na krajobraz obcej planety. Cztery loty śmigłowca później członkowie ekspedycji i ich 4,5 tony bagażu są już z powrotem na Akademiku Fiodorowie. Przed nimi parę tygodni rejsu, który po kilkutygodniowej izolacji na krańcu świata zakończy w Kapsztadzie. Stąd samolotem polecą do Polski.

Tak mogłaby się zakończyć relacja z IV Wyprawy Geofizycznej do Oazy Bungera, gdyby nie wydarzenia z drugiej połowy lutego. Dzień jak co dzień, uczestnicy w drodze na północ zatrzymują się w stacji Progress. Żeby wyjść na parę godzin w teren, muszą się zarejestrować. Stołówka pełna jest ludzi, wszyscy z uwagą patrzą na ekran telewizora, na którym widać twarz Władimira Putina. Polacy specjalnie się nim nie przejmują. Są przecież zaaferowani jeszcze jednym kontaktem z Antarktydą.

– Za to gdy po południu wróciliśmy, od razu się dowiedzieliśmy, że Rosja z całą mocą najechała Ukrainę. Sytuacja była, delikatnie mówiąc, kłopotliwa. W takich chwilach głowa dopowiada różne scenariusze. Skoro Polska jest sojusznikiem Ukrainy, a my jesteśmy na rosyjskim statku, to może zostaniemy internowani? A co z Ukraińcami, którzy na nim pracują? Co będzie, gdy dopłyniemy do Kapsztadu? Czy puszczą nas do samolotu? Brałem pod uwagę nawet to, że gdy dopłyniemy do wybrzeża Afryki, będziemy skakać za burtę. Przecież by do nas chyba nie strzelali? Tymczasem od dnia wybuchu pełnoskalowej wojny Rosjanie bardziej o nas dbali, jakby chcieli udowodnić, że mimo tego, co się dzieje dookoła,

nie spadnie nam włos z głowy. Pytali, czy ktoś nas zaczepiał albo obrażał. A takich przypadków nie było.

Lodołamacz był wypchany po brzegi ludźmi, bo w stacji Progress na pokład wsiadło około stu osób, które przez ostatni rok naprawiały stację Wostok, a teraz miały wrócić do domu. W większości młodzi, sprawni mężczyźni, zbijali się w grupki i zażarcie dyskutowali o wojsku, mobilizacji, powołaniach. Byli przestraszeni, bali się wysłania na front. Atmosfera stała się nerwowa, jednak jak podkreśla Lewandowski, wszystkie rozmowy milkły, gdy w pobliżu znajdowali się Polacy. Panikowali tylko Ukraińcy, których kontrakty na statku kończyły się wraz z przybiciem do portu w Petersburgu. Naukowiec wspomina ich rozgorączkowane wizyty w swojej kajucie, błagalne prośby o radę. W ich głosach słychać było rozpaczliwą bezradność. – A ja nie miałem żadnej wiedzy, która mogłaby im pomóc. Żadnego pomysłu. I dziś nie wiem, co się z nimi stało.

Czternastego marca, gdy statek stoi już w kapsztadzkim porcie, czekając na rozładunek, Lewandowski notuje: „Wybrałem się na obcą planetę, przez sześć tygodni mieszkałem na kamiennej pustyni w surrealistycznym baraku, w wibrującym towarzystwie trójki zwariowanych polarników, przetrwałem i wróciłem. Jestem żywym dowodem na to, że nawet w wieku siedemdziesięciu pięciu lat człowiek jednak może, choćby wyciągnięty w ostatniej chwili z wygodnego fotela przed telewizorem”.

—
POJAWIAJĄ SIĘ, OCZYWIŚCIE, pytania o powrót do Oazy. Wizja zautomatyzowanej stacji Dobrowolskiego przewiduje okresowy nadzór i konserwację. Urządzenia trzeba serwisować. Upewnić się, czy wszystko działa. Wymienić akumulatory. W przeciwnym wypadku dane prędzej czy później przestaną spływać. Barwna opowieść z krańca świata działa na wyobraźnię naśladowców. – Dostałem od jednej z redakcji telewizyjnych taki mail: „Prosimy o poinformowanie, kiedy odbędzie się następna wyprawa, bo chcemy z naszej strony wysłać na nią pięć osób”. To jest śmieszne. To tak, jakbyśmy byli biurem podróży. Bo żeby pojechać na taką ekspedycję, trzeba ją sobie najpierw zorganizować. A do tej pracy chętnych nie ma.

Należy wykonać setki telefonów i wysłać tysiące maili. Zgłębiać się w szczegóły zamówień publicznych, przyswajać kwestie bezpieczeństwa i higieny pracy. Poznać instrumentarium, wgrzyźć się w technika. Umieć naprawić to i owo. Zaplanować żywność, wyposażenie, przygotować plany akcji ratunkowej. Zaprojektować schemat instalacji elektrycznej, obsłużyć generatory prądu i zorganizować paliwo. Przejść badania lekarskie, zaliczyć kursy bezpieczeństwa i higieny pracy i otrzymać książeczkę żeglarską. Przyjąć program naukowy, dobrać

*Dopóki Polska
nie doczeka
się własnego
lodołamacza,
dopóty
w badaniach
kontynentalnej
Antarktydy
odgrywać
będzie
tylko rolę
obserwatora.*



Polska Stacja Antarktyczna im. Antoniego Dobrowolskiego (na dole)
oraz rosyjska Oazis 2 (powyżej) w czasie antarktycznego lata 2022 roku.

skład ekipy wyjazdowej. Koszt całego przedsięwzięcia (dziś zapewne około 2 miliony złotych za cztery osoby) wydaje się przy tym sprawą drugorzędną.

– Każdy, kto chce tam przeżyć dłużej niż tydzień, bo w stacji zostawiliśmy paliwo na tydzień, będzie musiał je kupić od Rosjan. Dla nas to nie było problemem, kupiliśmy sześć beczek i mieliśmy z nimi regularne kontakty. Raz w tygodniu udostępniali nam swoją saunę. Okutany w dres, sweter i kurtkę spacerowałem do ich stacji, żeby z niej skorzystać, a potem zostawałem na zupę i herbatę. Dwa razy pożyczali motopompę, abyśmy nie targali wody w wiadrach. Teraz też utrzymujemy nieoficjalne kontakty naukowe. Zresztą pytali nas już, czy w tym roku chcemy z nimi płynąć do Oazy. A ja na to, że przecież my nie powinniśmy z nimi nawet rozmawiać, a co dopiero cokolwiek organizować.

W obliczu zamrożenia oficjalnych kontaktów naukowych między Polską a Rosją wiele spraw organizacyjnych trzeba zacząć od nowa. Dopóki Polska nie doczeka się własnego lodołamacza, dopóty w badaniach kontynentalnej Antarktydy odgrywać będzie tylko rolę obserwatora, proszącego o wsparcie logistyczne i uzależnionego od woli głównych polarnych graczy. Szansą dla stacji Dobrowolskiego mogłaby być współpraca z Australijczykami. Ich lodołamacz Nuyina już działa i choć stacja Edgeworth David znajduje się kilka kilometrów dalej niż rosyjska, organizacja takiego przedsięwzięcia wydaje się realna. Ale – jak podkreśla jeszcze raz Lewandowski – na razie nie ma chętnych po naszej stronie, żeby się wziąć na poważnie za jego organizację.

W LUTYM 2024 roku Muzeum Badań Polarnych w Puławach zostało oficjalnie otwarte. W czasie uroczystości profesor Marek Lewandowski wręczył dyrektorowi, doktorowi Piotrowi Kondraciukowi, młotek znaleziony w stacji Dobrowolskiego, by służył jako berło do rządzenia muzeum. Pozostałe artefakty z Antarktydy pojawiają się tu wkrótce. Wśród eksponatów są pamiątki z wielu dekad badań Spitsbergenu, skuter śnieżny i trochę wypchanych zwierząt z reniferem na czele. Ale jest też prawdziwy cymes: makietę stacji Dobrowolskiego, którą w ramach pracy doktorskiej przygotował doktor Jakub Wawrzak z Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Warszawa i Kraków, dwa kontenery, i pojazd gąsienicowy, do tego parę ludzików majstrujących w monotonnym krajobrazie. Dookoła przymyślane z istic marsjańskich kamieni.

Że to wszystko jest tak naprawdę tu i teraz, uświadamia zupełnie inny eksponat. Parking przed muzeum jest zaśnieżony, więc pomarańczowy lakier, którym pokryto śmigłowiec Mi-2, zdaje się krzyczeć wniebogłosy: „Tu jestem!”. Jedna z czterech wyprodukowanych

w Świdniku maszyn zakupionych przez Polską Akademię Nauk, z których dwie w 1978 roku popłynęły na Antarktydę, przy czym tylko jedna – uziemiony dziś w Puławach Jan – sprawdził się wtedy w terenie. Między 3 stycznia a 21 lutego 1979 roku latał wokół Oazy Bungere na potrzeby badaczy ze stacji Dobrowolskiego. Po pospiesznej ewakuacji na długie lata zagubił się na parkingu w Mielcu. Żeby go złożyć do kupy, gdy w końcu odnalazł go polarnik, doktor Piotr Łepkowski z Sosnowca, trzeba było ekspedycji z przełomu 2021 i 2022 roku: 150 kilogramów części Jana trafiło do Polski razem z bagażem wyprawy profesora Marka Lewandowskiego. To jakieś 5 procent całości maszyny – jak żartował geofizyk w swoim dzienniku.

On tam już nie wróci. Z początkiem 2024 roku zaliczył w Egipcie kurs nurkowy. Strefę polarną zamienił na zwrotnikową, planuje zająć się ratowaniem raf koralowych. Jego następcy – ktokolwiek i kiedykolwiek nimi zostanie – też będą mogli się wykazać. Notatki naukowca wieńczy *postscriptum*: „Na wyspie Miles (Oaza Bungere, Antarktyda Wschodnia) posiałem pamiątkową, wehniałą czapkę w kolorze lekko rozjaśnionej czerni z kilkoma śnieżnymi szlaczkami i napisem «Svalbard». Uczciwego znalazcę proszę o zwrot”.

Weryfikację faktów w „Piśmie” wspiera EMIF, prowadzony przez Fundację im. Calouste’a Gulbenkiana. Fact-checking in „Pismo” is supported by EMIF, managed by Calouste Gulbenkian Foundation.

The sole responsibility for any content supported by the European Media and Information Fund lies with the author(s) and it may not necessarily reflect the positions of the EMIF and the Fund Partners, the Calouste Gulbenkian Foundation and the European University Institute.

European | **MEDIA AND INFORMATION** Fund

Managed by
Calouste Gulbenkian Foundation



Więcej materiałów o ciekawych postaciach przeczytasz lub wysłuchasz na magazynpismo.pl/z-pismem-u



Jednoosobowa niebieska strefa

tekst JULIA LACHOWICZ-NOWIŃSKA

—
PODRÓŻNICZKA, DZIENNIKARKA PRASOWA i telewizyjna, pisarka, sinolożka i krytyczka sztuki, artystka, fotografka i kolekcjonerka. Gdy pytam Elżbietę Dzikowską, jak ją najlepiej przedstawić w tekście, mówi: Jestem człowiekiem. A jakby miała pani więcej miejsca, to można dodać, że takim, który kocha życie.

Pierwsza podróż Józefy Elżbiety Górskiej trwała kilka godzin, a ona miała niecałe trzy lata. Podróżowała na ramionach Zygmunta Górskiego, nauczyciela. – Silne ramiona taty dawały bezpieczne wsparcie, mróz szczypał w poliki. Może też szłam trochę na własnych nogach, ale tego nie pamiętam dokładnie – próbuje odtworzyć ten moment. Szli dwanaście kilometrów przez lasy i pola, które wcześniej wydawały się niedostępne i odległe małej dziewczynce. Uciekali z Międzyrzecza Podlaskiego do wsi Żerocin; druga wojna światowa trwała w najlepszym. Musieli się chronić przed okupantami. Dzikowska opowiada mi, że celem tej podróży był dom dziadka Józefa Górskiego. – Był dość zamożny, miał kilka hektarów. Pamiętam piękną gruszę, która rosła przed jego domem.

To na cześć dziadka dostała imię, którego nigdy nie będzie używała. – Na cześć dziadka i Piłsudskiego – śmieje się. – Józia to

beznadziejne imię. Moi przyjaciele przypominają sobie o nim tylko raz do roku w moje imieniny. Od zawsze wszyscy wołali na mnie Elżbieta. Po prababce.

Zastanawia się, czy pierwsze podróże to nie były jednak wycieczki z wujkiem po okolicznych lasach. Razem chodzili na grzyby. Uwielbiała zapach lasu, szumiące drzewa, śpiew ptaków. – W tamtych czasach marzyłam, by w przyszłości zostać gajową.

Tata Elżbiety działał jako łącznik w Armii Krajowej. – Niemcy szukali go i przychodzili do nas do domu, często w nocy. Byłam mała, a oni stawali nade mną i świecili mi w oczy podczas przeszukiwania. Od tego czasu cierpię na bezsenność. Niestety, pewnego dnia ktoś tatę wydał. Tym razem przyszli i go zabrali. – Ojciec zniknął z domu, gdy Elżbieta miała sześć lat. Trafił do więzienia w zamku w Lublinie. Za pracę w podziemiu dostał karę śmierci. Matka z córką o tym nie wiedziały. Czeakały, licząc, że wróci.

On sam 22 maja 1944 roku próbował uciec z pola minowego – wywoziło się tam więźniów przed wykonaniem wyroku, zmuszając ich do rozminowywania. Nie udało mu się, został rozstrzelany. O jego śmierci Elżbieta i jej mama dowiedziały się kilka tygodni później. Opowiadając po latach tę scenę Romanowi Warszawskiemu w książce *Dzikowska. Pierwsza biografia legendarnej podróżniczki*, mówiła o rozpaczach mamy i tym, jak nie mieściło jej się w głowie, że już nigdy nie zobaczy tatusia.

W wieku piętnastu lat, w 1952 roku, Elżbieta trafiła do tego samego zamku w Lublinie. Po wojnie wciąż służył za więzienie. – Wtrącono mnie tam za działanie w grupie opozycyjnej Związku Ewolucjonistów Wolności (ZEW) – opowiada mi. Grupa zajmowała się głównie roznoszeniem ulotek antykomunistycznych i pisanem haseł na murach. Tym razem chodziło o większą rzecz. Elżbieta była najmłodsza w grupie oskarżonych o działania antykomunistyczne i próbę wykoślenia pociągu „Mitropa” relacji Moskwa–Berlin, którym jechali dyplomaci i oficerowie radzieccy. – Uczestniczyłam w przygotowaniach do wykoślenia tego pociągu, ale nie brałam udziału w samej akcji. Byłam wtedy u mojej cioci na wsi – tłumaczy Dzikowska. Akcja nie udała się: skład nieco się zachwiał, a potem pojechał dalej.



Ale komuniści nie odpuścili, osoby związane z grupą trafiły do więzienia. W tym Elżbieta. Było zimno i wilgotno. Podczas nielicznych momentów, kiedy mogła wyjść na zewnątrz i zaczerpnąć świeżego powietrza, myślała o ojcu. – Zastanawiałam się, czy miałam z celi taki sam widok jak tata. I czy też podobą mu się romańska wieża, którą było widać z dziedzińca, gdy wyprowadzano nas na krótkie spacer.

Roman Warszewski pisze, że przez warunki panujące w więzieniu Elżbieta nabiła się gruźlicy płuc, a potem kręgosłupa. Znowu nie spała. Często przeszukiwano ją w nocy, ale nic nie powiedziała. Po pół roku nieudanych prób dzięki amnestii wyszła na wolność mocniejsza niż kiedykolwiek wcześniej. Postanowiła wyjechać z Międzyrzecz. – Chciałam skończyć jak najszybciej liceum i pójść na studia. Zacząć żyć pełnią życia. Odkrywać świat. Zaspokajać ciekawość.

Wiedza miała stać się jej orężem, dzięki któremu będzie mogła dobrze ten świat zrozumieć i opowiadać o nim innym. Maturę zdała w wieku szesnastu lat na same piątki (z wyjątkiem nauki o konstytucji, co było karą za działalność opozycyjną). Wiedziała, że będzie mieć problem z dostaniem się na studia z powodu działalności politycznej. Marzyła jej się archeologia, myślała o historii sztuki. Wybrała jednak sinologię na orientalistyce, bo ta nie była na celowniku władz. – Mama i babcia nie wiedziały, co to w ogóle jest. Ale ja się uparłam – wspomina Dzikowska. Kierunek był mało popularny: przyjmowano kilkoro studentów, a rekrutacja odbywała się raz na dwa lata. – Dzięki temu władzom wydawało się, że nie ma zagrożenia dla systemu – wyjaśnia. – Moja pierwsza aplikacja została odrzucona. Ale byłam bardzo dzielna: pojechałam sama do Warszawy, aby przekonać komisję odwoławczą, żeby dała mi we wrześniu jeszcze jedną szansę. To była moja pierwsza samodzielna wyprawa. Wszystko mi się podobało, poczułam, że świat stoi przede mną otworem.

Uporem i determinacją przekonała komisję do pozytywnej decyzji i od października zaczęła studiować język i kulturę Chin na Uniwersytecie Warszawskim.

Postanowienia o niemarnowaniu życia Elżbieta Dzikowska trzyma się do dziś. – Zawsze, gdy obserwowałam, jak działa,

fascynowało mnie, jak bardzo intencjonalne są jej wybory – mówi Mirosław Wlekły, reporter, autor biografii Tony’ego Halika (wieloletniego partnera Dzikowskiej) *Tu byłem. Tony Halik*. – Jak czyta książkę, to konkretną, która jest jej do czegoś potrzebna. Może ją czegoś nauczy, może przyda jej się do artykułu, nad którym właśnie pracuje. Jak z kimś rozmawia, to po coś. Jak ogląda telewizję, to tylko wybrany program. Przyjeżdżałam do jej domu przez dwa lata, by zbierać materiał do książki, i zawsze wyjeżdżałam z poczuciem, że nie traci nawet minuty z życia. Inspirowało mnie to, żeby nie narzekać i też skupiać się na tym, co ważne.

Martyna Wojciechowska, podróżniczka, dziennikarka i przyjaciółka, do Elżbiety Dzikowskiej mówi „mamo” (Dzikowska zaznacza, że jest jej mamą podróżniczą), sama nazywana jest przez nią „córeczką” (własnych dzieci nigdy nie miała i twierdzi, że przedłużeniem jej życia są napisane przez nią książki oraz zrobione zdjęcia i filmy).



– Gdy zaczęła się pandemia, zadzwoniła do mnie Elżbieta i rozmawiałyśmy o tym, co będziemy robić, skoro nie możemy podróżować. Elżbieta miała już pomysł na siebie: pisanie książek. Pomyślałam, że ja też wezmę się za swoją. I jak to z Elżbietą bywa, podczas gdy ja ciągle rozmyślałam o moim pisaniu, ona wysłała już dwie czy trzy pozycje do druku. A kolejne czekały. Zawstydzila mnie i zmotywowała. W końcu stwierdziłam, że muszę skończyć moją książkę, *Co chcesz powiedzieć światu*. Gdyby nie Elżbieta, nie napisałabym jej – śmieje się Martyna Wojciechowska.

Michał Cessanis, podróżnik i dziennikarz, przyjaźni się z Dzikowską od dobrych kilku lat. Pierwszy raz spotkał ją podczas rozdania podróżniczych nagród Travelery w 2016 roku. Pamięta, jak ogromne wrażenie wywarło na nim to spotkanie i jej piękny, okazały rozmiarów pierścień na dwa palce. – To była czysta, pozytywna energia – wspomina. Teraz jest stałym bywalcem w jej domu. Mówi, że czasem, gdy rozsiada się u niej w fotelu, w salonie w Międzylesiu, by odpocząć i pogadać, ona nagle wskakuje na rower treningowy, który stoi na środku pokoju, żeby się rozruszać. – Fascynuje mnie, że nawet przekąski są u niej celowe. Zawsze, gdy ją odwiedzam, na stole leżą rzeczy do pochrupiania: migdały, orzechy, żurawina. Zdrowe. Na oczy. Nie ma przy padkowości.

— NA STUDIACH SINOLOGIA bardzo Dzikowską interesuje. Po drugim roku aplikuje na dwuletnie stypendium do Chin, jednak nie otrzymuje paszportu. Czeką dwa lata i próbuje jeszcze raz. Po czwartym roku studiów, podczas których Elżbieta daje z siebie wszystko, dostaje wreszcie paszport i możliwość sześciotygodniowego wyjazdu do Chin w ramach wymiany studenckiej. Był rok 1957. To jej pierwsza podróż za granicę i pierwsza (a zarazem ostatnia) podróż poślubna. Odbyla ją sama, bo jej świeżo poślubiony mąż Andrzej Dzikowski pojechał na wieś, na obozowe brygady żywności.

– Pytała pani męża o zgodę na ten wyjazd?

– Do głowy mi nie przyszło, żeby go pytać. Zawsze robiłam to, na co miałam ochotę i co było dla mnie ważne. Sama decyduję o swoim życiu.

Do Chin poleciała Tupolewem Tu-104. Podróż przez rosyjski Nowosybirsk trwała dwa dni. To wtedy odkryła, że nienawidzi turbulencji.

– Nienawidzę turbulencji i chamstwa – potwierdza. Gdy dopytuję, o co chodzi z tym chamstwem, ucina: – A kto lubi chamstwo? Pani by chyba też nie lubiła?

„Prawda – pomyślałam – nie lubię”. W czasie naszych rozmów ta prostota wiele razy daje mi do myślenia. Inspiruje. Elżbieta Dzikowska nie doszukuje się drugiego dna.

– Chciałam poznawać świat, więc korzystałam z nadarzających się okazji, żeby go zwiedzać – tłumaczy.

W Chinach wszystko było dla niej nowe, ciekawe, intrygujące. Choć zdawała sobie sprawę z tego, że nie poznaje ich swobodnie, bo to, ile mogą zobaczyć studenci, kontrolowane jest przez Chińską Partię Ludową. – Pamiętam, że po przybyciu do Szanghaju w środku nocy zastaliśmy czekającą na nas chińską delegację partyjną. Witali nas, śpiewali nam, ale i kontrolowali, co i jak widzimy. Nie mieliśmy do końca swobodnego kontaktu z Chińczykami, za to mogliśmy obcować z architekturą i sztuką.

Najbardziej podobało jej się Hangzhou. – Jest położone nad jeziorem, stara architektura pięknie odbija się w tafli wody. To miasto mocno związane ze sztuką, która jest dla mnie szalenie ważna.

Sylvii Rost-Laskowskiej z portalu WP Kobieta powiedziała, że w trakcie pobytu w Chinach codziennie na szafce nocnej znajdowała paczkę papierosów i niesłodzoną herbatę. Nauczyła się tam palić (ale dawno rzuciła) i pić herbatę bez cukru (taką lubi do dziś).

Rok po napisaniu pracy magisterskiej zaczęła się rozglądać za pracą. Wcześniej utrzymywała się ze stypendiów naukowych, ale po obronie pieniądze przestały napływać (choć i tak były niewielkie). Zatrudniła się w bibliotece jako pomoc do ścierania kurzu. – Na szczęście książki mogłam czytać ciekawe.

Jako animatorka w parku kultury na Powiślu. – Uczyłam dzieci malować, choć sama nie bardzo to potrafię.

Jako sprzedawczyni ługu sodowego w Centrali Handlu Zagranicznego CIECH. – Myślałam, że będą handlować z Chinami i przyda mi się język, ale okazało się, że handel odbywał się z Argentyną. Do dziś nie wiem, co to ług sodowy [wodorotlenek sodu – silnie żrący związek chemiczny, wykorzystywany niemal we wszystkich gałęziach przemysłu – przyp. J.L.-N.]

Jako odźwiernia. – W klubie Maraton Stowarzyszenia PAX. To była najgorsza praca.

Aż wreszcie została dziennikarką w nowo powstałym miesięczniku „Chiny”. Tę pracę dzieliła ze studiami historii sztuki na Uniwersytecie Warszawskim, na które dostała

się chwilę wcześniej. Tak jak zmieniała prace, zmieniała też miejsca zamieszkania – wraz z mężem Andrzejem Dzikowskim. W jej biografii czytam, że najpierw był to akademik przy ulicy Kickiego i mieszkanko przy Górczewskiej, potem kolejne przy Nowotki, Anielewicza, alei Waszyngtona i przy Grzybowskiej. Wreszcie trafili do trzypokojowego mieszkania przy Płockiej. Mogli odejść. Ale kiedy wszystko się uspokoiło, coś w ich związku przestało działać. Wyszewskiemu Dzikowska powiedziała, że to był czas, w którym chciała zwiedzać coraz

Dzikowska pojawia się co jakiś czas w telewizji, robi kurs operatorski. Jest jedną z niewielu dziennikarek w tamtych czasach, które potrafią łączyć różne formy. I ciągle ma głód poznawania, uczenia się. Dlatego do Ameryki Łacińskiej chce wyjechać na dłużej.

więcej i dalej. Poznawać, pracować, odkrywać. „Ja miałam coraz większy apetyt na życie, a Andrzej niekoniecznie. Mniej mu się chciało”. – Z Dzikowskim byłam siedemnaście lat. I nasz związek był bardzo dobry. Niczego złego nie mogę o Andrzeju powiedzieć. W pewnym momencie rozeszły się po prostu nasze drogi – tłumaczy mi podczas rozmowy. O tym momencie będzie za chwilę.

Szczegółowo opowiada mi o swoim apetycie na życie. – Bo wie pani, najważniejsze w życiu jest, żeby się chciało chcieć. Bardzo współczuję ludziom, którym się nie chce. Mnie się zawsze chce. Pracy, podróży, miłości. To sekret mojej witalności. Bo jak się chce, to można wszystko. Nawet wzniesć pomnik na wysokości 4818 metrów nad poziomem morza w Andach w Peru, upamiętniający inżyniera Ernesta Malinowskiego, który zaprojektował kolej transandyjską (to do niedawna najwyższej położona linia kolejowa na świecie). Pomnik to jedno z moich największych osiągnięć. Albo popłynąć na trzy miesiące do Meksyku ze 180 dolarami w kieszeni.

— PYTAM, JAK TO BYŁO z tym Meksykiem i skąd w ogóle wziął się ten kierunek? W skrócie: po tym, jak kontakty Polski z Chinami zaczęły się psuć, zamknięto pismo „Chiny” i powołano nowy miesięcznik – „Kontynenty”. Dzikowską oddelegowano do zajmowania się Ameryką Łacińską. – Nie miałam o tym pojęcia. Ale nikt nie miał. Więc mnie wzięli – tłumaczy dziś. Zaczęła uczyć się hiszpańskiego, pożerać książki na ten temat i wertować atlasy. Ale tak naprawdę wiedziała, że bez wyjazdu do Ameryki Łacińskiej jej teksty nie będą pełne. Po mniej więcej pół roku pracy naczelny zgodził się na podróż. Dał jej 180 dolarów i życzył sukcesów.

Dzikowska wsiadła na statek o – jak sama mówi – niezbyt fantazyjnej nazwie „Transportowiec” i ruszyła w trzytygodniową podróż przez Atlantyk. – W pierwszych godzinach rejsu zorientowałam się, że mam straszliwą chorobę morską – wspomina. W książce *Tu byłem. Tony Halik* czytam, że na statku się nie nudziła. Od swojej współpasażerki Meksykanki uczyła się hiszpańskiego, ze spirytualistką wywoływała duchy (podobno udało im się wywołać Piłsudskiego), a śpiewak operowy (konkretnie baryton) z Odessy umilał jej czas swoimi koncertami.

– Wszystko mi się podobało w Meksyku. Chłonełam te nowe miejsca wszystkimi zmysłami. Kolory, smaki, zabytki, sztukę. Przed wyjazdami przygotowywałam się w Polsce, ile mogłam, ale nie było zbyt dużo książek, materiałów. Potem rozmawiałam z ambasadą. Za komuny ambasadory bardzo pomagały dziennikarzom w sprawie kontaktów. Mówiłam im, z kim bym chciała porozmawiać i pomagali mi w znajdowaniu tych osób. I tak po nitce do kłębka dochodziłam do kolejnych ciekawych osobowości ze świata sztuki czy polityki – tłumaczy.

– W Elżbiecie fascynuje mnie to, że nigdy nie mówi: „O, kiedyś to było ciężko”, „Teraz to macie łatwo”. Nie ma w niej ani grama goryczy – zauważa Martyna Wojciechowska. – Cieszy się z tego, co jest tu i teraz, a zarazem docenia to, co było. Ja na plan zdjęciowy do Meksyku lecę kilkanaście godzin, ona płynęła kilka tygodni. Jej kamera ważyła tyle, co moje trzy walizki. Miała limitowany czas na taśmę i nigdy nie wiedziała, które ujęcie wyjdzie. Ja wiem od razu, co mamy

nagrane. Nigdy nie mówi, że mam łatwiej. Cieszy się z moich wypraw. Ogląda każdy odcinek, komentuje. Czasem ostro. Ale zawsze z sercem.

Po powrocie z Meksyku Dzikowska ciągle pisze teksty. Ale coraz bardziej interesuje ją fotografia. Nieśmiało zaczyna sięgać po kamerę. Pojawia się co jakiś czas w telewizji, robi kurs operatorski. Jest jedną z niewielu dziennikarek w tamtych czasach, które potrafią łączyć różne formy. I ciągle ma głód poznawania, uczenia się. Dlatego do Ameryki Łacińskiej chce wyjechać na dłużej.

Gdy w 1974 roku ministerstwo kultury Peru zaprosiło ją na roczne stypendium, postanowiła dotrzeć tam przez Meksyk. – W Meksyku odbywał się kongres światowego stowarzyszenia latynoamerykanistów, gdzie relacjonowano ostatnie odkrycia na kontynencie i ja potem je opisywałam – tłumaczy.

Przed wyjazdem Ryszard Badowski, dziennikarz TVP, który prowadził program podróżniczy *Klub sześciu kontynentów*, poprosił Dzikowską, żeby zrobiła wywiad z polsko-argentyńskim podróżnikiem produkującym filmy dokumentalne dla amerykańskiej stacji telewizyjnej NBC, Tonym Halikiem. Ten mieszkał w stolicy Meksyku ze swoją żoną Pierrette i synem Ozaną. Jego programy czasem pojawiały się w polskiej telewizji. Dzikowska raz czy dwa widziała go na czarno-białym ekranie. Nie zrobił na niej piorunującego wrażenia.

– Gdy pierwszy raz zobaczyłam go na żywi, pomyślałam „śmieszny facet” i wyłączyłam telewizor – wspomina, ale przyznaje, że podjęła wyzwanie i z wypożyczoną kamerą była gotowa na zrobienie wywiadu. Skoro z sinolożki i historyczki sztuki mogła stać się dziennikarką i fotografką, to kolejny krok: dziennikarstwo telewizyjne, wydawał jej się osiągalny. To nie pierwszy raz, kiedy musiała odnaleźć się w nowej sytuacji i wymyślać się na nowo, by móc iść dalej.

Po przyjeździe do Meksyku okazało się, że nic nie wyjdzie z jej stypendium w Peru. Tamtejsza ministerka kultury została zdymisjonowana, a wraz z jej odejściem odwołano stypendium. Halik akurat kręcił materiał w Gujanie Francuskiej, więc i wywiadu nie mogła zrobić. Postanowiła wrócić do Polski. – Gdyby nie obiad u mojego znajomego,

meksykańskiego artysty José Luisa Cuevasa, nigdy bym pewnie nie poznała Halika. Wśród gości pojawił się prezydent Meksyku Luis Echeverría Álvarez. Zapytał, jakie miałam plany, więc opowiedziałam o tym, że nie jadę do Peru i wracam do Polski. Gdy to usłyszał, od razu zaproponował, żebym została w Meksyku na rok.

Dzikowska postanowiła skorzystać z propozycji. Dzięki temu, że została, udało jej się spotkać z Halikiem i zrobić zamówiony wcześniej wywiad. Jak przebiegało to spotkanie, pokazuje reżyser Marcin Borchardt w filmie *Tony Halik. Tu byłem*, zainspirowanym książką Mirosława Wlekłego. Dzikowska rozmawia z Halikiem w jego meksykańskim domu. Ona młoda, w upiętych blond włosach, mówi miękkim głosem. On już po pięćdziesiątce, w ubraniu w kolorze kha-ki. Trochę bajeruje, trochę opowiada o swoich przygodach w południowoamerykańskiej dżungli.



Dzikowska pyta go przed kamerą: „Czy można byłoby zapytać, jakie jest hobby sławnego podróżnika?”. On odpowiada: „Oprócz tej zbieraniny broni, czapek (...) jest zbudowanie domu”. Nie wiem, czy sobie to dopowiadam, czy ta wstawka o budowie domu była zalotna – tak jakby Halik chciał jej powiedzieć, że jest facetem, z którym można przeżywać szalone podróże, ale też znaleźć spokojną przystań. Dom, o którym mówił, był rozległy, inspirowany stylem kolonialnym, po brzegi wypełniony rzeczami, które przywiózł ze swoich wypraw. Zbudowany tak, by spełniał wymogi Halika.

„Miał w sypialni sufit ze szkła, (...) żeby można było oglądać gwiazdy, to bardzo mi się podobało” – opowiada w filmie Dzikowska. Mam wrażenie, że już na tym pierwszym nagraniu widać, że świetnie się rozumieją. Ona się uśmiecha, chyba zalotnie. Są swobodni. Może trochę flirtują? Czy tylko tak mi się wydaje, bo wiem, jaką dobrą parą będą w przyszłości. On – wolny ptak, szalony podróżnik, ona z głęboką wiedzą, zamiłowaniem do zabytków, zorganizowana i przygotowana. – Podczas tej pierwszej rozmowy nie flirtowaliśmy. Ale później faktycznie byliśmy prawdziwymi partnerami. Uzupełnialiśmy się doskonale. To było bardzo piękne – mówi mi.

Po tym pierwszym spotkaniu zaczęli ze sobą podróżować po Meksyku i Ameryce Południowej. Dość szybko zakochali się w sobie bez pamięci. Halik zdecydował się zostawić Pierrette i zawalczyć o Elżbietę. Ona po powrocie do Polski rozwiodła się z Dzikowskim, ale nie zamierzała dla Tony'ego zmieniać planów, rezygnować z marzeń i przeprowadzać się na drugi koniec świata. Powiedziała, że jeżeli chce z nią być, musi przyjechać do Polski, bo ona, choć kocha podróż, nigdy nie chciała mieszkać za granicą. W Warszawie czekała na nią praca w „Kontynentach”. Halik musiał się dostosować. W 1976 roku przyleciał do Warszawy. Najpierw kupił mieszkanie przy ulicy Inflanckiej. Dzikowska się do niego przeprowadziła, bo swoje zostawiła byłemu mężowi. Potem już razem z Elżbietą Halik kupił dom w Międzyzlesiu, w którym ona mieszka do dziś. To jej bezpieczna przystań, do której zawsze wraca.

— Z HALIKIEM DZIKOWSKA wyruszyła w jedną z najważniejszych podróży swojego życia – poszukiwanie Vilcabamby, starożytnego miasta Inków. Stolica, której Inkowie bronili przed ekspansją Hiszpanów od 1536 do 1572 roku, z czasem została zniszczona i zapomniana. Przez wieki jej lokalizacja była tajemnicą. O ekspedycji powiedział Dzikowskiej peruwiański profesor Edmundo Guillén Guillén. Na podróż potrzebne były jednak pieniądze, których ani profesor, ani Dzikowska nie mieli. Elżbieta powiedziała o pomysle Halikowi, a ten przekonał



moc psychiczna. Jest kobietą, która może przenosić góry, jeżeli tylko zechce. I ta siła płynie z jej środka. Na nikogo nie liczy, ma ten traktor w sobie. Sama decyduje, co robi, i dąży do celu. I go osiąga. Nie znam drugiej osoby o takiej mocy działania. Gdy z nią jestem, wydaje mi się, że też bym mogła góry przenosić, ale tak nie jest. Ta moc niestety nie dzieli się przez osmozę – śmieje się.

Poznały się w 1991 roku podczas wystawy *Jesteśmy*, którą Dzikowska zorganizowała ze swoją przyjaciółką, krytyczką sztuki Wiesławą Wierzchowską. Pokazywały w niej polskich artystów, którzy działali poza granicami kraju.

– Od początku, od pierwszego spotkania biła od niej siła. I tak jest do dziś – zaznacza Zawa-Cywińska.

Martyna Wojciechowska wspomina, jak robiła o Dzikowskiej setny odcinek programu *Kobiety na krańcu świata*. – Nie mogliśmy za nią nadążyć. Płyniemy kajakami, a ona zasuwa i pyta mnie, dlaczego moi operatorzy kamery są tacy wolni. Jedziemy samochodem, a ona chce zrobić zdjęcie architektury i wysiada, zanim ja porządnie zaparkuję. Jest nie do zatrzymania. Rzadko mi się zdarza, że to mówię, ale często nie nadążam za nią.

– Myślę, że Elżbieta Dzikowska tak o sobie nie powie, ale ja ją widzę jako feministkę wyprzedzającą swoje czasy. Wielu mężczyzn ze swojego otoczenia biła na głowę i nie zatrzymywała się przed niczym. Umiała zawalczyć o swoje – mówi mi Mirosław Wleki.

– Ja feministką? Absolutnie nie. Nie jestem feministką walczącą o prawa kobiet. Ja po prostu jestem człowiekiem. Nieważne, czy ktoś jest mężczyzną, czy kobietą. Dla mnie wszyscy jesteśmy po prostu ludźmi i tego się trzymam.

– A podróżowanie? Bycie kobietą utrudniało czy pomagało pani odkrywać świat? – dopytuję.

– Nie ma różnicy, czy podróżuję jako kobieta, czy jako mężczyzna. Nigdy nie brałam tego ani za plus, ani za minus. Jechałam w nieznane jako człowiek, który chce zobaczyć, co jest dalej.

Martynę Wojciechowską kobiecość Dzikowskiej zachwyca. – Elżbieta jest bardzo zmysłową, gorącą kobietą. Ma wysoką

energię kobiecą. Zupełnie inną od mojej i bardzo to w niej cenię, bo mogę się od niej wiele nauczyć. Ja mam cel i do niego dążę, ona celebrowała życie jak nikt inny. Dla niej relacje z mężczyznami były i są bardzo ważne. Choć nie oznacza to, że się im poddawała. Dużo o tym rozmawiamy.

—
PONAD TRZYSTA ODCINKÓW. Osiemnaście milionów widzów w szczycie popularności. Ponad dwadzieścia lat na antenie. Dziesiątki tysięcy historii z podróży. Aż 224 eksponaty, pokazywane na wizji, które po zakończeniu emisji trafiły do Państwowego Muzeum Etnograficznego w Warszawie. Tysiące listów od widzów. Kilkaset podróży po całym świecie, w tym do Ameryki Południowej, Australii, Stanów Zjednoczonych, Chin, Nowej Zelandii, Indii, Rosji, Tahiti, Maroka czy na Galapagos. Ile dokładnie? Dzikowska nie wie, nigdy nie liczyła. Pierwszy odcinek *Pieprzu i wanilii* trafił na antenę w 1986 roku, ale już wcześniej widzowie znali podróżników z programów pod innymi tytułami: *Tam, gdzie rośnie wanilia*, *Tam, gdzie pieprz rośnie*, *Tam, gdzie kwitną migdały* i *Tam, gdzie pachnie eukaliptus*. – Nazwa *Pieprz i wanilia* została, bo już nie mieliśmy konceptu na inne – śmieje się Dzikowska.

W piwnicy ich domu, gdzie nagrywany był program, gościli miliony Polaków, dla

których *Pieprz i wanilia* był oknem na świat w czasach, gdy nie mogli sami swobodnie podróżować. Każdy z odcinków składał się z rozmowy Elżbiety i Tony'ego o ich wyprawach, często do miejsc niedostępnych wtedy dla turystów. Opowiadali o Majach, o plemieniu Tarahumara mieszkającym w stanie Chihuahua w Meksyku, o pustyniach Ameryki albo o słonach. Rozmowy były przeplatane filmami z podróży, które komentował lektor. Za scenografię służyły przywiezione artefakty: skóra jaguara, broń, maski. Dziś wiele z tych przedmiotów trafiło do Torunia, do Muzeum Podróżników imienia Tony'ego Halika. – Nie zgodziłam się, żeby tam dodano moje nazwisko, bo nie jestem snobką – zaznacza Dzikowska.

Widzowie ich pokochali. On opowiadał historie (czasem niestworzone), ona starała się przekazać wiedzę, niekiedy korygowała zbyt wybujałe opowieści Halika. On nagrywał obrazy, ona pisała teksty. – Byliśmy jak dwa dopasowane puzzle. On miał fantazję, ja wiedzę. Uzupełnialiśmy się na każdym kroku. On lubił ocean, ja góry. W podróżach interesowało go to, co się ruszało: ludzie, zwierzęta. Mnie to, co stało: cywilizacje, zabijki, sztuka. Uczyliśmy się od siebie i byliśmy wobec siebie lojalni. Ale też dawaliśmy sobie wolność. W moje ukochane Bieszczady jeździłam sama, za to on w pojedynkę wybrał się na Alandy. I tak nam było dobrze.

TYLKO NA MAGAZYN PISMO.PL

Bocznymi drogami

ANDRZEJ ANDRYSIAK

O tym, czego nie widać z warszawskiej ulicy Marszałkowskiej.



Masz prenumeratę lub sam dostęp online do „Pisma”?
Czytaj nowe felietony z cyklu co miesiąc w **serwisie i aplikacji**.



Ale z drugiej strony pojechał ze mną tropem katedr romańskich w Europie, co go średnio interesowało, a ja ruszyłam z nim do Kenii w poszukiwaniu lwów – opowiada Dzikowska.

Cessanis oglądał *Pieprz i wanilię*, zanim zaczął jeździć po świecie. – To były moje pierwsze podróżnicze inspiracje. Wyobrażałem sobie, że i ja tak będę podróżował. To oni otworzyli mi drzwi do tego świata, a Elżbieta zdecydowanie zarażała mnie zainteresowaniem Chinami.

Pomysł na program wyprzedzał czas. Był świeży i nie do podrobienia. Dzikowska i Halik mieli historie, charyzmę i pasję. Za podróże płacili z własnej kieszeni, więc nie musieli wiązać się z nikim finansowo. Program był ich. Dziś odcinki trudno się ogląda, dłużą się, a jakość materiału odbiega od tej, do której przywykliśmy w kanałach o podróżach czy przyrodniczych.

– Zawsze powtarzam i pani też to powiem. Jestem futuro, a nie retro. Zawsze patrzę do przodu. Co mogę zrobić w przyszłości, co jeszcze mnie czeka. To mi daje ogromną siłę – słyszę to od Dzikowskiej nie pierwszy raz.

Michał Cessanis przyznaje, że to powiedzenie, które kilka lat temu usłyszał od Elżbiety, stało się jego życiową mantrą. Za każdym razem, gdy zaczyna rozpamiętywać, żałować czy przejmować się tym, co wydarzyło się w przeszłości, słyszy w głowie: „Bądź futuro, a nie retro”, „Patrz do przodu”, „Co możesz z tym zrobić”, „Nie oglądaj się”. – Ale też spędzaj czas z młodymi. Ucz się od nich. Doceniam też, jak bardzo Elżbieta jest akceptująca. Wspiera społeczność LGBT+ od zawsze, nawet gdy nie było to modne.

Roman Warszewski początki tej dewizy widzi w więziennej przeszłości Dzikowskiej. – Ona wypiera porażki i idzie dalej. Nie pozwala sobie zatrzymywać się na niepowodzeniach.

Pytam ją więc, jak to jest z tymi porażkami. – Nie miałam, więc nie umiem odpowiedzieć na to pytanie – odpowiada bez krzty sarkazmu.

lata, by się odmłodzić, i powiedział, że ma pięćdziesiąt. W ostatnich odcinkach *Pieprzu i wanilii* różnicę widać już bardzo wyraźnie. Elżbieta ciągle energiczna, elokwentna, z werwą. On spokojniejszy, wycofany. – Pewnego dnia zsunął się z fotela i złamał biodro. W szpitalu dostał zapalenia płuc. Potem w drugim szpitalu kolejnego – wspomina Dzikowska. Zmarł 23 maja 1998 roku. O tym dniu Dzikowska powiedziała Warszawskiemu: „Gdy odchodził, byłam przy nim i trzymałam go za rękę. Byłam w pewnym sensie przygotowana na to, co nieuchronne. Ale okazało się, że tak naprawdę na coś takiego nie można się przygotować”.

Pytam, jak to jest z tymi porażkami. – Nie miałam, więc nie umiem odpowiedzieć na to pytanie – odpowiada bez krzty sarkazmu.

Halik zostawił po sobie mnóstwo dobrych wspomnień i artefaktów. Ale też tajemniczą kopertę z opisem: „Spalić po mojej śmierci”. Koperty Dzikowska nie spaliła, tylko włożyła do biurka i o niej zapomniła. Wyjęła ją dopiero, gdy Mirosław Wlekły zaczął pracę nad książką o Haliku i wyszło na jaw, że nie wszystko, co podróżnik mówił, było prawdą. Pod swoim prawdziwym imieniem Mieczysław Sędzimir Halik (podczas wojny Max) był w Wehrmachcie i obiecał współpracę bezpiecie (niezbyt się w nią później angażując). W kopercie znalazła listę osób, które wraz z nim uciekły z Wehrmachtem, ale też piękne listy o jego zasługach we francuskim ruchu oporu. Zapytana podczas premiery filmu *Tu byłem. Tony Halik* o jego współpracę z Rzeszą, Dzikowska powiedziała: „Nic o tym nie wiedziałam. Myślę, że mi o tym nie mówił, by mnie chronić. Wiedział, że tata był zabity przez Niemców. A ja byłam wtrącona do więzienia przez komunistów. Dbał o mnie. Był fantastyczną osobą”.

Pytam Wlekłego, jak zareagowała na książkę, w której ujawnił prawdę o Haliku. – Jechałam do Dzikowskiej z duszą na ramieniu. Prawie pięćsetstronicowy maszynopis przeczytała w jedną noc. Gdy otworzyła

drzwi, miała surową minę. Serce mi prawie stanęło. Ale powiedziała: „Wszystko się zgadza. Wolałabym, aby ta książka się nie ukazała, ale wszystko, co pan tu napisał, jest prawdą”. Profesjonalistka.

OD CZASU POBYTU w więzieniu w Lublinie Dzikowska stara się omijać politykę. Oczy zwraca ku sztuce i kulturze. W 1981 roku, pracując w „Kontynentach”, zostaje zweryfikowana (władze sprawdzają dziennikarzy). Przesłuchania są jednak dla niej tak nieprzyjemne, że przerywa współpracę z kwartalnikiem (wznowi ją w 2017 roku). W zamian pisze o sztuce w piśmie „Radar”. W czasie stanu wojennego nie chce pokazywać się na wizji, wydaje jej się to niestosowne. *Pieprz i wanilię* prowadzi wtedy sam Halik. „Tylko sztuka cię nie oszuka” – zwykła mawiać i tego przez większość życia się trzyma.

– Dla mnie Elżbieta to artystka. Ma wielką wiedzę jako historyczka sztuki, ale ma też coś więcej. Intuicję. Zawsze potrafi zauważyć w sztuce coś najważniejszego. Wyczuć, co jest dobre. Szczególnie cenię sobie jej fotografie makro błota, kory, skał, które są najbliższe mojej pracy. Z jednej strony to fotografia, ale w przybliżeniu wygląda jak abstrakcja – mówi Hanna Zawa-Cywińska.

Podróżowały razem po całej Europie w poszukiwaniu megalitów. Były między innymi w Wielkiej Brytanii i Francji. – Ja stałam i uwrażliwiałam się na te wielkie głązy. Dla mnie to było bardzo emocjonalne przeżycie, jakbym czuła ducha tych pierwotnych ludzi. Elżbieta latała, tak dosłownie latała, z aparatem. Interesował ją każdy szczegół. Zawsze była bardzo dobrze przygotowana. Miała ogromną wiedzę o miejscach, do których jeździliśmy. Ona naprawdę rozumie i kocha sztukę.

Dziś w podpiwniczeniu, w którym kiedyś było studio telewizyjne, Dzikowska ma studio artystyczne. Są tam jej własne prace i fotografie, ale też obrazy znajomych, które przez lata dostawała w prezencie lub kupowała. Pytam o ulubiony obraz z domowej kolekcji, która po jej śmierci ma trafić do Muzeum Okręgowego w Toruniu. – Trudno wybrać jeden. Ale bardzo lubię pierwszy, jaki kupiłam. To dzieło Tadeusza Makowskiego. Nabyłam go jako bardzo

HALIK BYŁ OD DZIKOWSKIEJ o szesnaście lat starszy, choć gdy się spotkali, odjął sobie dwa

młoda osoba. Kosztował półtora tysiąca złotych, całą moją pensję.

Później, gdy była z Halikiem, na kolekcję zarabiała grą w karty. Ogrywała go w kanastę na pieniądze. To, co zebrała z wygranych, wydawała na obrazy.

Po śmierci Tony'ego Elżbieta Dzikowska wcale się nie zatrzymała. Swoją energię zwróciła ku kolejnym podróżom, sztuce i fotografii. Coraz częściej jeździ po Polsce. Rezultatem tych podróży są programy i książki *Groch i kapusta* oraz osiem tomów w serii *Polska znana i mniej znana*. – Nie mamy się czego wstydzić. Polska jest szalenie interesująca. Chcę to przekazać tym, którzy myślą, że podróżować trzeba daleko – mówi zdecydowanie.

Nie oznacza to, że nie jeździ nigdzie dalej. Właśnie wróciła z Omanu, w 2019 roku była w Papui-Nowej Gwinei. W 2017 roku, po czterdziestu jeden latach, wróciła do Wilcambamby (w tę podróż zabrał ją Warszawski). – Wracam do miejsc, które odwiedzałam kilka dekad temu, i przyglądam się temu, jak się wszystko zmienia. Wtedy dotarcie do Wilcambamby zajmowało nam wiele dni, dziś tylko dwa i większość trasy można pokonać samochodem. Nie trzeba wycinać drzew, by dojrzeć zabytki. Wszystko jest oczyszczone.

Gdy pierwszy raz poleciała rozlatującą się awionetką do Lakandonów, na pograniczu Meksyku i Gwatemali, witali ich ludzie ubrani w szaty z kory i pokazywali, jak odpowiednio przygotowanymi kijami uprawiają ziemię. Gdy pojechała tam kilka lat temu, dotarła już drogą, a przed wjazdem do wioski widziała ukryte przed turystami samochody. Za zdjęcie w tradycyjnych strojach trzeba teraz zapłacić. – Z jednej strony szkoda mi tego, co przemija. Z drugiej – rozumiem, że ci ludzie też chcą mieć lodówki i inne wygody współczesnego świata. Z nimi żyje się łatwiej.

Bywa, że jeździ w popularne turystyczne miejsca. – Wenecja to moje ukochane miasto na ziemi. Co dwa lata jeżdżę tam na biennale sztuki. Wielkie wycieczkowce, które dosłownie zalewają turystami stare miasto, to nie jest nic przyjemnego i nie dziwię się, że weneccjanie chcą się przed tym bronić. Ale z drugiej strony jest tam pięknie. Staram się, o ile mogę, jeździć w mniej turystycznym sezonie. Po co dokładać do tego tłumy.

Gdy pytam, czy odradzałaaby ludziom jazdy w „zadeptane” miejsca, odpowiada, że nie. – Powiedziałabym im, że jak mają ochotę i ciekawość gdzieś jechać, to niech jadą. Gdybym sama chciała coś zobaczyć, to bym pojechała.

Dzikowska od dawna wydaje albumy fotograficzne, w tym mój ulubiony – o biżuterii świata. Kocha ją od lat i stała się jej znakiem rozpoznawczym. Przywozi ją ze wszystkich stron świata, ale ma też swojego jubilera, który tworzy biżuterię tylko dla niej. – Mam umowę z artystą Andrzejem Kupniewskim, że przywożę mu kamienie z podróży, a on mi z nich robi piękną, rzeźbiarską biżuterię. Ogromne wisiory, pierścionki na dwa palce. Bez biżuterii czuję się naga.

W kolekcji Dzikowskiej jest też sporo biżuterii etnicznej: bransoletka z kości słoniowej, pióropusze z piór rajszych ptaków z Irian Jaya, prowincji Indonezji na Nowej Gwinei czy wisior z kły hipopotama. – Dziś nie wypada o niej mówić, bo już takich rzeczy nie

Wenecja to moje ukochane miasto na ziemi. Wielkie wycieczkowce, które dosłownie zalewają turystami stare miasto, to nie jest nic przyjemnego. Staram się, o ile mogę, jeździć w mniej turystycznym sezonie. Po co dokładać do tego tłumy.

wolno przywozić do kraju. Kiedyś nie było takich obostrzeń. Zapewniam, że każdy zakup był atrakcyjny dla obu stron – zaznacza. Przez lata uwielbiała bursztyn. Dla Tony'ego Halika zamawiała broszki z bursztynu najpierw u Teresy Godun-Rogi, a potem u malarzki Basi Guzik-Olszyńskiej. Spinał sobie nimi apaszkę pod szyją.

— ELŻBIETA JEST CZĘSTO NIEDOSTĘPNA. Trudno przełamać się przez jej barierę. Czasem nie chce prostować faktów. Niektóre z jej opowieści obrosły w niedopowiedzenia – mówi Warszawski, który spędził trzy lata na pisaniu jej biografii. Ale jednocześnie sam przyznaje, że po każdym spotkaniu z nią czuł

się, jakby podładował akumulatory. Trudno oprzeć się jej energii i urokowi, co zresztą podkreślają wszyscy, z którymi rozmawiam o Elżbiecie Dzikowskiej.

Cessanis stwierdza, że dla niego nie ma większego znaczenia, że jakiś fakt został przekreślony czy podkolorowany w którejś z opowieści. W końcu Dzikowska ma tysiące wspomnień i opowiadała je już tyle razy. Za to liczy się to, że od zawsze jest jego podróżniczą inspiracją i go mobilizuje.

Mirosław Wlekły mówi, że w trakcie promocji książki o Haliku był zdziwiony, ilu młodych ludzi przyjeżdżało po to, by spotkać Elżbietę. Była dla nich wzorem. Czasem wręcz idolką. Wokół niej ciągle jest dużo osób. Jeden z jej przyjaciół z Głowna, Krzysztof Laszkiewicz, gdy się ożenił, zabrał ją w swoją podróż poślubną. We czwórkę (z żoną Kasią i przyjacielem Dzikowskiej Jackiem Perzyńskim) pojechali szlakiem zamków krzyżackich. W wywiadzie dla „Twojego Stylu” przyznaje, że gdy została poproszona o to, by patronowała jakiemuś festiwalowi dla seniorów, odmówiła. Dlaczego? „Bo nie jestem seniorem”.

Nie dziwi się temu dziennikarka Dorota Abramowicz. Napisała mi w mailu: „Elżbieta jest kobietą otwartą i ciągle młodą. Młodość w jej wydaniu traktuję jako ciekawość świata, ludzi, skłonność do ryzyka, umiejętność szybkiego nawiązywania kontaktów, przełamywanie barier. A także niezwracanie uwagi na konwenanse”.

– Dom Dzikowskiej jest otwarty. Zawsze pełno w nim ludzi. A najlepsze są jej urodziny, 19 marca, gdy po prostu mnóstwo osób przyjeżdża, by życzyć jej wszystkiego najlepszego. Artyści, politycy, podróżnicy, prawnicy. Mieszanka bardzo ciekawych osób – opowiada Cessanis.

– W tym roku nie organizowałam niczego, ale i tak od rana przychodziły kwiaty, a potem zjawiali się goście. Jedliśmy więc obiad i świętowaliśmy z moim ulubionym czerwonym winem primitivo – podkreśla Dzikowska i dodaje, że takie spotkania to niemal codzienność. – Cztery, pięć razy w tygodniu przyjmuję gości na obiedzie albo na kolacji. Przyjaciele wożą mnie na wystawy. Ciągłe jest ciekawie.

Obiady u Dzikowskiej obrosły legendą. Wspomina je Mirosław Wlekły. – Podczas

pracy nad książką o Haliku wiele razy do niej przyjeżdżałem. To była profesjonalna relacja, więc bardzo starałem się nie nadużywać jej gościnności. Ale ona zawsze kusiła najlepszym obiadem. Zazwyczaj była to moja ulubiona kuchnia śródziemnomorska: ryba, pyszna sałata, najlepsze wino. Trudno się było oprzeć tym zaproszeniom. Trudno się też oprzeć sile i energii Dzikowskiej.

– Elżbieta, gdy coś czuje, robi to – podkreśla Martyna Wojciechowska. – Na przykład gdy ma ochotę do mnie zadzwonić, dzwoni. „Cześć córeczko, co słychać?” – pyta. Nie czeka, nie zastanawia się, czy mi przeszkadza. Po prostu łapie za telefon i zawsze jest ciekawa, gdzie jestem, co robię. Gdy dzwoni, mam wrażenie, że ważne jest dla niej, jak się czuję. Że słucha z prawdziwą ciekawością. Elżbieta nie przekombinowuje życia. Bierze je takim, jakie jest, i na bazie tego realizuje swoje marzenia. Dla niej ścieżka od pomysłu do wykonania jest bardzo krótka. Chce jej się i to robi. Innym by się chciało, ale tu następuje litania wymówek, dlaczego jakiś plan jest niemożliwy. Ona działa.

—
BYŁ ROK 2016. W Centrum Olimpijskim w Warszawie odbywała się gala nagród Travelery przyznawanych przez National Geographic Polska. W sali mnóstwo znanych podróżników, wszyscy z niezwykłymi historiami w kieszeni, osiągnięciami i odkryciami, które zmieniają świat. Prawdziwa podróżniczka śmietanka. Ale dopiero gdy weszła Elżbieta Dzikowska, ubrana cała na niebiesko, od razu było wiadomo, że królowa wieczoru może być tylko jedna. Nic nie było w stanie jej zatrzymać. Opowieści, śmiech, prezencja. Samo przebywanie w jej towarzystwie dawało energię. Tak wspominam nasze pierwsze spotkanie. Zresztą za każdym razem, gdy wpadała do redakcji „National Geographic” (w której wówczas pracowałam), żeby podzielić się zdjęciami, historiami z ostatnich podróży czy zdradzić pomysł na tekst, efekt był podobny. Mimo wieku, osiągnięć, przygód i przejechanego prawie całego świata Elżbieta Dzikowska, podróżniczka i dziennikarka, nie zwalnia.

Gdy dzwonię do niej osiem lat po tym spotkaniu, w lutym 2024 roku, żeby umówić się na rozmowę do tego tekstu, w pierwszych

minutach, jak torpeda, opowiada mi o swoich najbliższych planach. Z entuzjazmem mówi, że możemy się spotkać, pogadać. Oczywiście. Nie ma sprawy. Bo jest o czym. Nie tylko o przeszłości, ale i o kolejnych podróżach, książkach i spotkaniach. Aha. Tylko nie w czwartki, bo w czwartki zawsze z przyjacielem Mariuszem jeździ na wystawy sztuki. I raczej dzwonić po godzinie dziesiątej rano.



– Za kilka dni wybieram się do Gdyni odebrać Super Kolosa [najważniejszą w Polsce nagrodę podróżniczą przyznawaną za całokształt osiągnięć – przyp. J.N.-L.]. Dzień wcześniej idę na wspaniały koncert pianistyczny, który odbędzie się w domu mojego przyjaciela, a potem mam nadzieję gdzieś ruszyć poza Polskę. Może do Danii, do Muzeum Sztuki Nowoczesnej Louisiana. Nie byłam jeszcze. A słyszałam, że jest świetne. No i może jeszcze Albania – opowiada mi jednym tchem.

Nawet problemy ze zdrowiem, które w ostatnich latach zaczęło bardziej szwankować, jej nie zatrzymują. Traci widzenie centralne, trudno jej czytać i pisać. – Za to cały czas mogę podziwiać sztukę. Dostosowuję się do sytuacji. Słucham ciągle książek w wersji audio, głównie historycznych i biograficznych. Ostatnio przeszłuchałam historię Piastów i Jagiellonów. Swoje książki zapisuję na dyktafonie.

Narzekać nie jest w stylu futuro. Dzikowska ciągle patrzy w przyszłość. – Chcę wydać jeszcze parę książek. Teraz właśnie wychodzi na rynek mój album *O fryzurach i nakryciach głowy* i kolejna książka z serii *Artyści mówią*, tym razem o rzeźbiarzach. Ale mam jeszcze wiele pomysłów.

Przygotowuję się do napisania swojej autobiografii. Zdradzę pani jako pierwszej, że mam plan zacząć od tego, co teraz: od sceny, w której otrzymuję nagrodę Super Kolosa w marcu 2024 roku, a skończyć w Międzyrzeczu Podlaskim w 1937 roku, w dniu moich urodzin. To będzie pamiątnik wstecz. Zobaczmy, jak to wyjdzie. To będzie eksperyment.

Wydaje mi się, że jedyne, z czym Dzikowska nie eksperymentuje, to kolor ubrań. Zawsze ubiera się na niebiesko. Pytam o powód tej konsekwencji. – Nie ma w tym filozofii. Po prostu od zawsze to był mój ulubiony kolor. Na pewno jest dla mnie symbolem czegoś dobrego, przyjemnego. Od błękitu po granat. Wszystkie odcienie. Nie widzę powodu, by go na siebie nie zakładać, skoro go lubię – tłumaczy mi. A ja od razu myślę o niebieskich strefach, w których ludzie są długowieczni. Jedną jest w Okinawie, w Japonii. Inna w Kostaryce i na Sardynii [wspominała o nich Katarzyna Kazimierowska, „Pismo” nr 1/2024 – przyp. red.]. Osoby, które w nich mieszkają, słyną ze zdrowej, często śródziemnomorskiej diety, ciekawości życia i tego, że otaczają się przyjaciółmi i rodziną. Gdy przeglądam zdjęcia Elżbiety Dzikowskiej, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że ten niebieski nie jest przypadkowy. Jawi mi się ona jako jednoosobowa niebieska strefa. Długowieczna, inspirująca, jedyna w swoim rodzaju.

– To ile pani ma lat? – pyta mnie Dzikowska na koniec jednej z naszych rozmów.

– Trzydzieści dziewięć – odpowiadam i czuję, jakbym najlepsze lata życia miała za sobą.

– O! To bardzo młodziutka pani jest – komentuje Dzikowska z pełną powagą. – Całe życie stoi przed panią otworem. O ile tylko będzie się pani chciało chcieć. I będzie pani doceniała przyjaciół. To prosty przepis na życie, ale działa. Nigdy mnie nie zawiodł.



Więcej portretów przeczytasz lub wysłuchasz na magazynpismo.pl/portret

Kurs na wieś

tekst AGNIESZKA PAJĄCZKOWSKA

*Postrzegam swój gatunek jako część większej całości.
Nie na szczycie piramidy, ale jako jeden z organizmów wewnątrz kręgu.
A ten krąg stworzyła grzybnia, która trzyma nas razem.*

(Fantastic Fungi [Niezwyczajny świat grzybów], reż. Louie Schwartzberg, tłum. A.P.)

—
TYM, CO MI ZDROWO BILANSUJE dyskomfort mierzenia się z awarią hydrauliczną, zakładania kaloszy do piżamy, gdy trzeba wyjść i wysypać popiołem oblodzoną ścieżkę, czy konfrontowania się z własną ignorancją dotyczącą kupowania drewna na opał – jest społeczność.

Nie miałam babci na wsi, a mimo to w dzieciństwie spędzałam 50 kilometrów za Warszawą ten najprzyjemniejszy czas – od wiosny do jesieni. Byłam dzieckiem z podwórka na Grochowie i wiedziałam, jak to brzmi, gdy gospodarz spędza wieczorem krowy z pastwiska, a w budynkach byłego PGR-u zaczyna się dyskoteka. Od koleżanki zza płotu nauczyłam się wchodzić do kuchni jej rodziców bez pukania i odpowiadać na pytania obcych osób „Czyja ty jesteś?”. A także tego, że chleb trzeba zamówić i czasami odbiera się go na zeszyt. Nie musiałam pracować przy zbiorze malin, więc nie miałam rąk zabandażowanych do łokci. Poiłam wieczorem krowy sąsiada na pastwisku za płotem – taka wakacyjna atrakcja.

Przyjeżdżałam, gdy robiło się ładnie, wyjeżdżałam, gdy robiło się brzydko lub gdy zaczynała się szkoła. Bywałam tam jednak wystarczająco długo i regularnie, aby wieś nie stała się dla mnie wyłącznie kategorią estetyczną, ale jednym z pierwszych – poza własną rodziną i grochowskim podwórkiem – doświadczeń społecznych. W dodatku formującym, biograficznie ważnym, mimo że moja tam obecność wynikała wyłącznie z zasobności i wyboru moich rodziców. A może właśnie dlatego stało

się formujące, że pozwoliło mi doświadczyć różnicy i odpowiedzialności za wybór. Nigdy nie byłam i nie będę ze wsi, choć od niedawna, gdy się przedstawiam, mówię, że jestem z Wolimierza. To śmieszne, biorąc pod uwagę, że mieszkam tu drugi rok. Moja wyprowadzka na wieś z dużego miasta także jest efektem zasobności i wyboru, a przy tym świadomym poszukiwaniem kolejnego biograficznie znaczącego doświadczenia. A może raczej środowiska – bioróżnorodnych relacji, pełniejszego kontaktu z rzeczywistością, w tym także z naturą, co nie oznacza picia kawy na tarasie z widokiem na góry.

—
ZA MNĄ DOPIERO druga zima, przede mną trzecie lato. Tyle, co nic, choć jak na tę okolicę, to jednak coś – mamy tu sporą rotację, nomadzi zatrzymują się i ruszają dalej, marzyciele weryfikują możliwości i zdarza się, że wyjeżdżają. Ja się moszczę i wrastam, na razie nie zamierzam wracać ani szukać gdzie indziej, choć daleka jestem od „na zawsze” i „najlepiej”, a już na pewno od „dla każdego”. Nadal mam mieszkanie w mieście, a wraz z nim opcję powrotu, jestem w luksusowej sytuacji i z takiej pozycji piszę ten tekst.

Niedawno, gdy byłam w Warszawie i korzystałam z łazienki u przyjaciół – wysoki budynek, kilkadziesiąt mieszkań – wydało mi się wynalazkiem niemal cudownym, że system kanalizacyjny działa tak sprawnie, na co dzień w najmniejszym nawet stopniu nie zaprzatając myśli osób, które z niego korzystają. Jak wygodnie jest nie wiedzieć, co się dzieje z tym, co wypływa poza granice mojego mieszkania – nie musieć wybierać między



szambem, oczyszczalnią biologiczną a ekologiczną, a potem nie musieć ich obsługiwać. Chwilę później, czekając na czerwone światło na skrzyżowaniu Świętokrzyskiej i Marszałkowskiej, stojąc nad stacją metra, spoglądałam na przeszkłone wieżowce. Zadarłam głowę do góry i wyobraziłam sobie pionowe kanalizacyjne, wiele łazienek na każdym piętrze. Patrzałam na chodnik pod stopami i zastanawiałam się, jak głęboko sięga sieć instalacji, tunelów i kanałów. Gdzieś pod nimi jest warstwa gleby, a w niej dżdżownice. Poczułam, całkiem fizycznie, że stojąc na skrzyżowaniu wielkiego miasta, jestem zawieszona gdzieś pomiędzy ziemią a niebem. Że centrum miasta ma taką warstwę, sięgającą wiele metrów ponad chodnik i wiele metrów w głąb ziemi, która czyni zbiorowe życie możliwym i efektywnym, ale przy tym odkleja je od pojedynczego doświadczenia fizyczności, cielesności i materialności. Własnej i innych.

Na wsi mam życie blisko ziemi, a ta czasami zamienia się w błoto po kostki, w którym w listopadzie o godzinie siedemnastej brodzi się w zupełnych ciemnościach. Jesienią kupiłam sobie kalosze, dobrą siekierę i latarkę czołową. Drewno na zimę skończyło się w połowie stycznia, bo źle oszacowałam zużycie. Gdy przez dwa dni nie było prądu, odpalałam samochód przed domem, podłączałam przetwornicę i ciągnęłam przedłużaczem prąd (więc zimno wpadało szparą spod niedomkniętych drzwi), aby naładować telefon i zapalić światło. Śmieci segregowane odbierane są dwa razy w miesiącu – widzę, jak moje zużycie plastiku napęnia kolejne żółte worki, które muszę gdzieś przechowywać. Woda, choć głęboka, jest u nas mocno żelazista, więc filtry na instalacji wodnej trzeba wymieniać nawet i co miesiąc. Używam tylko ekologicznych detergentów i regularnie dosypuję bakterie do przydomowej oczyszczalni, dbając o nią lepiej niż o własną florę jelitową.

Jestem jak jednokomórkowiec, ale żyjący w kolonii. Zasysam z otoczenia to, czego potrzebuję, widzę, ile wydalę. Resztki, popiół, śmieci, zapełniona oczyszczalnia. To życie, które wymaga, żebym wzięła odpowiedzialność za swoje odpady, produkty przemiany materii, za kawałek ziemi i jej bioróżnorodność, której staję się częścią, za potrzebę światła, ciepła i czystej wody, za samoorganizację i relacje sąsiedzkie, od których współzależę, więc nie mogę się schować albo udawać, że się nie znamy. Gdy jadę samochodem przez Pogórze – a jeżdżę tu samochodem więcej niż kiedykolwiek wcześniej – to macham przez szybę mijanym znajomym lub rozpoznaję ich po autach i rejestracjach. Dawniej, gdy jeździłam na wieś, realizując rozmaite projekty, zauważałam, jak mimowolnie odwracały się głowy moich rozmówców, gdy drogą przejeżdżał samochód. Po autach rozpoznaje się rytm okolicy, porę dnia i sieci powiązań. Po czterech miesiącach mieszkania w Wolimierzu złapałam się na tym,

że moja głowa też się mimowolnie odwraca, także chcę zobaczyć, kto jedzie. Widzę i sama jestem widziana.

NIE JESTEŚMY JEDNYMI z tych, którzy przeprowadzili się na wieś pod wpływem *lockdownu* i pracy zdalnej. Decyzję o wyjeździe z miasta – wtedy z Wrocławia – podjęliśmy wcześniej. Pandemia pomogła nam nie odkładać tej potrzeby na nieokreślone później. Gdy zaczęły się pierwsze obostrzenia, Helena, nasza córka, właśnie kończyła rok, a my doświadczaliśmy rzeczywistości z perspektywy wrocławskiego poddasza (piąte piętro bez windy), w którym dwoje freelancerów próbowało pracować, opiekować się malutkim dzieckiem i wychodzić trzy razy dziennie na spacer z psem, zachowując przy tym izolację lub przynajmniej zalecany dystans społeczny. Wiedzieliśmy, że chcemy dla siebie miejsca na Dolnym Śląsku, pięknego (oczywiście) i blisko gór, ale przede wszystkim takiego, w którym będzie sąsiedzka społeczność, osoby z dziećmi, w dodatku z podobnym podejściem do rodzicielstwa – opartym na balansie między bliskością, zaangażowaniem a swobodą. Zaczęliśmy poszukiwania – napisaliśmy posty w mediach społecznościowych, rozpytywaliśmy znajomych. Ktoś mówił: „koniecznie okolice Dusznik”, ktoś inny wysłał nas do Lasówki, a jeszcze inny do Barda i pod masyw Śnieżki. Byliśmy wszędzie. Aż ktoś powiedział też: „Jedźcie do Wolimierza”. Pojechaliśmy. Nie znaleźliśmy tam nikogo. Mieliliśmy adres poleconej agroturystyki w słowhopowym stylu (prowadzą ją znajomi znajomych, ich syn miał wtedy pięć lat), wiedzieliśmy, że jest tam Stacja Wolimierz – miejsce z artystyczno-kulturalno-ekologiczną misją, założone w latach 90. przez Teatr Klinika Lalek – i coroczny festiwal. Tyle.

Poznaliśmy jedną rodzinę, ta poprowadziła nas do kolejnych, a jadąc przez miejscowość, po prostu zatrzymaliśmy się obok Marty i Zosi, które były wtedy z dziećmi na spacerze. Rozmawialiśmy, telefon wypełnił się kontaktami, zostaliśmy dodani do internetowej grupy mieszkańców Pogorza Izerskiego, pojechaliśmy na sąsiedzkie wydarzenie. Zaufaliśmy temu, co usłyszeliśmy i czego w tym krótkim czasie doświadczaliśmy – że to okolica, w której wiele osób dąży do tego, żeby mieszkać w sąsiedztwie, a nie tylko obok siebie. Decyzję podjęliśmy podczas drugiej wizyty w Wolimierzu, gdy się okazało, że na sprzedaż jest działka za rozsądną cenę. Wypisaliśmy w punktach, czego chcemy dla Heleny w związku z wyprowadzką na wieś, wierząc, że właśnie te doświadczenia mogą okazać się istotne w świecie nadchodzących licznie kryzysów. Na kartce napisaliśmy: „1. Żeby miała dobrą relację z przyrodą i czuła się w niej bezpiecznie. 2. Żeby miała społeczność i czuła się jej ważną częścią. 3. Żeby miała warunki do tworzenia dobrej relacji z samą sobą”.

Chcieliśmy tego dla niej, ale też dla siebie.



— GDY MIESZKAŁAM W Warszawie, w trakcie studiów i na początku życia zawodowego, miałam fantazję o przynależności. Marzyłam, aby w tym wielkim mieście istniało miejsce (na przykład klubokawiarnia – więc była to fantazja i klasowa, i środowiskowa), do którego mogłabym wpaść w dowolnym momencie, czuć się jak u siebie i spotykać znajome osoby, z którymi miałabym połączenia: zawodowe, przyjacielskie, sąsiedzkie. Żebyśmy odwiedzali się na piechotę, wpadali na siebie przy okazji, mieli swoje święta i swoje sprawy. Teraz widzę, że to, co nazywa się potrzebą przynależności, próbowałam w mojej fantazji umieścić w scenografii warszawskiej, jedynej znanej mi na co dzień. Pamiętam chwile, gdy na Górnym Mokotowie, kampusie Uniwersytetu Warszawskiego czy przy ulicy Chłodnej ogarniało mnie to przelotne wrażenie, że oto jest – moja wioska, moja społeczność oraz ja jako przynależąca do niej część. Znikało jednak jak fatamorgana wraz z końcem imprezy lub zajęć, rozpierzchaniem się ludzi do swoich spraw, wraz ze *small talkami* albo nieśmiertelnymi „To pędzę dalej!” i „Zdzwonił się na kawkę”, które powodowały we mnie nasilenie tęsknoty i sprawiały, że podejmowałam usilne, acz skazane na porażkę starania, aby tych ludzi spróbować znowu gdzieś skrzyknąć, aby przez chwilę poczuć ten iluzoryczny kokonik. Choćbym się miała upocić i umęczyć, szyjąc go na siłę i wbrew nurtom porywającym nas w różne części wielkiego miasta. Tam i wtedy to zwyczajnie się nie udawało. Zbyt dużo opcji, ulic, przesiadek, kierunków, zbyt wiele miejsc, w których „może się spotkamy” i osób, z którymi chciałam być blisko. Choć myślę, że poczucie wioski da się osiągnąć w mieście – może szczególnie kilkanaście lat później, po pandemii, po opisanu idei piętnastominutowego miasta, po pojawieniu się u ludzi z naszego pokolenia dzieci, po tym, jak zaczęto głośno mówić o profilaktyce zdrowia psychicznego i jak zaczęły pączkować oddolne inicjatywy dzielnicowe. Nie chodzi nawet o to, aby spotykać się na gadanie czy pracować projektowo, ale żeby aktywnie współzamieszkiwać okolicę. Słyszę, że to się dzieje na Pradze-Północ, na Żoliborzu, ale ja nie doczekałam tego na warszawskich Sielcach czy wrocławskim Grunwaldzie i po to marzenie wyjechałam 500 kilometrów od stolicy. Choć właśnie je spełniam, to coś też tracę, bo rzeczywistość lubi być w równowadze.

— DOM BUDOWAŁ SIĘ rękami pracowników wynajętej firmy, a my krążyliśmy od osoby do osoby, od grupy na portalu do grupy na komunikatorze; z ogniska szliśmy na krąg, spod sklepu do sąsiada, od kuchennego stołu na plac zabaw – poznawaliśmy społeczność. Lokalną, ale często lokalną od niedawna, bo – tak jak my – w większości

napływową. Pogórze Izerskie jest inne od Mazowsza pod każdym chyba względem. „To Dolny Śląsk, tu nikt nie jest u siebie” – słyszałam nieraz. W dodatku pogranicze. Moja wioska została założona w XVII wieku przez protestantów prześladowanych w Czechach. Ludzie przyjeżdżali tu od zawsze, osiedlali się, często uciekając przed czymś lub przed kimś, poszukując nowego. Na przykład kamienia filozoficznego, jak alchemicy w XVIII wieku, albo wiedzy o kosmosie – do dziś w lesie niedaleko stoi wieża obserwacyjna, którą w 1804 roku wybudował Adolf Traugott von Gersdorf, wspierając tym samym rozwój ówczesnej astronomii. Szukano tu też nowego życia. Po 1945 roku na miejsce Niemców przyjechali ludzie ze Wschodu, a wraz z nimi te wszystkie historie, które może już znamy, a może tak nam się tylko wydaje. Ci właśnie ludzie, którzy się urodzili gdzieś pod Stanisławowem i myśleli, że tam wrócą, na początku lat 90. zaczęli mieć za sąsiadów artystów i artystki z teatru Klinika Lalek. Wyobrażam sobie, że to musiał być szczególny czas – jeszcze żyli ci, którzy bali się powrotu Niemców, bo granica na Odrze i Nysie nadal nie była uznana, a tymczasem młodzi przeżywali twardą konfrontację nie tylko z transformacją ustrojową, lecz także z niespodziewanym desantem kultury i sztuki niezależnej. Artyści zajęli nieczynną stację kolejową, przywieźli teatr, imprezy muzyczne, wartości ekologiczne i powiew niepokojącej wolności. Mam znajomego urodzonego w latach 80., który wychowywał się po sąsiedzku w Świeradowie-Zdroju. Gdy był niegrzeczny, słyszał: „Oj, bo cię zaprowadzę na stację do Wolimierza”.

Od tamtego czasu dużo wody upłynęło w Łużycy, więc gdy zamieszkałam tu trzydzieści lat później, przyjechałam na gotowe. Nie jest tak, że wszyscy się tu Kochają, bez żartów. Ale naprawdę trudno poczuć się obcą czy „przyjeźdną z miasta” we wsi, która ma dwa duże festiwale i kilka innych ważnych imprez alternatywno-muzycznych, ponad dwieście miejsc noclegowych, punkowo-posthippisowsko-artystyczną historię ostatnich trzech dekad, gdzie spotkania wiejskie odbywają się w towarzystwie wielkiej papugi należącej do sołtyski, nauczycielka jogi ma filipińskie korzenie, najbliżsi sąsiedzi są z Sokółki, Kołobrzegu, Paryża, a obecny burmistrz gminy cytuje Edwarda Abramowskiego i przyjechał tu kiedyś z Łodzi na festiwal – wtedy jeszcze z dredami i z zacięciem społecznika. – Mnie już nic nie dziwi – powiedziała kiedyś pani sklepowa, gdy przede mną para Włochów kupiła tytoń i ogórki kiszzone, a ja poprosiłam o mleko owsiane, wędzone tofu i papier toaletowy.

Wiedziałam, że wybraliśmy miejsce wyjątkowe, a przynajmniej – z nieoczywistą historią. Pomijając doświadczenie dzieciństwa, od dwudziestego roku życia bywałam w bardzo wielu wsiach w Polsce. Uczylałam się animacji kultury, potem pracowałam jako współautorka lub

Trudno poczuć się obcą czy przyjeźdną z miasta we wsi, która ma dwa duże festiwale i kilka innych ważnych imprez alternatywno-muzycznych, ponad dwieście miejsc noclegowych.

koordynatorka projektów kulturalnych i społecznych, realizowałam zadania dotyczące powojennych przesiedleń i migracji, prowadziłam swój Wędrowny Zakład Fotograficzny wzdłuż północno-wschodniego pogranicza, z Olą Zbroją pisałam reportaże o życiu kobiet na wsi, zbierałam historie mówione w Małopolsce i na Podkarpaciu.

Przez piętnaście lat byłam w wielu różnych wsiach, we wszystkich i zawsze – jako przyjezdna, z zewnątrz, na chwilę. Bywało, że czułam się w tych miejscach jak w domu, że doświadczałam wielkiej otwartości, stwarzanej dla mnie na chwilę i – na przykład – przez osoby w wieku osiemdziesiąt plus. Słyszałam, za czym tęsknią, co sobie cenią, na co utyskują, czym są zmęczone. Zdarzało się, że obserwując ludzi młodszych, rodziny z dziećmi, miałam dojmujące wrażenie dystansu i dążeń do alienacji – niby żyją obok siebie, może nawet są spokrewnieni, ale każdy sobie, na każdym ogrodzonym podwórku osobna trampolina dla dzieci. Słyszałam „My tu mamy lepiej niż w mieście”, a jednocześnie do miasta lub za granicę wielu młodych chciałoby czym prędzej wyjechać.

To są obserwacje przelotne – byłam podglądaczką, wizytatorką. A jednak często słyszałam wprost, że jeśli ktoś jest nie stąd, to nigdy nie będzie tu u siebie. „Tam mieszkają ci z Warszawy, kupili i się pobudowali” – mówili mi rozmówcy na Podlasiu, nad Bugiem, w Małopolsce i na Mazurach Garbatych, wskazując gestem nowy dom pod lasem, a ja to zapamiętałam jako typową frazę określającą coś, czego bym dla siebie nie chciała. Może jedni i drudzy nie byli sobą zainteresowani? Nie wiem. Wiem, że – paradoksalnie – jako osoba z zawodowym doświadczeniem animowania relacji między ludźmi nie miałabym energii, aby podejmować współzamieszkiwanie od zera i na własną rękę, w miejscu, w którym byłabym tą jedyną z Warszawy. Zresztą przecież do trzydziestego roku życia nie miałam w ogóle takiego pomysłu, aby się wprowadzać z miasta. Myśl, że mogłabym pomieszkać na wsi dłużej niż chwilę, wykiełkowała mi latem 2017 roku na Warmii. Pewnie dlatego, że już na dobre rozgościłam się w pracy freelancerki, a przy tym była to okolica – podobnie jak Wolimierz – która sprawiała to wyjątkowe wrażenie, że jest otwarta na nowe osoby, także te z miasta i nieoczywistego świata kultury i sztuki, które chcą na wsi szukać nowego sposobu życia i bycia w żywych relacjach z ludźmi i otoczeniem. Że ci ludzie już tam są, że się znają, że nie byłabym tam pierwsza ani jedyna nie stąd.

*Dopiero gdy
w lokalnym
sklepie
zrobiłam
zakupy
na zeszyt,
poczułam,
że na dobre
zamieszkałam
w naszej wsi.*

DO NASZEGO SKLEPU mamy ze 400 metrów. To było nasze pierwsze lato, już mieszkaliśmy, ale budowa jeszcze trwała. W centrum oprócz sklepu są kościół, mały plac zabaw, siłownia plenerowa i przystanek autobusowy,

na którym przesiadują panowie spożywający zakupione uprzednio napoje. Helena chciała przejechać się na rowerze. Nie mieliśmy płotu, podwórko płynnie przechodziło w drogę, na której ruch jest nikły, choć jeżdżą nią autobusy do miasta powiatowego. Nie zamknęłam domu, przecież szłam tylko na chwilę, no i jestem u siebie. Nie wzięłam też torebki – od kiedy zamieszkaliśmy w Wolimierzu, straciłam nawyk zabierania jej ze sobą, szukam jej dopiero, gdy mam pojechać do miasta.

Więc Helena jedzie na biegówce, ja idę za nią. Po drodze ustalamy, że celem wyprawy będzie plac zabaw. Mijając przystanek, mówimy sobie z panami „dzień dobry”. Ale przy sklepie Helena pyta, czy możemy kupić mus owocowy. – Nie, bo nie wzięłam portfela – odpowiadam. – To zapytaj, czy można zapłacić blikiem – odpowiada rezolutnie trzyipółlatka. Wiedziałam, że na pewno nie, bo w sklepie nie było wtedy terminalu. Ale wchodzimy po schodkach (za Niemców była to podobno pastorówka i poczta), a w środku pachnie tak samo jak w tym sklepie w byłym PGR-ze we wsi mojego dzieciństwa na Mazowszu, a skrzynki – na butelki zwrotne i po chlebie – identycznie piętrzą się przy wejściu. Pani sklepowa wychodzi z zaplecza. Tłumaczę, że chcieliśmy kupić mus, i pytam, czy można zapłacić telefonem. Ale pani sklepowa mówi, że nie i od razu dodaje: – Ale przecież pani tu już mieszka u nas, w tym nowym domku, to przecież ja panią zapiszę. – I dostałam mus na zeszyt. Choć formalnie zameldowałam się w urzędzie gminy trzy miesiące wcześniej, to tak na dobre zamieszkałam w naszej wsi właśnie wtedy.

To, że pani sklepowej nic już nie dziwi, nie oznacza, że lokalna społeczność jest wolna od konfliktów i afer. Wolimierz to dawna wioska bogatych tkaczy, z wielkimi domami przysłupowymi, częściowo zabytkowymi. Niektóre z nich to domy rodzinne, dawniej gospodarstwa, pozostające w rękach tej samej rodziny od 1945 roku. Użytkowe, obrosnięte codziennymi potrzebami i wiekiem swoich mieszkańców, odnawiane, przerabiane lub łatanie na miarę możliwości. Inne to kompleksowo odremontowane, zadbane agroturystyki, niektóre prowadzone ponad dwadzieścia lat. Stworzyli je wieloletni, a często także napływowi mieszkańcy, którzy swoją pracę wywalczyli dla Wolimierza tytuł najpiękniejszej dolnośląskiej wsi. To było w 2013 roku.

Wraz z rosnącą popularnością okolicy, kolejnymi inicjatywami artystyczno-alternatywnymi, a potem pocovidowym napływem z miast Wolimierz zaczął się zagęszczać i zabudowywać rozmaitymi formami mieszkalnymi. Przyczepa kempingowa, domek holenderski, stary autobus, namiot festiwalowy z powiewającym nad nim porcem, bungalow, mały domek (albo kilka obok siebie), nowoczesna stodoła, dom z bali. To wszystko wyrosło w tym krajobrazie w ciągu kilku lat, więc wśród starszych

stażem mieszkańców zawrzało. Mówią: „Nie taki Woliemierz sobie wybraliśmy i wyremontowaliśmy”. Napływowi mówią z kolei: „A my chcemy tu mieszkać ze względu na krajobraz społeczny, a nie architektoniczny, poza tym nie mamy pieniędzy na ratowanie od ruiny domu mającego dwieście lat i trzysta metrów kwadratowych”. Słyszę i rozumiem oba te głosy, jestem na rozpiętej przez nich skali gdzieś pośrodku. Osoby głoszące te skrajnie odmienne opinie na lokalnej grupie internetowej mogę odwiedzić lub spotkać w sklepie i porozmawiać przy okazji o tym, co przeczytałam w sieci. Porozmawiać, aby się wsłuchać i mieć pełniejszy obraz – niekoniecznie po to, aby zajmować stanowisko czy zaogniać konflikt.

Jako nowa wśród nowych – przynajmniej na początku i w granicach przyzwoitości – wolę być człowiekiem środka, kierującym się pokorą i uważną ciekawością. Nie jestem gotowa, aby od razu podpadać jednej z frakcji, za mało jeszcze wiem, aby oceniać, poza tym mogę potrzebować pomocy, gdy zimą na oblodzonym zakręcie zsunę się do rowu. I choć mam przekonanie, że w takich sytuacjach pomoc sąsiedzka funkcjonuje ponad podziałami dotyczącymi krajobrazu czy poglądów, to wołałam tego nie sprawdzać w pierwszym roku mieszkania tu.

Czasami wychodzę z pozycji obserwacyjno-zachowawczej. Poszłam na wiejskie spotkanie. Do domu sołtyski przychodzi zwykle ta sama gwardia wieloletnich mieszkańców, którzy mają doświadczenie własnej pracy na rzecz dobra wspólnego, a przy tym utyskują na nowych, na dzikie zabudowywanie działek i brak zaangażowania w sprawy wsi. Chociażby w coroczne sprzątanie, koszenie czy organizację wiejskiego festynu. Zwykłego wiejskiego festynu dla mieszkańców, jak to zostało podkreślone – a nie alternatywnego festiwalu dla przyjezdnych. Byłyśmy na tym zebraniu dwie nowe – ja i moja sąsiadka, zostałyśmy tam przyjęte z otwartością i serdecznością, cieszone się, że w ogóle przyszłyśmy. Kiedy doszło do rozmowy o festynie, zapytałam, jak zwykle wygląda ta impreza. Usłyszałam relację wraz z zapewnieniem, że „tak było i będzie, tak musi być, ludzie tutaj tego potrzebują”.

Uznałam z pokorą, że jestem tu za krótko, aby z tym dyskutować, ale jako matka – wówczas – czterolatki, uznałam, że warto przynajmniej zaważać o aktywności dla dzieci – usłyszałam, że musi być wata cukrowa i dmuchańce rozłożone przy placu zabaw. Nie polemizowałam, ale zaproponowałam, aby tę ofertę rozszerzyć. Że mamy tu las i ciekawą historię, że można zrobić rodzinną grę terenową z sąsiadem, który zajmuje się surwiwałem, że mamy nauczycielkę jogi dla dzieci, a kupienie farb do twarzy to zawsze dobry pomysł. Usłyszałam wypowiedziane bez wahania i bez kompromisów: „Świetnie, Agnieszko, ale wy to zorganizujcie”. Ma to sens i tak się zresztą stało, choć na zaproszenie do udziału w rodzinnej

WYRUSZ w ŻYCIOWĄ PODRÓŻ

Niszowe wyprawy z reporterami i fotografami, m.in.: **Bartkiem Sabelą**, autorem „Pisma” oraz **Markiem Arcimowiczem**, fotografem National Geographic. Etyczne podróże szyte na miarę.



Biuro podróży alternatywnych

szczegóły na: soultravel.pl

grze terenowej odpowiedziały niemal wyłącznie osoby nowe, skupione w i tak znającym się już środowisku rodzicielskim. Jako animatorka wiem, że należałoby zbadać potrzeby mieszkańców i dowiedzieć się, dlaczego nie przyszli. Ale cieszę się, że mieliśmy świetny spacer w coraz bliższym sobie gronie ludzi i że organizowanie tego wydarzenia nie było częścią mojej pracy zawodowej w odwiedzanym na chwilę miejscu, ale oddolnym działaniem na rzecz bliskich mi wartości i osób.

Mimo to nie czuję, żebym żyła tu w bańce. Przeciwnie – swoje ciepłe bańki i fantazje, że mogłyby być czymś więcej niż gronem przyjaciół lub znajomych, zostawiłam we Wrocławiu i Warszawie. Nadal łączy nas to, że jesteśmy w podobnym wieku, z podobnym wykształceniem, zainteresowaniami, pracą w kulturze i sztuce, wyborami życiowymi, lawirowaniem między dotacjami, dziełami i stypendiami, ba, nawet z dziećmi w zbliżonym wieku (przynajmniej ci, którzy zdecydowali się mieć dzieci). Podobne przekonania, wybory polityczne, podobne problemy, cele i dylematy. Wtedy wydawało mi się oczywiste, że to dobry grunt nie tylko pod przyjaźń, ale też pod budowanie wspólnoty – być do siebie jakoś

podobnymi. Tymczasem po przeprowadzce na wieś mój biotop towarzyski stał się bogatszy, choć zdecydowanie mniej gęsto zaludniony.

W zeszłym roku, w swoje urodziny, pojechałam na sąsiedzką saunę – a saunujemy tu razem regularnie i to nas zbliża, także w sposobie załatwiania codziennych spraw. Bo żeby dobrze czuć się w saunie, potrzeba chyba tego samego, co potrzebne jest w intymności – zaufania, otwartości, rozluźnienia i dania sobie prawa do przyjemności. W oparach eukaliptusa i amolu zaczęłam rozmowę o wieku. Akurat wtedy byliśmy tylko w kobiecym gronie. Siedziałam tam z dziesięcioma sąsiadkami, koleżankami, kobietami, z którymi łączyło mnie współzamieszkiwanie Pogórza, a różniło niemal wszystko inne. Choćby wiek – byliśmy w tej saunie z czterech różnych dekad: dwudziesto-, trzydziesto-, czterdziesto- i pięćdziesięciolatki. Z dorosłymi dziećmi, z małymi dziećmi, bez dzieci. Pracujące umysłowo, artystycznie, duchowo i fizycznie. Z wykształceniem formalnym i (lub) mądrością życiową i (lub) wieloletnim doświadczeniem. Rozwijające się przez kursy, książki i studia oraz przez pracę fizyczną, intelektualną, artystyczną, pracę z ciałem czy śpiewanie mantr. Mieszkające w tej okolicy od lat dwudziestu lub od sześciu miesięcy. Pochodzące z różnych stron Polski. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek odbyła równie ciekawą i nieoczywistą rozmowę o kobiecości i feminizmie jak wtedy, w tamtym gronie w saunie.

W LIPCU 2022 ROKU, w pierwszym tygodniu naszego mieszkania na wsi, w moim mieście gminnym lokalne stowarzyszenie zorganizowało kilkudniowe darmowe warsztaty dla mieszkańców i mieszkanki z okolicy. Do wyboru były cztery tematy – ceramika, tkactwo, budownictwo naturalne i żywność. Zapisalam się na żywność. We Wrocławiu mieliśmy ogródek działkowy, ale moja praca w nim ograniczała się do pielenia raz do roku, zbierania wiśni w lipcu i podlania od czasu do czasu dziko rozrastających się pomidorów. Wyprowadzając się na wieś, nie planowałam – i do dziś nie planuję – na serio zajmować się produkcją żywności. Jednak jest dla mnie ważne, że w okolicy mieszkają osoby, które to robią, i że mogę korzystać z ich wiedzy i pracy. Daje mi to nie tylko poczucie połączenia, ale też pewien rodzaj bezpieczeństwa, gdy raz w tygodniu mogę kupić chleb od sąsiadki, pojechać na targ po kiszoną w beczce kapustę i lokalną mąkę albo nieoczekiwanie dostać w sezonie olej z dziurawca lub wielką dynię „bo nam obrodziły, to masz”.

Ja tymczasem przeprowadziłam się na wieś, nie wiedząc podstawowych rzeczy – na przykład jak sensownie założyć kompostownik czy zrobić grządkę, choćby na zioła. Chodziłam więc przez kilka dni

na popołudniowy kurs, aby nauczyć się czegoś nowego i użytecznego. Stowarzyszenie ISERIS założyły osoby, które po doświadczeniu współtworzenia Osady Twórców pod Łodzią wybrały do życia Pogórze Izerskie. Permakultura, rzemiosło i naturalne budownictwo to dla mnie pojęcia teoretyczne, dla nich – podstawowe kierunki rozwoju zawodowego i życiowego. W kolejnym tygodniu poszłam po spróchniałe drewno do lasu, po kartony do sklepu i po obornik do sąsiada. Założyłam swój pierwszy kompostownik, już wiedząc, jak ważna dla jego żywotności jest proporcja węgla i azotu. Podobnie jak w żywym sąsiedztwie proporcja między byciem dla siebie i byciem z innymi – dbanie o własne zasoby, ale pozostawanie w kontakcie i wymianie: informacji, pomocy, obecności, umiejętności, rzeczy, plonów, doświadczeń.

Miesiąc później dołączyłam do stowarzyszenia, które nauczyło mnie robić kompost. Przez większość życia zawodowego byłam związana z organizacjami pozarządowymi, a dopiero teraz poczułam, że mieszkając we wspólnej krainie, sama mogę stać się beneficjentką działań, które tu podejmuję, a które realnie wpłyną na jakość mojego życia. Także inicjatyw oddolnych, nieformalnych, opartych na wspólnej, organicznej potrzebie. Takich jak ta, z której wyrosło nieprzedszkole.

MAMY WOKÓŁ SIEBIE rodziny kierujące się podobną chęcią życia w bliskości ze swoimi dziećmi, a przy tym budowania codzienności, w której dzieci rozpoznają inne osoby – dorosłych i niedorosłych – i same są rozpoznawane. Pamiętam, gdy byliśmy na jednym z leśnych spacerów. Obok mnie siedział chłopiec, który nie jest moim synem, ale widujemy się niemal codziennie. Miał trzy lata i katar, więc poprosił mnie o pomoc w wydmuchaniu nosa, bo byłam akurat najbliżej. Nie wołał mamy, która szła nieco dalej z przodu. Byłam dla niego wystarczająco znajomą i wspierającą dorosłą. Byłam dla niego częścią wioski.

Nie miałam gotowości ani zasobów, aby próbować zmieniać system publiczny, w którym obowiązują kary i nagrody, podział na grzeczne i niegrzecznych, dominuje przeświadczenie, że lepiej nie płakać i nie grymasić, gdzie nauka odbywa się przez rozwiązywanie zadań według klucza, a wyjście na dwór zdarza się wyłącznie przy ładnej pogodzie i co najwyżej na plac zabaw mający odpowiednie atesty. Nasze dzieci nazwały nieprzedszkole „Muchomorkiem”, współtworzymy je w siedem rodzin, w których jest dziewięć dzieci w wieku od dwóch i pół do pięciu lat. Nie ma właściciela ani dyrektorki, nie ma nawet osoby koordynującej, nie ma też subwencji ani podstawy programowej. O wszystkim decydujemy wspólnie i dzielimy odpowiedzialność, rotacyjnie gotujemy dzieciom zupy, zrzucamy



się na niezbędne opłaty, bazę zorganizowaliśmy w jednym z ogrodów, przynosząc z domów sprzęty, książki, pomoce i zabawki.

To nie był i nadal nie jest prosty proces, wymaga mnóstwa czasu i energii; jest przywilejem, bo w ogóle możemy sobie na niego pozwolić. Teraz rozhułana już inicjatywa działa od poniedziałku do piątku od 9 do 15, co i tak wyklucza się z pełnoetatową pracą obojga rodziców. Jest luksusem dla wybranych, a to smutne. Bo chodziło nam tylko o to, że liczenia można uczyć się na szyszkach w lesie, nawet gdy siąpi deszcz, że istotniejsze od dodatkowych zajęć z robotyki jest według nas wspólne budowanie szafasu i rozpoznawanie, czego się potrzebuje, co się czuje, nazywanie tego i znajdowanie swojego bezpiecznego miejsca wśród innych. Że wspólne jedzenie może być wegetariańskie i bez cukru, że urodzin nie trzeba celebrować wielobarwnym tortem, a świąt jasełkami, że nie trzeba pod koniec przedszkolnego dnia puszczać zmęczonym dzieciom bajek, w których dzieje się zbyt dużo i głośno. Że nie trzeba chłonać wiedzy efektywnie i mierzalnie, że gdy pojawia się smutek, to można go nazwać, a gdy konflikt – można usiąść i wspólnie poszukać rozwiązania.

Tak o tym opowiadaliśmy, a wtedy system wysoko uniósł brwi i zmierzył nas z góry na dół, wycofaliśmy się więc, aby spróbować samodzielnie stworzyć dla siebie alternatywę. W gronie tych rodzin – a przewinęło się ich przez przedszkole kilkanaście – różnie mieszkamy, różnie zarabiamy, mamy różne układy rodzinne, wykształcenie, pochodzenie, w różne rzeczy wierzymy. Mamy także odmienne przekonania dotyczące szczenięcia dzieci.

– Helena jest zaszczepiona? Tak mi przykro – w słowach sąsiadki usłyszałam szczere współczucie. Kiedyś wydawało mi się to barierą nie do przejścia. Teraz widzę, że mogę zostać przy swoich wyborach i przekonaniach, a przy tym intensywnie współpracować i czuć się blisko na co dzień z kimś, kto ma w tej sprawie inne poglądy. Ważne, że łączy nas wspólnota autentycznej potrzeby i jasno nazwanego celu. O wiele istotniejsza niż kwestia szczepień czy gotowość do płacenia za przedszkole połowy średniej krajowej (co podzieliłoby nas natychmiast) jest dla jakości nieprzedszkola zgoda na to, aby dzieci mogły bawić się w błocie, współdecydować i płakać, gdy im smutno.

Ale nie wiem, co będzie dalej. Czy starczy nam zasobów, aby później organizować edukację domową, czy jednak system się uelastyczni? Czy może skorzystamy ze szkoły demokratycznej, która znajduje się kilka kilometrów za granicą i zajęcia w niej prowadzone są po cieszku? Niektórzy sąsiedzi wożą starsze dzieci do szkoły do miasta, 35 kilometrów w jedną stronę, codziennie. Mam jednak pewność, że tego bym nie chciała.

—
MOJE ŻYCIE TUTAJ rozciąga się na ogarnialnym umysłem obszarze – z Wolimierza do Kopańca jest 27 kilometrów. Między nimi Gierczyn, Gajówka, Janice, Kwieciszowice, Antoniów. Gdy wymieniam te nazwy, przed oczami rysuje mi się sieć dróg i połączeń – jak lampki zapalają się punkty oznaczające, kto gdzie mieszka, co mogę zrobić, jadąc po drodze, kogo odwiedzić. Po sześciu miesiącach przestałam używać na Pogórze GPS-a. W samochodzie, w zależności od pory roku, wożę baniaki na źródlaną wodę, kalosze, śpiwór, latarkę, ręczniki do sauny lub nad zalew. Odległość 20 kilometrów, żeby pojechać na koncert, ognisko, spotkanie, rzadko wydaje mi się zbyt duża. Jadę przez wioski, mijam pola i pastwiska, uważam na dziury w jezdni oraz na przebiegające drogi koty i sarny. Do najbliższego skrzyżowania ze światłami mam ponad 15 kilometrów i to w przeciwnym kierunku, niż zwykle wybieram. Nie ma korków (ale trzeba uważać na zakrętach), nie ma billboardów, za to za Rębiszowem widać już Karkonosze. Po drodze oddam wkrętarke Tomkowi, odbiorę chleb od Róży albo szafkę ze „śmieciarki izerskiej”, którą prowadzi Krzysiek. Podwożę Madzię, przekażę dziecięce ubranka Julii, zatrzymam się w Antoniowie po wodę. Zrobiłam te kilometry, spaliłam gaz. Doświadczam tego jednak inaczej, niż gdy jadę z Białołęki na Wilanów, choć to ta sama odległość.

Ale. Niedawno Helena miała pierwszy wypadek – skaleczyła się w brodę, rana była dość duża i głęboka. Jechaliśmy z nią do szpitala 40 kilometrów. Mogliśmy otrzymać pierwszą pomoc bliżej i szybciej, jednak chirurgia dziecięca jest tylko tam. Zapamiętałam na długo słowa sąsiada: – Gdybyście kiedyś potrzebowali wezwać karetkę, to tutaj robimy tak, że ją wzywasz, ustalasz trasę, po czym wyjeżdżasz jej naprzeciw. – Bo ona jedzie z dość daleka. Po Warszawie chodziłam, jeździłam rowerem, przebiegałam z tramwaju do autobusu. Mieszkając w mojej wsi, wszędzie i po wszystko jeżdżę samochodem. Naprawdę niewiele spraw mogę załatwić pieszo w towarzystwie pięciolatki – odwiedzić najbliższych sąsiadów, pojechać rowerem na plac zabaw, dojść do przedszkola. Ale wizyty u znajomych dzieci, angielski w pobliskim mieście, wizyta u lekarza, zakupy na targu czy w markecie... – Bez samochodu nie ma życia – powiedział inny sąsiad, i to jest cena.

—
JEŚLI MAM PRZED SOBĄ kilkudniowy wyjazd, zaczynam zarządzać zasobami – komu zostawić samochód, a komu dom. Żeby nie stały bezużytecznie, ale też żeby były pod opieką. Jeśli auta nikt akurat nie potrzebuje (a wystarczy, że własne ma w warsztacie), próbuję zabrać kogoś ze sobą – więc ogłaszam się na lokalnej grupie do wspólnych przejazdów. Bo że na krótkich dystansach podrzuca

W samochodzie, w zależności od pory roku, wożę baniaki na źródlaną wodę, kalosze, śpiwór, latarkę, ręczniki do sauny lub nad jezioro.

się osoby idące wzdłuż drogi, to tutaj powszechne, a gdy zaczyna śnieg z deszczem – wręcz oczywiste. Zimą zdarza się jednak, że sama nie mogę wyjechać, bo drogi gminne i powiatowe nie widziały pługa ni piaskarki. Wtedy przeglądam zapasy z myślą o jedzeniu na parę dni do przodu, skoro wiem, że nieprędko pojadę do większego sklepu. To właśnie mieści się w pozornie gładkim haśle „życie blisko natury”. Podobnie jak myślenie wiosną o drewnie opałowym na zimę, zdziwienie własnym cieniem rzucanym w pełnię księżyca, zbieranie kwiatów lipy, dziurawca i wierzbowki, wieczne brudne auto i buty, żmija obok piaskownicy, kompost, który jednak zaczyna gnić, plamy po zabijanych komarach na ścianach, ślimaki wchodzące latem do domu przez otwarte okno tarasowe, popiół syjący się zimą z pieca na podłogę, zamrożona woda i zamek w drzwiach, rozpalanie zimnego pieca o poranku, odgłosy polowania, ptak ogłuszony uderzeniem w szybę i sarna zlizująca sól drogową z nadkoli zaparkowanego przed domem auta.

JESIENIĄ, PO JEDENASTU latach wspólnego życia, umarł mój pies Cukier. Umarł w domu. Mieszkając na swojej ziemi, miałam ten przywilej, że mogłam wykopać dla niego symboliczny grób pod własną brzošką. Kopanie grobu, nawet płytkiego, ma głęboki sens, bo wysiłek pozwala wydobyć z siebie te wszystkie emocje, z którymi nie wiadomo co zrobić, i przekuć je w działanie. Kopałam mały grób, a i tak była to praca męcząca – bo warstwa darni, bo tępy szpadel, bo kamienie, glina i skała. Łzy mieszały się z potem. Minęło kilka miesięcy, brzoška już puściła soki, zaraz wypuści liście.

To wszystko nie zawsze jest piękne, ale przynajmniej pełne, a przy tym wymaga uczenia się, świadomości i zaangażowania, także ciała. Na razie ów wachlarz doświadczeń – także tych przykrych czy uciążliwych – daje mi poczucie, że jestem w życiu na nowej planszy, na której chcę zdobywać nowe umiejętności i trochę przypominać sobie te utracone. Czy mnie to zmęczy, pokona, znuży – dowiem się pewnie za parę lat. A może szybciej? Teraz nie wyobrażam sobie, że miałabym mierzyć się z tym wszystkim samodzielnie, jako jedyna „pani z Warszawy”, samotna i wyizolowana, o której cała wieś wie, że jest tu nowa, i wszyscy patrzą, jak sobie radzi. Tym, co mi zdrowo bilansuje ten ziemski, fizjologiczny i materialny dyskomfort odśnieżania auta, mierzenia się z awarią hydrauliczną, noszenia na sobie trzech warstw wełny o poranku, zakładania kaloszy do pizamy, gdy trzeba wyjść i wysypać popiołem oblodzoną ścieżkę, czy konfrontowania się z własną ignorancją dotyczącą kupowania drewna na opał – jest społeczność. Nie jestem jedyną osobą, która to wybiera, która tego chce, mam tu zrozumienie, a jeśli trzeba – pomoc, wiedzę,

kontakt, wsparcie i wyrozumiałość dla mojego uczenia się życia na wsi i czerpania z niego w pełni.

Przed wyprowadzką nie miałam wiedzy przygotowującej do życia bliżej natury – o tym, jak gospodarować deszczówką, czym grzać, co i kiedy zbierać na łące, jak siać, kompostować i z desek zbić sobie ławkę. Potrzebę nadal mam, więc tego lata współorganizuję ze stowarzyszeniem ISERIS, w którym nauczyłam się zakładać kompost, „kurs na wieś”. Wymyśliłyśmy go tak, jakbyśmy robiły to dla nas samych sprzed kilku lat. Migracja z miasta wymaga wiedzy i zasobów, wiąże się z ryzykiem, choć jest także przywilejem. Wymaga elastyczności, odporności, dobrego pomysłu na formę zamieszkania i na pracę zarobkową. Obecnie, żeby zarobić pieniądze, najczęściej wyjeżdżam. Mieszkam tu z wyboru, chciałabym być ciągle na miejscu, a jednak często mnie nie ma, w dodatku wszędzie mam daleko. Zostawiam auto na parkingu dworca w Jeleniej Górze i coraz częściej jeżdżę pociągami z wagonem sypialnym. To konsekwencja wyboru, którą może i przemyslałam wcześniej, ale dopiero teraz ją odczuwam.

*Gdy
wyobrażam
sobie sierpień
w centrum
Warszawy
albo na rynku
w Kielcach,
to zamiast
wpadać
w panikę, czuję
ulgę – że choć
do miasta
mam daleko,
to do lasu
jednak dwa
kroki.*

JESTEM NA POGRANICZU, nieoczywistym dla mnie, bo zachodnim. Choć dotychczas bliżej mi było na wschód, teraz na grzyby jeżdżę do Czech, a nad jezioro do Niemiec. Przyznam, choć jest mi wstyd – gdy wybuchła wojna w Ukrainie, pomyślałam w strachu: „Jak dobrze, że jesteśmy już na wsi”. Bo „na wsi jest bezpieczniej”, „na wsi nie umiera się z głodu”, „jak dobrze, że zachód”. Nikt raczej nie spuści bomby na Mirsk, mamy swoją studnię i 5 kilometrów do zachodniej granicy. Naiwne, ale tak właśnie pomyślałam. Ta wschodnia granica, którą kiedyś dla siebie oswoiłam, stała się – po kryzysie humanitarnym na granicy, po wybuchu wojny – wyzwaniem i mrokiem, z którymi nie miałabym siły konfrontować się w codziennym życiu.

Inaczej, choć podobnie, koję tu strachy związane z klimatem. Gdy wyobrażam sobie sierpień w centrum Warszawy albo na rynku w Kielcach, to zamiast wpadać w panikę, czuję ulgę – że choć do miasta mam daleko, to do lasu jednak dwa kroki. Że choć tutaj też widzę suszę i ocieplenie, to żyję z drzewami, wśród traw i mokradł, i że nawet jeśli zimą przywieje brunatny dym z komina od sąsiadów, to tylko na chwilę. Może się oszukuję, bo betonoza dotarła do Świeradowa, Kwisą płyną ścieki, a studnie trzeba wiercić coraz głębsze. Ale gdy myślę o *blackoucie*, wojnie lub ociepleniu klimatu, gdy myślę o przyszłości swojej i Heleny, gdy mam wskazać, co teraz podnosi moją jakość życia, a więc czyni je pełniejszym, niekoniecznie wygodniejszym – to nadal trzymam kurs na wieś. Głównie dlatego, że w tej, którą wybrałam, choć nadal jestem osobna, doświadczam bycia częścią większej, żywej całości.



Więcej historii osobistych przeczytasz lub wysłuchasz na magazynpismo.pl/historia-osobista

Opowieść o nękanii, stalkerach i ich ofercie.
O jasnowidzeniu, manipulacji, oszustwach
i zagmatwanych relacjach rodzinnych.
I o walce o prawo do własnego, spokojnego życia.



Śledztwo
Pisma.

SEZON 5



Słuchaj piątego sezonu Śledztwa Pisma
tydzień po tygodniu na magazynpismo.pl
i w aplikacji Audioteki.

PRODUCENT:

Pismo
MAGAZYN OPINII

PARTNER STRATEGICZNY:

 **audioteka**

AUTORKI:

Torba Reportera



Ziemia bez nazwy

tekst FILIP SPRINGER

—

ŁODOWIEC ZAKŁÓCIŁ TU nie tylko układ warstw geologicznych, ale też logikę dziejów. Zostawił pobożowisko, w którym nie sposób się nie pogubić.

Jak uchwycić początek tego wszystkiego? Pod koniec lutego stoję na brzegu wielkiej dziury, jej przeciwległa krawędź niknie w przymglonej dali, poznaczonej na horyzoncie kopącymi kominami elektrowni. Przed moimi oczami rozciąga się połać ziemi przeoranej pazurami wielkich, górniczych kombajnów. Jeden z nich wlecze swe cielsko z cichym pomrukiem. Taśmociągi transportują węgiel brunatny. Maszyna jest wielka, ale nie sposób ocenić, jak bardzo – próżno szukać punktów odniesienia w ludzkiej skali. Wszystko jest tu niehumanitarne, a najbardziej cel tego wszystkiego.

Aż się po głowie kołaczę muzyką z *Diuny* Denisa Villeneuve’a.

Za moimi plecami rozciąga się największa morena Europy. Czuję niemal jej napór, jakby składające się na nią wały ziemi spiętrzone przez jeden lodowiec, a później starte przez kolejne, miały mnie zepchnąć ze skarpy, na której stoję.

Czy tutaj jest ten początek? Nie – to raczej koniec. Trzeba jednak cofnąć się w czasie, by objąć rozumem ten związek przyczynowo-skutkowy.

—

WŁAŚCICIEL PENSJONATU, w którym się zatrzymuję, łypie na mnie podejrzliwie. Ja na niego również. Na zdjęciach miejsce wyglądało trochę lepiej. No, ale wyboru nie ma – nigdzie nie mogę stąd iść, chyba że do lasu. Przez chwilę rozmyślam o śpiworze schowanym przezornie w bagażniku samochodu.

– Turysta? – sonduje niepewnie, mieszając mopem w wiadrze. Patrzy na przewieszony przez moje ramię aparat.

– Dziennikarz – odpowiadam. Mop opada na dno wiadra z pluskiem.

– Z ludźmi będzie pan gadał?

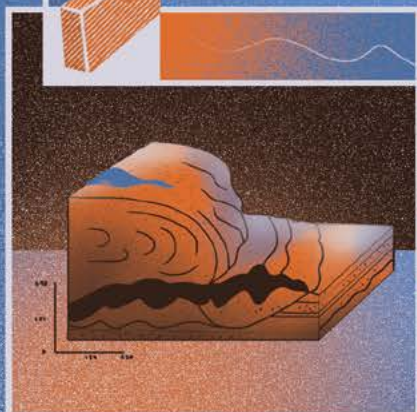
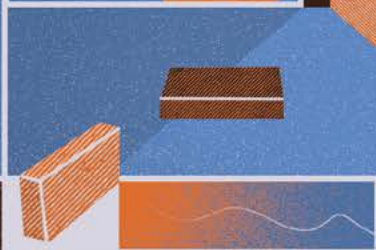
– Raczej ze skałami.

Pada, ale i tak wskakuję na rower – chcę złapać ostatnie godziny dziennego światła. Przelatuję przez zasnute węglowym dymem miasteczko, tylko w okolicach targowiska jest tu jeszcze jakiś ruch. Stacja benzynowa przy obwodnicy wygląda na opuszczoną, ale gdy się do niej zbliżam, z blaszanej budy wychodzi jakiś mężczyzna i bacznie mi się przygląda. Za poprowadzonym pod szosą przepustem kończy się zabudowa, a zaczyna las – sosnowa monokultura porastająca

pofałdowany teren. Chwilę później stoję na brzegu niewielkiego jeziora. Suche pnie tkwią korzeniami w pomarańczowym błocie, inne leżą w wodzie. Martwy las zalany wodami o barwie ciemnego koniaku. Jezioro jak większość w okolicy ma podłużny, wrzecionowaty kształt.

Tutaj wszystko się komplikuje. Bo jezioro nie powstało naturalnie. Wcześniej była tu kopalnia, jedna z sześćdziesięciu, które działały w regionie. Węgiel zaczęto wydobywać w 1921 roku, skończono pół wieku później. Pracowano metodą głębinową: kopano tunele i komory, z których wybierano urobek. Gdy złożę się kończyło, likwidowano podziemne obudowy i wycofywano się. Niezabezpieczone chodniki zapadały się, a na powierzchni ziemi powstawały podłużne niecki, które z czasem wypełniły się wodą. Ale to, co znajdowało się pod ziemią, nie dawało o sobie zapomnieć. Złożom węgla towarzyszą często związki żelaza i siarki. Mieszają się one z wodami opadowymi, zabarwiają jeziora, zakwaszają wodę. Niektóre ze zbiorników mają kwasowość porównywalną z sokiem pomidorowym.

„W miejscach intensywnie zagospodarowanych wypełnione kwaśną wodą niecki zapadliskowe są dużym zagrożeniem dla słodkich wód podziemnych i powierzchniowych – czytamy na tablicy informacyjnej



01

ustawionej przy martwym lesie. – Ich krajobraz jest wtedy przykładem negatywnego wpływu górnictwa na środowisko przyrodnicze”.

„Wtedy” – dobre sobie.

ZACZĘŁO SIĘ 25 milionów lat temu. Na podmokłej, bagnistej nizinie odkładały się szczątki organiczne, które w wilgotnych, beztlenowych warunkach przekształcały się w torf. Jego warstwa wolno, ale systematycznie przyrastała. Milimetr na rok. Centymetr na dekadę. Metr na milenium. Z czasem zmieniły się warunki, klimat stał się suchy, a geologiczne młyny miały dalej. Ten wielki płaszcz torfu mający miejscami grubość 120 metrów został przykryty innymi osadami. Ich warstwa była coraz grubsza i cięższa. Sprasowany torf przekształcał się w węgiel brunatny. I byłby pewnie trwał pod ziemią dłużej, a w końcu skamieniał zupełnie, gdyby nie to, co wydarzyło się tutaj 340 tysięcy lat temu.

To była ściana lodu. Wysoka na 400–500 metrów, długa i szeroka na 20 kilometrów. Lodowy jezior, który wysunął się na południe z ogromnego, zajmującego dużą część półkuli północnej lądolodu i przeorał tę ziemię na głębokość 300 metrów. Pod jego naporem na powierzchnię zostały wydobyte głębiej położone pokłady, w tym węgiel. Ziemia sfałdowała się od idącego z północy nacisku zimnego cielska. W ten sposób powstały gizery – niewielkie dolinki ciągnące się setkami metrów, a czasem kilometrami, dzięki którym można odtworzyć kształt lodowego jeziora, bo ich przebieg jest równoległy do jego czoła. Topniejący lodowiec zasypał to wszystko grubą warstwą piachu, gliny i skał przywleczonych tu z ziem, które dziś nazywamy Skandynawią. Ale nie był jedynym, lecz jednym z wielu.

W ciągu ostatnich 2,6 miliona lat ta część Europy zaliczyła aż pięćdziesiąt zlodowaceń. Lodowce pojawiały się i znikły średnio co 50 tysięcy lat. Do czasu opisanego antropogenicznych zmian klimatu można było zakładać, że ten glacialny zegar jest nie do zatrzymania, a my po prostu rozwinęliśmy naszą cywilizację pomiędzy dwoma zlodowaceniami. Dziś musimy się godzić z myślą, że być może udało nam się ten mechanizm skutecznie zatrzymać, a przynajmniej

znacząco spowolnić. Tak czy inaczej lądolody, które przeczołgały się przez te tereny później, starły to, co naniósł tamten lodowy jezior. Nie zdołały jednak zatrzeć najtrwalszych efektów tamtego epizodu – wyciśniętego z głębin węgla, który wylał na dnie fałdek zmarszczonej od nacisku ziemi. W ten sposób na powierzchni przetrwał szeroki na 20 kilometrów, podkowiasty negatyw tamtego liżnięcia.

BRZEGI NAJWIĘKSZEGO z pokopalnianych jezior są wysokie i strome. Nie tylko one powstały przy udziale człowieka. Las, który tu rośnie, zasadzono dla niepoznaki, ma trzymać wszystko w ryzach. Ziemia pod moimi stopami to po prostu nadkład – materiał wygrzebany przez górników, gdy zdecydowali się wreszcie pracować metodą odkrywkową. Już nie żadne tam tunele i komory, a po prostu wielka dziura w ziemi.

*Przez jakąś wyrwę w blasze falistej
wydostają się na zewnątrz i stoją
na brzegu rzeki. Nieopodal jest
most kolejowy. Ruszam w jego
stronę, stoję na środku równej jak
stół drogi rowerowej. Przez chwilę
patrzę z mostu na oba brzegi rzeki.*

Zaczęli w 1964 roku, dziewięć lat później było po sprawie. Wybrali 1,1 miliona ton. Ten węgiel powstawał tu kilkanaście milionów lat. Z torfu, który wcześniej przyrastał ponad sto tysięcy lat. Człowiek wszystko to wybrał i spalił w niecałą dekadę.

Geologia nigdzie nie daje tu o sobie zapomnieć. Nadkład wygrzebany z głębi ziemi jest podatny na erozję. To drobny materiał, woda łatwo w nim żłobi. Przy byle ulewie jej strużki wgryzają się w miękkie skarpy otaczające jeziora i wypłukują materiał. Powstają wąwozy, wąwoziki, grzędy o fantastycznych, pazurujących kształtach. Nie mogę oderwać od tych form wzroku, nie przestaję fotografować. W warstwach odsłoniętej ziemi widzę polodowcowe głązy, wydobyte spod ziemi minerały i małe intruzje gliniastego, aksamitnego w dotyku węgla.

Mijam wieżę widokową, wzniesioną tu przez Lasy Państwowe, i kawałek dalej docieram do źródłiska. To miejsce, w którym podziemne wody kopalniane wydobywają się na powierzchnię. Są silnie zmineralizowane. Gdy łapią kontakt z powietrzem, wytrącają się z nich związki żelaza i wapnia. Używają tu też bakterie żelaziste. Są otwartym laboratorium geochemicznym. Brodząc w wodzie wydobywającej się z nieczynnych chodników i czując pod stopami łupkową skałę.

Kilkaset metrów dalej odnajduję kolejne, mniejsze już jezioro. Woda znacznie w nim opadła, jej lustro jest otoczone szerokim pasem pomarańczowych plaż. Ich powierzchnia jest plastyczna, przygotowane na grząski grunt stopy zapadają się w nim nieznacznie. Przez chwilę krążę po tych dziwnych brzegach, aż w pewnym momencie zwracam uwagę na zwierzęce tropy. W pomarańczowym błocie odcisnięte są racice saren, tropy lisa, dzika i jakiejś leśnej drobnicy. Wszystkie biegną równoległe do brzegu. Nie znajduję ani jednej ścieżki, która prowadziłaby od linii drzew do wody. A przecież po to zwierzęta przychodzą nad jezioro – aby się napić. Ale nie tutaj. To jezioro jest jedynie przeszkodą, którą trzeba ominąć. Zamykam oczy, zaczynam nasłuchiwać. Dookoła panuje martwa cisza.

PRZYGRANICZNE TARGOWISKO czasy świetności ma dawno za sobą. Żywy jest tylko na brzegach, w środku niemal zupełnie martwe. Mijam nieliczne, otwarte stoiska – *Zigaretten*, psie budy, gipsowe figury, *Obst und Gemüse*. Polskie produkty sprzedawane przez Ukraińców, Ormian, Kazachów i bóg wie, kogo jeszcze. Za nimi wpadam w labirynt pustych uliczek między zdezelowanymi, blaszanymi pawilonami. Na chodnikach walają się śmieci, przez brudne szyby zaglądam do opuszczonych zakładów fryzjerskich, butików i barów. Przez jakąś wyrwę w blasze falistej wydostają się na zewnątrz i stoją na brzegu rzeki. Nieopodal jest most kolejowy. Ruszam w jego stronę. Wspinam się po stromym nasypie wynoszącym dawną linię kolejową ponad podmokłą rzeczną dolinę i stoję na środku równej jak stół drogi rowerowej. Przez chwilę patrzę z mostu

na oba brzegi rzeki. Z prawej strony dogasające targowisko, z lewej stojące w równym rzędzie eleganckie wille, przysłonięte szpalerem przedwcześnie pączkujących kasztanowców. Tak stereotypowo, że szkoda gadać.

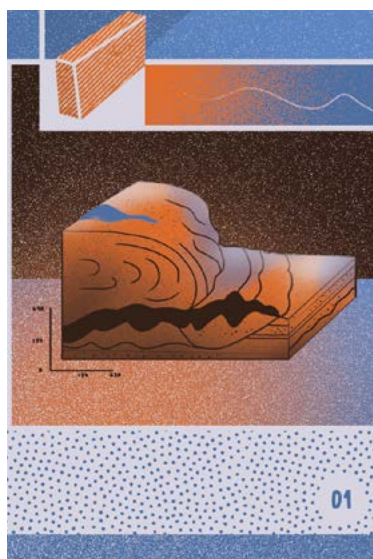
Ta linia kolejowa, która powstała w 1897 roku, miała właściwie jedno zadanie. Trzeba było połączyć wydobywające węgiel kopalnie z innymi powstającymi w okolicy zakładami. Bo przecież lodowiec wycisnął na powierzchnię nie tylko węgiel, lecz także doskonale do produkcji szkła piaski kwarcowe i pożądane w produkcji klinkieru glinki. Od połowy XIX wieku w okolicach działało kilkadziesiąt dachówczarni, szamotowni, kamionkarni, hut szkła i cegielni. Dzisiaj po większości z nich nie ma śladu. Niedaleko miasteczka, zaraz przy nieczynnej linii kolejowej przekształconej w szlak rowerowy, odnajduję w lesie ruiny elektrowni – dowód na to, że okolica tętniła niegdyś życiem. Teraz betonowy szkielet głównego bloku sterczy z rozgrzebanego, ceglanego pobojuwiska. Wygląda jak Stonehenge wczesnego industrialu. Dalej znajduje się wioska, w której działała jedna z największych na tym terenie cegielni. Pod koniec lat 80., gdy wybrano całą dostępną glinę, budynki po prostu rozebrano, a gruzu zepchnięto do jednego z wyrobisk.

Jadę kilkanaście kilometrów na północ, by zgubić się w płataninie grobli między zalanyymi wyrobiskami. Szutrowa ścieżka pociągnięta dawnym nasypem kolejowym z chrzęstem prowadzi mnie do serca dawnego klinkierowego zagłębia, od drugiej połowy XIX wieku znanego w całych Prusach. Próbuję sobie wyobrazić, jak to wyglądało, ale jestem coraz bardziej bezradny. Rozdźwięk między tym, co było, a tym, co jest, wydaje się zbyt duży. Jakby całe to przemysłowe szaleństwo, które trwało ponad wiek, wydarzyło się w innej czasoprzestrzeni. Na pomazanej i lekko zniszczonej tablicy informacyjnej przy skraju wioski znajduję cytaty z lokalnej „Forster Tageblatt” z lat 30.:

Starannie opakowane cegły ostrożnie ładowane są na wagony. Tak nie postępuje się z normalnymi ceglami. To musi być szczególny towar. I tak jest w rzeczywistości. Olbrzymia elektrownia berlińska Klingenberg zbudowana została z tutejszych cegieł. Jej mury wymagają szlachetnego materiału,

aby spełnić stawiane im wysokie wymagania. (...) Klinkier (...) odbywa długą podróż koleją, starannie opakowany słomą, aby nie ulec uszkodzeniu. Pozyskanie odpowiedniej ilości słomy napotyka aktualnie na duże trudności i powoduje znaczne koszty. Wydatki te trzeba jednak ponieść, bo klinkier jest wyrobem szlachetnym, który zasługuje na szczególne traktowanie”.

Teraz ten szlachetny wyrób wala mi się pod nogami.



— MÓWIONO, ŻE MURY zbudowane z tutejszych cegieł żyją. Wszystko przez to, że niemal od samego początku używano tu nowoczesnych jak na tamte czasy pieców kręgowych Hoffmanna. To był wynalazek, który produkcję cegieł pozwolił przenieść na wyższy, przemysłowy poziom. Powstał niedaleko stąd, kilkadziesiąt kilometrów na południe. W 1858 roku radca budowlany Friedrich Hoffmann, sfrustrowany jakością materiału, z jakim przyszło mu pracować na budowach, zaczął sam eksperymentować z technologią wypału cegieł. Skonstruował więc piec o półkolistym sklepieniu, którego rewolucyjność polegała na tym, że nie trzeba było go wygaszać, by po wypaleniu partii cegieł załadować go nowym materiałem. Dzięki temu łatwiej było utrzymać w takim piecu stałą temperaturę, więc dawał bardziej przewidywalne wyniki – wcześniej cegły z kolejnego wypału miały nieco inną

jakość. W piecach Hoffmanna udało się to ujednolicić. Znakiem rozpoznawczym cegieł wyjeżdżających z takich pieców była zróżnicowana paleta barw. Wynikało to z faktu, że temperatura wewnątrz pieca rozkładała się nierównomiernie i wybarwiała cegły na delikatnie różniące się między sobą odcienie. To właśnie dlatego ludzie mówili, że wzniesione z nich mury żyją.

„Cegła przechowuje ciepło tak samo, jak przechowuje historię” – pisał William Hall w wydanym kilka lat temu monumentalnym tomiszczyku *Brick (Cegła)*. Trudno znaleźć materiał budowlany, który tak wnikliwie zamkładałby geologię w ludzkiej skali. Od samego początku cegły były bowiem próbą przeobrażenia skały w coś, co da się wziąć do ręki. Ich rozmiar niemal zawsze wynikał z pomiarów służących ułatwieniu pracy murarza. Wziąć w dłoń, chlapanąć zaprawą, położyć. Powtórzyć czynność.

Dłonie są tu ważne. Nie myślimy o tym zbyt często, patrząc na ceglane budynki. Ale nie było innego sposobu, trzeba było je wzniesić dzięki pracy dłoni. Cegła po cegle, aż po te klinkierowe fiu-bǫdzdu, którymi wieńczyli tutaj szczyty domów, mijane teraz przeze mnie w rowerowym pędzie. Co więcej, te miliony cegieł produkowanych w okolicy przez ponad wiek powstały również z myślą o czyichś rękach. Gdy tak na to spojrzeć, ceglany mur jawi się jako przejmujący zapis czyjegoś istnienia. I nawet desperacko próbując uniknąć romantyzacji pracy murarza, nie sposób nie podejrzewać go choćby o krótkie stany medytacji, jakich musiał doświadczać, wznosząc mur. „Ręka jest oknem wychodzącym na umysł” – twierdził Immanuel Kant.

Jak nad tym dłużej pomyśleć, to dopiero odejście od cegieł na rzecz żelbetu pozwoliło zacząć masowo wznosić budynki, które przekraczają ludzką skalę. „Wyszlifujmy z manualności. Dobry murarz wznosi mur nie tylko za pomocą sznurka czy poziomicy, ale i wzroku – mówił architekt Stanisław Niemczyk, gdy o cegły zaczęła go wypyttywać reporterka Dorota Braunsch, pisząca swoje *Domy bezdomne*. – Bo murowanie z cegły to nie jest beznamietne układanie klocków. To umiejętność szlifowana przez lata – skoordynowany ruch, praca rąk, oczu, balansowanie na rusztowaniu. (...) W murze wzniesionym

przez dobrego rzemieślnika zawarte jest całe piękno jego pracy”.

—
NASTĘPNEGO DNIA robię sobie przerwę od roweru i postanawiam iść na długi spacer. Akurat przyszło duże ochłodzenie, są raptem 4 stopnie na plusie, a wisząca w powietrzu wilgoć przydusza snujący się z okolicznych kominów dym do ziemi i potęguje ziąb. Zakładam na siebie wszystko, co udaje mi się wygrzebać z plecaka, i ruszam pieszo.

Wejście do parku znajduje się kilkaset metrów od mojego pensjonatu. Pusto tu. Tylko w oddali słyszę przerywany ryk piły mechanicznej. W koronach огоłoconych z liści buków wariują sikory. Ścieżka przyjemnie chrzęści pod butami. Mijam arkadowy most i docieram do otoczonej drewnianym płotem szkółki sadowniczej. Pobielone wapnem pnie jabłonek świecą w szarzyźnie poranka. Przy niektórych stoją tabliczki z nazwami odmian – brzmią jak obietnice późnego lata i wczesnej, złotej jesieni. Reneta landsberska, bursztówka szlachetna, jabłoni charłamówka. Tu i ówdzie widzę zagłębione w gruncie betonowe i ceglane fragmenty zabudowań. Pośrodku szkółki znajduje się Jezioro Skowronków. Po ukształtowaniu terenu i roślinności odczytuję, że kiedyś musiało być o wiele większe. Woda jednak opadła, wypełnia niewielką powierzchnię na dnie rozległego zagłębienia.

Trochę dalej wpadam w płataninę szutrowych ścieżek, które prowadzą mnie do obowiązkowych punktów niemal każdego angielskiego parku – kamiennego kręgu druidów, pozostałości angielskiego pawilonu, dębowych zagajników i kamiennych ławeczek ustawionych tak, by zawsze można było podziwiać widoki z najlepszego miejsca. Z każdym kolejnym krokiem zaczynam odczytywać zamysł twórcy tego miejsca, przemierzam się pomiędzy starannie zakomponowanymi widokami, raz ciesząc oko ich niewymuszoną harmonią, to znowu zmagając się ze sztucznością tego pejzażu.

—
PIERWSZEGO MAJA 1815 roku hrabia Hermann Ludwig Heinrich von Pückler-Muskau ogłosił swoim krajonom mieszkającym w okolicy, że powstanie tu najwspanialszy w całych

Prusach park angielski. I jeśli chcą wziąć udział w tym dziele, mogą mu po prostu przekazać prawa własności do swoich ziem. Dość osobiwa była to prośba. Przede wszystkim dlatego, że młody Hermann dopiero co stał się tu panem na włościach. Wcześniej majątkiem zarządzał jego ojciec, od niedawna świętej pamięci Erdmann von Pückler. Zapisując swoje dobra synowi, być może liczył na jego usatysfakcjonowanie się. Hermann Ludwig przysparzał bowiem licznych zmarła swoim rodzicom – wiele lat spędził w zakładzie wychowawczym dla trudnej młodzieży, studia prawnicze w Lipsku rzucił krótko po ich rozpoczęciu, potem wstąpił do armii, a następnie został z niej wydalony za hazard i pojedynkowanie się. Teraz jego pasją stała się sztuka ogrodowa.

Trochę dalej wpadam w płataninę szutrowych ścieżek, które prowadzą mnie do obowiązkowych punktów niemal każdego angielskiego parku – kamiennego kręgu druidów, pozostałości angielskiego pawilonu, dębowych zagajników i kamiennych ławeczek.

W Prusach coraz częściej zakładano wówczas parki krajobrazowe na nową, angielską modłę. Pierwsze i najśłynniejsze powstały w Dyhernfurcie [dziś to Brzeg Dolny – przyp. red.] i Buchwaldzie [dziś to Bukowiec – przyp. red.]. Ten pierwszy był oczkiem w głowie Karla Georga von Hoyma, wieloletniego ministra prowincji śląskiej. Ten drugi zaś powstał za sprawą Friedricha Wilhelma von Redena, ojca śląskiego przemysłu i górnictwa. Hrabia von Pückler postanowił nie tylko dołączyć do tego zacnego grona, lecz także przewyższyć dokonania swoich poprzedników. W rozległej rzecznej dolinie, w samym środku tego polodowcowego zakłęcia pejzażu, postanowił stworzyć park, jakiego w Prusach nikt jeszcze nie widział.

Dzięki korzystnemu małżeństwu z Lucie von Hardenberg-Pappenberg zdobył środki na realizację swojego wielkiego planu. W podzięce to właśnie małżonce poświęcił

pierwszy fragment parku – tak zwaną Dolinę Owcy (zwykły swoją ukochaną nazywał mianem „owieczki”, co jest dość dobrą ilustracją tego, jak traktował kobiety; był zresztą znanym w całych Prusach kobieciarzem).

Plany parku rozrastały się z roku na rok, podobnie jak budżet całego przedsięwzięcia. Hrabia wnikliwie studiował naturalny krajobraz i w harmonii z nim projektował kolejne elementy swojego założenia. Podstawową zasadą parku angielskiego jest jednak to, że nie ma on widocznych granic, zlewa się z otaczającym pejzażem – jedno stanowi kontynuację drugiego. Dla Pücklera to była pułapka, trudno mu było bowiem wyznaczyć również granice swojego projektu. Zamówione u słynnego berlińskiego architekta Karla Friedricha Schinkla opracowanie zawiera nie tylko ogromny neoklasycystyczny pałac, ale także Świątynię Wytrwałości, Ogród Pana, Ogród Niebieski, dom angielski, most Dębowy, most Arkadowy, kaplicę grobową, park zdrojowy z pawilonami, park górski, ogród orientalny oraz fundamentalną przebudowę koryta płynącej przez środek tego wszystkiego rzeki.

To dzieło pozostanie nieukończone. W 1826 roku Lucie poprosiła Pücklera o rozwód i wieść niesie, że prośby swej nie motywowała wcale chroniczną niewiernością męża, a raczej troską o to, by ten, ponownie wolny, mógł sobie poszukać majątnej żony, gotowej finansować jego parkowe plany. Osiem lat później Pückler wydał *Andeutungen über Landschaftsgärtnerei* (Szkice o ogrodnictwie krajobrazowym) – książkę, która stała się jednym z najważniejszych dzieł poświęconych sztuce ogrodnictwa w XIX wieku. A potem wyjechał w sześciolletnią podróż po krajach ówczesnego Orientu, z której wrócił z nieletnią kochanką kupioną na targu niewolników w Kairze. Najprawdopodobniej miała na imię Bilillee i pochodziła z zamieszkującego Etiopię ludu Oromo. Wkrótce zachorowała na zapalenie płuc i zmarła.

W 1846 roku pogrążony w długach Pückler musiał sprzedać rodzinny majątek wraz z parkiem. Nowym właścicielem został książę Fryderyk Niderlandzki, po nim zjawiała się tu rodzina von Arnim. Wszyscy oni kontynuowali dzieło Pücklera, współpracując z ogrodnikami, których on sam wykształcił.

W 1945 rodzina von Arnim została stąd wysiedlona, a majątek przedzielono granicą. W 2004 roku park trafił na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

GRÓB BILILLEE dość łatwo odnaleźć na niewielkim, miejscowym cmentarzu. Mało kto zwraca na niego uwagę, trudno o informację o nim w folderach turystycznych. W 2017 roku niemiecko-etiopski politolog i pisarz Asfa-Wossen Asserate umieścił na nim tradycyjny etiopski krzyż. Przez chwilę stoję nad niewielkim nagrobkiem, myśląc o ogarniętym ogrodową manią narcyzie i jego nieletniej niewolnicy kochance.

A potem ruszam wzdłuż rzeki na północ. Nie do końca wiadomo, kiedy jej wody zdołały się przedrzeć przez morenowy wał usypany przez lodowce. Z grubsza wiemy, jak dochodzi do takich przełomów. To działo się zwykle w czasie roztopów, kiedy morenowe wzgórza były nasiąknięte wodą, a opływająca je od południa rzeka wzbierała. Spływające z moreny strumyki rozmywały jej stoki i złobiły coraz większy wąwóz. To właśnie tam następowało pęknięcie. Wezbrana rzeka wdzierała się nim i szukała drogi na północ. Powstawał przełom, którego stromym kręwdziom się przyglądam, sunąc po równym asfalcie, wystawiając twarz do słońca, które właśnie wyszło zza chmur, i rozmyślając o tym, że to jeden z najciekawszych i najbardziej różnorodnych rejonów, w jakich kiedykolwiek byłem. Mijam pojedyncze domy, kilka z nich wygląda na opuszczone, przed innymi stoją dość drogie samochody – znak, że pewnie służą przyjezdnym za weekendowe rezydencje. Mimowolnie zaczynam wyglądać chałupkę z ogłoszeniami o sprzedaży. Po kilku kilometrach przejeżdżam mostkiem na drugi brzeg rzeki i poddaję się komendom kolejnych drogowskazów, które prowadzą mnie do lokalnej atrakcji – Diabelskiego Kamienia.

Ze wszystkich formacji, jakie zostawiał po sobie lodowiec, najbardziej lubię chyba głazy narzutowe. Osoba, która wpadła na pomysł, by nazywać je eratykami, miała prawdopodobnie coś wspólnego z poezją. *Errare* to po łacinie „błądzić” (*errare humanum est* – to z Seneki). Eratyk to więc po prostu zbłąkaniec. Wyrwany przez lodowiec z miejsca

swojego powstania, przewleczony tysiące kilometrów i zrzucony na obcą mu ziemię. Ten tutaj, cały splekany, leży na skraju pola. Miejscowa gmina postawiła przy nim wiatkę turystyczną i tablicę informacyjną. Jest naprawdę wielki – ma 5,1 metra długości, 3,5 metra szerokości i 2,5 metra wysokości, a waży ponad sto ton. Na jego powierzchni znajdują się nieporadnie wywiercone otwory, które według archeologów najpewniej służyły do jakichś rytualnych czynności. Kolejny powidok z przeszłości. I nawet nie ma wielkiego znaczenia, że ten tutaj dotyczy historii sprzed 2 albo 3 tysięcy lat, a kawałek dalej stoją kolejne, zarośnięte krzakami do wody, że cała ta okolica sto lat temu pełna była kopalni oraz plujących dymem kominów cegielni i klinkierni. I właśnie to jest w tym miejscu tak pociągające – wystarczy przejechać na rowerze kilkanaście kilometrów, by pojąć, że geologiczna skala czasowa zaciera istotne z ludzkiego punktu widzenia różnice. W kwadrans można tu się przenieść z paleogenu do schyłkowego antropocenu i odczuć tę podróż na własnej skórze.

Stoję jeszcze przez chwilę przy Diabelskim Kamieniu. Najciekawsze jest to, czego naukowcy tu nie odkryli. Do XII wieku w promieniu ponad 3 kilometrów od tego zbłąkańca nie zakładano osad i obozowisk, żadnych ludzkich siedzib. Nie ma żadnego śladu, który by na to wskazywał. A to znaczy, że ten głaz był samym centrum strefy zakazanej, takiej, która rządzi się innymi prawami. Gdzie ludzkie i doczesne ulega zawieszaniu na rzecz tego, co nadludzkie i wieczne. Bez wstępu, by żaden śmiertelnik nie naruszył jej świętości i spokoju.



Więcej tekstów tego autora przeczytasz lub wysłuchasz na magazynpismo.pl/springer-filip

Młyny Rothera to dobre miejsce na

doświadczenia...



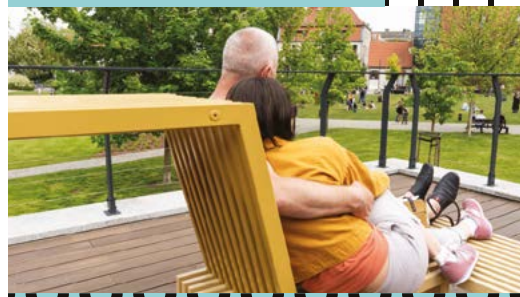
rozmowy...



zabawę...



odpoczynek...



**Czekamy na Ciebie
w Młynach!**

CENTRUM NAUKI
I KULTURY MŁYNY ROTHERA

ul. Mennica 10, 85-112 Bydgoszcz
887 467 208
mlynrothera.pl

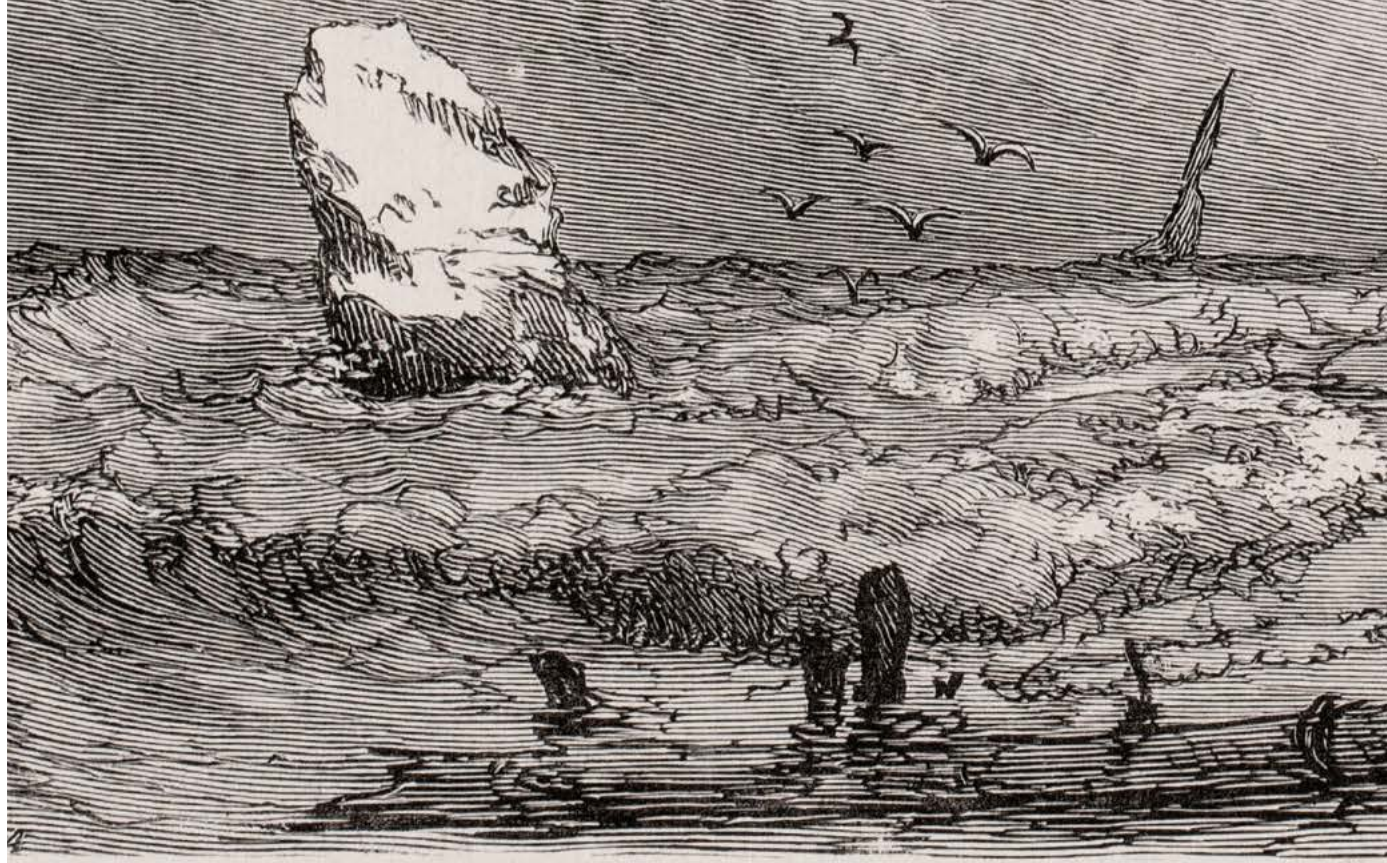


ESEJ KULTURA

Ścieżki wokół Bulbjerg

tekst DORTHE NORS

przełożyła ELŻBIETA FRĄTCZAK-NOWOTNY



TWOJE WSPOMNIENIA chcą ciebie i nie chcą.
Twoja historia to ta, którą dzielisz z innymi, i ta,
z którą musisz żyć sam, niezależnie od wszystkiego,
która niesie cię ze sobą.

Tkwi tam niczym kawałek ukruszonego zęba. Złamany przy korzeniu, z obnażonymi nerwami. Powinien być tam wśród latających wokół niego ptaków. Pełen siły symbol Jutlandii, gdzie nic nie jest tak twarde jak skała. Z wyjątkiem tego miejsca, gdzie wapien mszywiolowy wypiętrzył się w ptasie wzgórze. Po mojej prawej stronie, czterdzieści siedem metrów nade mną, góruje klif Bulbjerg, ramię Jutlandii. Białe, twarde i potężne, całe w chmurze mew. Nabrzeżny bastion.

W dole pod mewami jest kolejny. Składa się z fotografów robiących zdjęcia ptakom. Zebrali się w sobotę, wyposażeni w teleobiektywy w ochronnych barwach. Niektórzy mają na sobie ubrania zlewające się z porastającą klif roślinnością. Z jedną stopą opartą na kawałku wapienia unoszą aparaty w tę samą stronę. Dzięki temu każdy może lepiej ukryć się pod kamienną ścianą. Mewy trójpalczaste nie należą do rzadkich, ale w Danii są rzadkie. Fotografowie pilnie je śledzą. Ciekawe, co sobie myślą ptaki o tym drugim stadzie tam, w dole. Z pozoru wydają się obojętne, ale być może – jeśli podejść wystarczająco blisko – da się dostrzec w ich spojrzeniu tęsknotę za tym, co kiedyś wznosiło się tam, w morzu, za dumną ptasią skałą: Skarreklit.

Klif miał kształt wyniosłego dziobu statku, co wikingowie uznali pewnie za znak. Przez tysiące lat górował tu nieprzystępny. Teraz został z niego jedynie niewielki kawałek wapienia w morzu, ogryzek. Jednak zanim zniknął, zdobił kartki pocztowe i znaczki. Stanowił misterium i cel wycieczek. Dawał Jutlandczykom z zachodniego wybrzeża przekonanie, że morze nie zabiera wszystkiego. Że coś jednak zostaje. Ale pewnego wieczora w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku mój ojciec zatrzymuje się przed telewizorem. Właśnie leciały wiadomości, a ja tak naprawdę powinnam już była leżeć w łóżku.

Ale coś się wydarzyło. Mówią o sztormie, który w nocy nawiedził kraj. Pokazują zdjęcia wapiennego klifu, a potem od razu przejście do pustego morza. Tam, gdzie wznosił się Skarreklit, nie ma już niczego.

Mój ojciec dorastał na terenach płaskich jak kartofliko. Dlatego latem jeździmy do Norwegii, żeby zobaczyć masywy górskie. Żeby będąc wśród przyrody, móc jednocześnie spojrzeć na nią z wysoka. Bo jeśli chodzi o góry, to Jutlandia ma niewiele do zaoferowania. Tak mawiał ojciec, prychając z pogardą na Himmelbjerget. Górę Niebios. Taka kopka ziemi. Ale Skarreklit i Bulbjerg trwają

niewzruszenie. Chodziliśmy tam na wycieczki, one były i są, i nigdzie się nie wybierają.

A jednak nie. Skarreklit zniknął. Jakby w środku nocy morze łagodnie zepchnęło go z jego piedestału.

Ojciec nic nie mówi, ale widzę, że jest załamany. Wpatruje się w ekran telewizora. Po chwili dołącza do niego mama. Obejmuje go ramieniem. Ojciec płacze, bo morze zabrało Skarreklit. Płacze, bo jego starszy brat, mój stryj Erling, niedawno zginął w wypadku samochodowym. Stoję w piżamie i czuję, jak ogarnia mnie smutek. Każda strata jest ostateczna, tyle zrozumiałam, stojąc tam wtedy w piżamie, a straty piętrzą się wokół Skarreklit.

Ale mewy wciąż fruwią. Niezależnie od wszystkiego. Przeniosły się z nadłamanej ptasiej skały na Bulbjerg. Takie właśnie są: poddają się czasowi, który przenika przez nie, z jaja na jajo. Jest lato około czterdziestu lat później. Wydmuchrzyce szepczą za mną. Stryj Erling nadal nie żyje, a Skarreklit nigdy nie powstanie z Jammerbugten. Lecz my wciąż tu jesteśmy.

Poruszające, krzyczą mewy. Poruszające. Prostuję się. Chcę przejść na drugą stronę Bulbjerg, oświetlonej o tej porze dnia przez słońce, które redukuje ptaki do bezsensownych cieni. Dlatego nie sterczą tam fotografowie. Bulbjerg wznosi się nad morzem, biała, ociekająca wodą góra. Na brzegu leżą oszlifowane kawałki wapienia. Przypominają kości olbrzyma. Stoję na czyjejs łopatce. Przechodzę na biodro. Potem ruszam piaszczystą ścieżką prowadzącą z plaży w kierunku wielkiej czaszki Bulbjerg, wapiennie białej, porośniętej niską roślinnością.

Tu wszędzie są ścieżki. Krzyżują się w górę i w dół na rozległej wapiennej czaszce niczym szwy. Rozgałęziają się dzięki żywym stopom przecinającym tam i z powrotem roślinność. Znajdują drogę.

Ścieżka zaczynała biec wtedy, gdy pochyla się trawa. Lato za latem. Żelówki, racice i niesiony przez nie ciężar powtarzały swoją czynność, deptały trawę. W końcu jagody nauczyły się tego i wycofały, pisze Kerstin Ekman. Siatka ścieżek, żyły drózek, naczynia pamięci...

Kiedyś znałam te słowa na pamięć. Łączyły moje dwie pasje: literaturę i ścieżki. Na końcu ścieżki zawsze się coś kryło. Ścieżka prowadziła tędy nie bez przyczyny. Ktoś szedł tędy z jakiegoś powodu, a ten powód stworzył ścieżkę. Niekiedy na jej końcu był domek, fiord, kwitnące drzewo lub morze. Zdarzało się też, że ścieżka kończyła się niczym, ale to nic też było czymś. Można było tam stanąć i patrzeć przed siebie. Albo usiąść, oddać się rozmyśleniom czy przenieść się w jakieś inne miejsce. Mam słabość do tras, które inni rzadko wybierają, ale tutaj, na Bulbjerg, ścieżki są intensywnie odwiedzane. Turyści biegają po wapiennej skale jak chomiki w kółowrotku.

Moje stopy wybierają ścieżkę po południowej stronie góry. Zaczynam się wspinać. Kiedy się odwracam i patrzę w dół, widzę inne ścieżki wynurzające się z krajobrazu. Może najpierw dreptała nimi łasica, potem lis, potem borsuk, potem człowiek, potem kolejny człowiek, aż w końcu na dobre wryły się w krajobraz. Ścieżki są wszędzie wzdłuż całej linii brzegowej. Być może ścieżka zostaje jedynie narysowana na piasku, a potem starta przez sztorm, po czym stopy znajdują inną drogę. Być może jest używana głównie ze względów praktycznych, a wtedy zostaje wyasfaltowana. Pojawiają się rowery, dziecięce wózki, cywilizacja, a cywilizacja utrwała opowieści o sobie, podczas gdy ścieżki wydeptane przez stopy przenoszą się co rok w inne miejsca, aż pewnego dnia być może znikają. Jedną z moich tajemnych ścieżek na wybrzeżu była ta, która schodziła na wschodnią stronę Ringkøbing Fjord, opadała na plażę, prowadziła dalej na chybliwy pomost, do którego przybijały łodzie, i skąd rozciągał się widok na Lynngvig Fyr po drugiej stronie wody. Latarnia stała tam i mrugała, niezniszczalna we wspomnieniach, ze wszystkimi pytaniami o kierunek życia. Inna ścieżka, którą też kocham, to ta prowadząca od Tajemnego Miejsca, naszego domku letniskowego, i dalej na bursztynową plażę, obok starej beczki na smołę, by zakończyć się w wodzie, w miejscu, gdzie most Oddesund drży w powietrzu niczym miraż w oddali. Na końcu ścieżki są gęsi, siewki złote i kuliki wielkie. We wschodnim wietrze jest bursztyn; wspomnienia ognisk rozpalanych wraz z tymi, których kocham, są tam także. Tak, zdecydowanie wolę żywe ślady, które w ten sposób toczą swe rozmowy z przyrodą. *Naczynka pamięci*. Kerstin Ekman pisze: *Dać się tak nieść! Poruszać się lekko wraz z pulsującą wodą, a mimo to pozostać w całkowitym spokoju. Jak wodne rośliny w potoku, jak rogatek i lobelia*.

Ten wieczny, płodny i pełen lęku prąd w nas. To podstawowe pytanie: Chcesz pamiętać czy zapomnieć? Niezależnie od wszystkiego coś rośnie, powstaje. Ścieżka, rana na duszy, smutek, którego nie możesz uchwycić, bo należy do kogoś innego. Wszystko to, co przychodzi nam nosić samemu. Wszystko to, czego nie można opowiedzieć. Twoja historia ukazuje się w przeblysku wspomnień albo pod postacią załamań na powierzchni, by po chwili znów zniknąć. Twoje wspomnienia chcą ciebie i nie chcą. Twoja historia to ta, którą dzieliś z innymi, i ta, z którą musisz żyć sam, niezależnie od wszystkiego, która niesie cię ze sobą. Zostajesz poruszony, przesunięty, musisz wędrować tymi wszystkimi śladami, do światła, w głąb ciemności, w nicłość.

Kiedyś na targach książki spotkałam norweską pisarkę, doktor neuropsychologii Ylvę Østby. Jej praca polega na próbie zrozumienia właśnie tych odprysków wspomnień. Dała mi jedną ze swoich książek. Szkoda, że nie mam jej przy sobie na Bulbjerg. Chociaż zawsze mogę

spytać samą Ylvę. Tak powiedziała; stoję więc na ścieżce na Bulbjerg i piszę do niej wiadomość. Ylva jest po drugiej stronie Skagerraku, używam Messengera, żeby się z nią skontaktować:

Cześć, Ylva. Jestem na jedynym wzgórzu w Jutlandii, które przypomina górę. Jest tu niewiarygodnie dużo ścieżek. Czy można powiedzieć, że ścieżki i wspomnienia są do siebie podobne?

Siadam na kępie wrzosu i patrzę na kikut zęba w oddali. Z wody unosi się poświata, jak pobielone wapnem światło. Ylva pracuje na uniwersytecie. Często jest online, więc warto zaryzykować. Wkrótce widzę, że odpowiada.

Wygląda mi to na piękne miejsce, pisze.

Nie są to Trolltindene, ale większych nie mamy. Czy jestem na złym tropie? – pytam.

Ylva zastanawia się w Norwegii, po czym pisze:

Kiedy w mózgu powstaje ślad wspomnienia, może to przypominać powstawanie ścieżki: dwa neurony stymulują się wzajemnie i z czasem ich połączenie staje się silniejsze.

Nie przywykłam do neuronów, ale szanuję je, no i widzę, że Ylva postanowiła zgłębić problem.

Poza tym okoliczności pomagają nam pamiętać, pisze. Okoliczności? – pytam.

Tak, odpowiada. Ścieżki w krajobrazie to wynik wspomnień, które tworzymy razem z krajobrazem i z tymi, którzy po nim chodzili i chodzą.

Przelatuje nade mną mewa, jedna, potem druga, zataka Jammerbugten jawi się niczym błękitny stożek.

Wiele ścieżek ma ponad tysiąc lat, stwierdza Ylva. Wiążą ze sobą miejsca w sposób służący ludziom, którzy mieszkali tam przed nami. Nam też służą, bo w ten sposób nie musimy na nowo szukać dróg.

To jest cywilizacja, przychodzi mi do głowy. Jakiś skrót staje się ścieżką, ścieżka starożytną drogą, potem polną drogą, główną drogą, autostradą, ale wtedy już dawno przestała rozmawiać z krajobrazem, to wiem. Ylva pisze dalej:

Krajobraz nadal niesie w sobie część doświadczeń pojedynczego człowieka, doświadczeń bycia jego częścią.

Uznaję, że to niewypowiedzianie piękne, a Ylva kontuuje:

Wspomnienia konkretnego krajobrazu są przechowywane w sieci, która nakłada się na wszystkie skojarzenia, jakie mieliśmy, gdy po raz pierwszy stanęliśmy w danym miejscu. Kiedy ponownie w nim stajemy, następuje ich aktywacja.

Portowe nabrzeża, obecność śmierci, myślę i piszę: *Krajobraz to archiwum wspomnień.*

Ylva odpowiada emotikonem w postaci uśmiechu i zwraca uwagę, że przyroda dopuszcza pewne kulturowo zdeterminowane asocjacje. Należy o tym pamiętać.

Ja na przykład, chodząc po lesie, widzę trolle, pisze.

Widzisz trolle? – dopytuję.

Tak, odpowiada. Las pozwala mi zobaczyć trolle, ale to, że je widzę, wynika również z dziedzictwa kulturowego, które niosę ze sobą do lasu.

Pytam ją, czy to dlatego nigdy nie widziałam w Norwegii trolla, mimo że często tam bywałam. Bo u Duńczyków troll nie budzi żadnych skojarzeń kulturowych? Chyba że jest się z Bornholmu, oczywiście.

Potwierdza, a ja postanawiam zakończyć rozmowę, chwalcąc się, że kiedyś widziałam w Norwegii łosia. Ylva musi wracać do swoich zajęć. Dziękuję jej za poświęcony mi czas, po czym znów zostaję sama na Bulbjerg. Ale teraz ona też jest tutaj osadzona. Już nigdy nie będą mogła iść tędy, nie myśląc o Ylvie Østby.

ZOSTAJĘ JESZCZE CHWILĘ i staram się to przyswoić. Są tu tysiące wspomnień innych ludzi: wspomnień letnich dni, strażaka, sztormu. Są wspomnienia zabaw. Wspomnienia przemocy. Ludzi, którzy przyszli i odeszli, domów, które kiedyś stały, ale których już nie ma. Ludzi wędrujących na piechotę, jadących konno. Niebo jest wysokie, jak to latem. Za mną ciągną się zielone krajobrazy: wzgórza, wydmy, lasy i ścieżki, które się schodzą i rozchodzą. Widziane z góry pewnie przypominają komórki nerwowe, a kiedyś na szczycie Bulbjerg był hotel nadmorski. Chyba Niemcy go rozebrali. Bali się, że duży biały budynek przyciągnie bomby aliantów. Więc w zamian wwiercili się w czaszkę.

Próbuję wyobrazić sobie czas przed wojną. Posługuję się swoją kolektywną, kulturowo uwarunkowaną pamięcią, by zyskać dostęp do skojarzeń: Tam leży hotel. Ma wieżę i przypomina zamek. Przedstawiciele klasy wyższej przechadzają się tam i z powrotem: kobiety w białych sukienkach, mężczyźni w letnich garniturach. Widzę słomkowe kapelusze. Widzę przywileje. Widzę grube brzuchy i widzę Thit Jensen. Tak, widzę pisarkę Thit Jensen. Niska i pulchna spaceruje, prezentując swoje szaty. Jej mąż właśnie maluje hotelową jadalnię, ozdabiając ją motywami z regionu. A Thit spaceruje i szuka inspiracji. Nie ma dzieci i cieszy się nie najlepszą sławą w mediach. Po części dlatego, że przeciwstawia się obowiązkowi prokreacji, ale też z tego powodu, że jej mąż jest młodszy od niej o jedenaście lat. Thit nie ukrywa, że jest zwolenniczką przerywania ciąży, wyzwolenia kobiet i innych niebezpiecznych rzeczy. Jest siostrą laureata Nagrody Nobla w dziedzinie literatury, Johanna V. Jensena, którego wszyscy mają obowiązek kochać i szanować. Ale brat i siostra nie potrafią się porozumieć. Jego fascynują maszyny, ją prawa kobiet. Więc między rodzeństwem zostaje zerwana, szkoda. Thit nie ma dzieci, ale jest spirytystką, ma więc zmarłych, szczególnie jednak interesuje ją krajobraz po drugiej stronie Bulbjerg. To Dødemandsletten, Równina Zmarłego,

która przyciąga ją dlatego, że kiedyś spotkała tam ducha. Komunikuje się z duchami, co też jest swego rodzaju pracą z pamięcią. Gdy jej mążnek maluje jadalnię w hotelu (lub stara się osiągnąć najlepszą przyjaciółkę Thit), ona udaje się na Dødemandsletten i rozmawia ze zmarłym mężczyzną. Chyba był marynarzem, obieżyświatem, który został tu pochowany. Thit wyobraża sobie, że pochodził z brytyjskiej arystokracji. Szlachetny, miał psa, pewnie charta. Nie może zaznać spokoju, podobnie jak ona. O tym właśnie z nim rozmawia, o niepokoju. Zmarły nie odpowiada, ale pozwala jej się wypowiedzieć. Duch charta biega po równinie, a potem ona wraca do hotelu i życzy śmierci temu, który żyje. Tak to sobie wyobrażam, podobnie jak wyobrażam sobie, że dokładnie w miejscu, w którym teraz stoję, na szczycie Bulbjerg, Thit przyszedł do głowy pomysł na książkę pod tytułem *Den erotiske hamster*. Erotyczna chomiczka, która uciekła z jej mężem, stała się częścią krajobrazu. Również gniew zostawił tu swój ślad.

WSTAJĘ I SCHODZĘ ścieżkami w dół po północnej stronie Bulbjerg. Po drodze pozwalam sobie zboczyć kilka razy, odpoczywam na różnych naturalnych wypłaszczeniach. W końcu docieram do Dødemandsletten. Oprócz mnie nie ma tu nikogo żywego. U martwego mężczyzny panuje cisza, na brzegu jest wapien.

A jeśli chodzi o stryja Erlinga, pamiętam, że lubił konie. I że był miły dla dzieci. Miał jasne włosy, ale tyślał na czubku głowy. Jego narzeczona paliła cygaretki. Trudno mu było z kimś się związać. Pewnego zimowego dnia trafił na kawałek oblodzonej drogi i pozostawił po sobie ogromny smutek.

Biorę kamień z plaży, czuję w dłoni jego ciepło. Według Thit powinno się go rzucić na grób zmarłego, żeby zapewnić mu spokój. Ale nie wiem, gdzie on leży. Zmarły jest podobnie jak wspomnienie duchem lgnącym do człowieka. Jest błakającym się zwierzęciem. Przypominam sobie stryja Erlinga prowadzącego konia za uzdę. Chyba miał też kota, myślę, i wałęs kamień w dłoni. Po czym rzucam go łagodnym ruchem w kierunku Skarreklit.

Fragment pochodzi z książki eseistycznej Dorthe Nors, *Stone ścieżki*, która w przekładzie Elżbiety Frątczak-Nowotny ukaże się w lipcu nakładem Wydawnictwa Czarne.



Więcej materiałów o Skandynawii przeczytasz i wysłuchasz na magazynpismo.pl/skandynawia



W KADRZE

Pocztówka z Polski

zdjęcie MAŁGORZATA ADAMCZYK





10 pytań krajoznawczych

tekst JAN MENCWEL, SZCZEPAN ŻUREK (TOWARZYSTWO KRAJOZNAWCZE KRAJOBRAZ)



Wystawa producenta domków letniskowych w 1975 roku.

Jedni uważają, że Polska jest pawiem narodów, inni, że papugą, a jeszcze inni, że jest jak opadająca kłapa w kiblu w PKP. Dla nas Polska to przede wszystkim jeden wielki zbiór ciekawostek krajoznawczych. Nie ma dnia, żebyśmy nie dowiadywali się o geografii, architekturze, geologii czy etnografii naszego kraju czegoś, co by nas nie zaskoczyło. A jeśli taki dzień się nawet zdarzy, to nic straconego – można wymyślić, jak informacje już znane przedstawić w taki sposób, by były zaskakujące. Tak powstał zwyczaj krajoznawczych quizów, które są już tradycją naszego Towarzystwa. Przed wami jeden z nich. Być może zainspiruje was do wakacyjnych mikrowypraw po Polsce?

1. „Adamie, jak się nazywa taka długa ryba...?” – **jakie** miasto jest odpowiedzią na to pytanie?
2. Wymień przynajmniej **cztery** jednosylabowe, czteroliterowe polskie rzeki.
3. **W którym** polskim mieście następuje hydrologiczna koniunkcja trzody chlewnej?
4. Wymień przynajmniej **trzy** polskie pomniki potraw lub produktów spożywczych wraz z lokalizacją.
5. **Gdzie** znajduje się najszynniejszy „w mech odziany kamień”?
6. **Jakie** drzewo najczęściej patronuje nazwom ulic w Polsce?
7. Podaj **trzy typy** domków wczasowych z okresu PRL-u i przyporządkuj do nich odpowiadające im figury geometryczne.
8. Wymień **trzy miejscowości**, które roszczą sobie prawa do tytułu „polskiego Carcassonne”.
9. **Co łączy** Częstochowę, Poznań i Gorzów Wielkopolski?
10. Wymień przynajmniej **sześć** rodzajów deszczu spotykanych w Polsce.

Rozwiązania quizu wypatrujcie 19 lipca na:
facebook.com/towarzystwokrajobraz.

Przed tym terminem zachęcamy do nadsyłania pocztówek z odpowiedziami na adres Towarzystwa – nawet jeśli nie znacie kompletu odpowiedzi.

Trzy najlepsze pocztówki zostaną nagrodzone mapami wycieczek przyrodniczych ze Sklepu Krajoznawczego.

UWAGA – liczą się zarówno liczba prawidłowych odpowiedzi, jak i styl samej pocztówki!

Adres:

Towarzystwo Krajoznawcze Krajobraz
ul. Wileńska 2/4 m 14, 03-409 Warszawa.

Decyduje data stempla pocztowego.



14,99 zł
~~19,99 zł~~

Czytaj i słuchaj treści, które poszerzają horyzonty, inspirują do rozmów i refleksji.

Cenię w „Piśmie” jakość. To hasło, które mam w głowie, gdy myślę o tym magazynie. Wiem, że każdy temat poruszany na łamach miesięcznika będzie przedstawiony wieloaspektowo i dogłębnie. Lubię reportaże i Soczewki Pisma, bo spełniają one moje oczekiwania wartościowego, uruchamiającego przemyślenia dziennikarstwa. Najczęściej czytam „Pismo” w domu w weekendy, a niedokończone wydania zabieram ze sobą na wakacje.

Paulina Górska

Dołącz do społeczności „Pisma”. Zeskanuj kod QR lub wejdź na magazynpismo.pl/kup i zamów miesięczną prenumeratę z dostępem online w promocyjnej cenie.



jetline

Między *słowami*.
Między ludźmi.
Outdoor.

Widzimy się
na mieście!



Reklama w przestrzeni zewnętrznej.